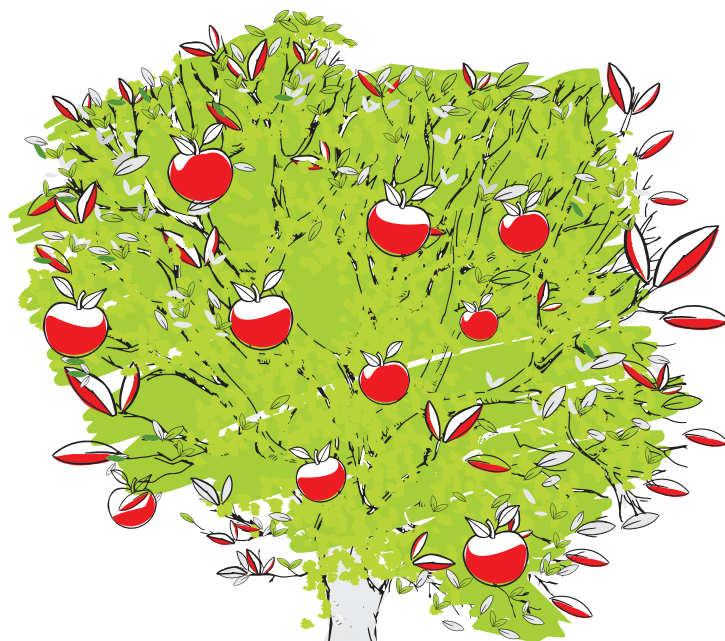




POLACY I POLSKA WOBEC WYZWAŃ DOJRZAŁOŚCI

Po XI Kongresie Obywatelskim

Wolność i Solidarność nr 74



Jan Szomburg

„Najważniejszym wyzwaniem, przed którym dziś stoimy, jest stworzenie dojrzałej tożsamości narodowej. Takiej, w której zachowana będzie równowaga między różnorodnością a spójnością, między otwartością a „zamkniętością”. Która nie będzie nazbyt słaba, ani też przesadnie silna. W której procesie tworzenia będą uczestniczyć wszyscy obywatele”.



prof. Anna Cegiela

„Mówić językiem ku drugiemu człowiekowi, nie przeciw niemu, a dla niego – tak możemy zbudować wspólnotę”.



prof. Andrzej Nowak

„Polska nie jest czyjąś własnością, ale wspólnym dziedzictwem”.



dr Michał Łuczewski

„Gombrowicz pozwala nam zrozumieć, że jesteśmy niedojrzali, Wojtyła – pokazuje wyjście z niedojrzałości”.



prof. Rafał Matyja

„Nie opanowaliśmy sztuki tworzenia i naprawiania instytucji”.



prof. Rafał Matyja

„Dojrzała Rzeczpospolita to państwo nie szamoczące się między sprzecznymi koncepcjami własnej roli międzynarodowej, lecz posiadające względnie stabilną wizję własnej racji stanu. To państwo nie szczyjące się nadmiernie swoimi osiągnięciami, lecz zauważające również swoje słabości”.



Piotr Głowacki

„Wspólnota – to możliwość powiedzenia *my*. Ale żeby *my* było autentyczne, musi być przeżyte przez wszystkich, których dotyczy. Tylko wtedy jest *my*, kiedy nasze świadomości są w jednym miejscu, w jednym czasie i są połączone jedną wspólną akcją”.



Katarzyna Zawodna

„Dojrzałość biznesu to konieczność odpowiadania na potrzeby obecnych, ale i przyszłych pokoleń. To też umiejętność budowania na tym, co jest w ludziach najlepsze. To samoświadomość, pokora i szacunek dla inności, umiejętność korzystania z tej inności i czerpania z niej tego, co najlepsze”.



Polacy i Polska wobec wyzwań dojrzałości

Po XI Kongresie Obywatelskim



GDAŃSK 2017

WOLNOŚĆ I SOLIDARNOŚĆ NR 74

© Copyright by
Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową
ul. Do Studzienki 63
80-227 Gdańsk
tel. 58 524 49 00
faks 58 524 49 08
www.ibngr.pl
e-mail: ibngr@ibngr.pl

Redakcja merytoryczna: JAN SZOMBURG

Redakcja serii: JAN SZOMBURG
Redakcja językowa: ALICJA DĄBROWSKA-NOWACKA
Projekt okładki: BEATA PODWOJSKA

ISBN 978-83-7615-136-6

CIP – Biblioteka Narodowa
Polacy i Polska wobec wyzwań dojrzałości : po XI
Kongresie Obywatelskim / [redakcja merytoryczna
Jan Szomburg ; Kongres Obywatelski]. - Gdańsk
: Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową, [2017].
- (Wolność i Solidarność ; nr 74)

Spis treści

WYZWANIE DOJRZAŁOŚCI SPOŁECZNEJ I NARODOWEJ

- 9 Jan Szomburg
Wyzwanie dojrzałej tożsamości narodowej – co ona oznacza i jak ją stworzyć?
- 17 Anna Cegiela
Jaki język do budowania wspólnoty Polaków?
- 21 Krzysztof Jedliński
Śłuchanie i wybaczenie drogą do budowy dojrzałego społeczeństwa
- 29 Michał Drozdek
Dojrzałość, by nie popadać ze skrajności w skrajność

PRZEJAWY I ŹRÓDŁA POLSKIEJ NIEDOJRZAŁOŚCI

- 41 Andrzej Krajewski
Chroniczna niedojrzałość z tendencjami do nawrotów
- 49 Rozmowa z Piotrem Korysiem
Błędne koło polskiego rozwoju
- 57 Rozmowa z Andrzejem Zybałą
Kultura umysłowa Polaków – dlaczego myślimy tak, jak myślimy?
- 73 Tadeusz Sławek
Jaki dom dla rozwoju Polski?
- 81 Wojciech Domosławski
„Polski grzech pierworodny” i jego wpływ na rozwój cywilizacyjno-kulturowy Polski
- 89 Rozmowa z Tomaszem Zaryckim
Dominacja elit kulturowych pod postacią inteligencji
- 101 Antoni Dudek
III Rzeczpospolita – skok materialny, ale nie kulturowo-mentalny

DROGI BUDOWANIA DOJRZAŁEGO SPOŁECZEŃSTWA I PAŃSTWA

- 111 Piotr Oleś**
Poszanowanie prawdy i godności człowieka drogą do porozumienia Polaków i rozwoju Polski
- 117 Jerzy Stelmach**
Postępowanie zgodne z regułami jako warunek zrównoważonego rozwoju
- 123 Łukasz Kamiński**
Potrzebujemy wielkich debat, by ożywić nasze wspólnotowe myślenie
- 129 Stanisław Mazur**
Wiedza uwspólnotowiona jako lekarstwo na niedojrzałość instytucjonalną
- 137 Rafał Matyja**
Rzeczpospolita dla dorosłych
- 143 Rozmowa z Mirosławem Tarasem**
Czas wyjść z naszych jaskiń i ucywilizować nasze zachowania – perspektywa biznesu
- 149 Marcin Skrzypek**
Mądrość roju – czyli mechanizm rozwoju wspólnot lokalnych

DROGI BUDOWY DOJRZAŁEJ WSPÓLNOTY NARODOWEJ

- 159 Andrzej Nowak**
Polska jest naszym wspólnym dziedzictwem
- 165 Michał Łuczewski**
Wojtyła – Gombrowicz: dwa oblicza dojrzałości
- 173 Marcin Król**
Więcej ducha i wspólnotowości – sięgnijmy po zasoby ideowe romantyzmu
- 179 Michał Bilewicz**
Siła tożsamości narodowej
- 187 Jan Szomburg**
Na czym oprzeć narrację narodową przyszłości?

Wyzwanie dojrzałości społecznej i narodowej



JAN SZOMBURG

prezes Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową. Doktor nauk ekonomicznych z doświadczeniem akademickim (w latach 1974–1990 pracował na Uniwersytecie Gdańskim). Od 1980 r. działacz gdańskiej „Solidarności”, w stanie wojennym współpracował z podziemiem. W 1988 r. wspólnie z Januszem Lewandowskim opracował pierwszy w Europie Wschodniej program powszechnej prywatyzacji oparty na kuponach prywatyzacyjnych (wykorzystywany w reformach własnościowych niemal w całym tym regionie). Założyciel Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową (1989). Inicjator i organizator nowych, innowacyjnych platform debat publicznych służących dialogowi międzyśrodowiskowemu i międzypokoleniowemu: Polskiego Forum Strategii Lizbońskiej (2003–2007), Polskiego Forum Wartości i Rozwoju (2004–2005) i Kongresu Obywatelskiego (od 2005). Promotor publicznej refleksji i debaty nad tożsamością i wspólnotowością Polaków.

Wyzwanie dojrzałej tożsamości narodowej – co ona oznacza i jak ją stworzyć?

Stoimy dziś przed wyzwaniem stworzenia naszej wspólnej, dojrzałej tożsamości narodowej. Takiej, w której zachowana będzie równowaga pomiędzy różnorodnością a spójnością. Która nie będzie ani nazbyt słaba, ani też przesadnie silna. W której procesie tworzenia uczestniczyć będą wszyscy obywatele, a nie – tak jak to miało miejsce w naszej historii – tylko uprzywilejowana grupa. Tylko wówczas będziemy w stanie wejść na ścieżkę rozwoju podmiotowego społeczeństwa i podmiotowej wspólnoty politycznej, w której tożsamość integruje, a nie dzieli.

By zapewnić sobie stabilny rozwój i dołączyć do krajów wysoko rozwiniętych, musimy zbudować dojrzałe społeczeństwo i państwo – Dojrzałą Rzeczpospolitą. Dojrzała Rzeczpospolita to taki kształt ustrojowy i ład kulturowy, który sprzyja wykorzystaniu potencjału – talentów, wiedzy, energii i aspiracji – całego społeczeństwa, wszystkich jego grup.

Dojrzała Rzeczpospolita zachowuje równowagę między różnorodnością, która jest siłą napędową w złożonym świecie, a spójnością, która jest warunkiem zdolności do myślenia i działania zbiorowego w imię dobra wspólnego. Dotyczy to zarówno spraw krajowych, jak i relacji zagranicznych. Kluczowym warunkiem dobrego działania wspólnoty politycznej jest prawdziwa (inkluzywna) wspólnota tożsamości i wartości. I to jest właśnie (obok wyrównywania szans i sprawiedliwości ekonomicznej) najważniejsze wyzwanie, przed którym dziś stoimy jako naród i społeczeństwo.

Dojrzała Rzeczpospolita zachowuje równowagę między różnorodnością, która jest siłą napędową w złożonym świecie, a spójnością, która jest warunkiem zdolności do myślenia i działania zbiorowego w imię dobra wspólnego.

Azymut na Zachód

Po 1989 roku, kiedy pokrywka ideologii komunistycznej została zdjęta, powstał wolny rynek narracji tożsamościowych i systemów wartości. Wahadło najpierw wychyliło się w stronę proeuropejskości i wartości liberalno-demokratycznych. Było to zrozumiałe. Zachód imponował zdecydowanej większości Polaków swoją zdolnością do produkowania dobrobytu, stabilności i wolności życia. Chcieliśmy znaleźć się w takiej błyszczącej, a zarazem nieco wyluzowanej Europie, której bezpieczeństwo było w dodatku chronione przez „dobrego wujka” zza oceanu (USA).

Intuicyjnie wydawało się, że im bardziej będziemy podobni do nich (do Zachodu), tym lepiej będziemy żyli. Narracja naśladowczo-modernizacyjna miała wówczas tak dużą siłę przyciągania, że żaden głos tego czy innego profesora, który przestrzegałby przed tą drogą, i tak nie miałby żadnego znaczenia. Polacy wybrali rynek i to „oprogramowanie” życia zbiorowego, które sprawdziło się na Zachodzie.

Nasza integracja z UE zbiegła się jednak z szybkim procesem globalizacji, który zaczął też oddziaływać na samą Unię, rozwarstwiając społeczeństwo i podkopując tę idyllę społeczno-ekonomiczną, która nas tak pociągała. W dodatku, przez cały okres 25 lat po 1989 roku mieliśmy w Polsce rynek pracodawcy, bo kapitału było u nas (z oczywistych względów) bardzo mało, a dobrze wykształconej pracy – bardzo dużo. Z czasem przyszło więc zmęczenie nakładającymi się na siebie czterema zjawiskami: transformacją, integracją z UE, globalizacją i rynkiem

*Na całym świecie mamy dziś do czynienia
ze zmaganiem między siłą globalizacji
a potrzebą większej samostereowności
i spójności w ramach odtwarzania
zredefiniowanego państwa narodowego.*

pracy faworyzującym pracodawców. W sumie zjawiska te powodowały szybkie rozwarstwienie, zmienność, niepewność i silną konkurencję w społeczeństwie wcześniej (w zdecydowanej większości) egalitarnym i stabilnym.

Do tego doszło zmęczenie szybką modernizacją kulturowo-obyczajową, która u części społeczeństwa powodowała poczucie obcości i wykluczenia aksjologicznego.

Zwrot ku narracji narodowej

Wywołało to zwrot ku narracji narodowej, tożsamościowej, lokalnej. Zwrot całkowicie zrozumiały jako efekt niekontrolowanej i spłaszczającej wartości (głównie do hedonistyczno-konsumpcyjnych) globalizacji. Dziś widzimy go zresztą w całym świecie zachodnim, gdzie wspomniane procesy były zdecydowanie bardziej rozłożone w czasie i osłaniane poduszką wcześniejszego dobrobytu.

Wzrost potrzeby tożsamości lokalnych i narodowych wynika z poszukiwania większej pewności, bezpieczeństwa i samokontroli. Jest wyrazem chęci przywrócenia narodowej samosterowności, która tak dobrze działała w ramach państwa dobrobytu jeszcze 30–40 lat temu. Zmagania między siłą globalizacji a potrzebą większej samosterowności i spójności w ramach odtwarzania zredefiniowanego państwa narodowego dopiero się zaczynają i z pewnością znalezienie nowej równowagi między nimi zajmie sporo czasu.

Potrzeba dojrzałej tożsamości

W Polsce wyzwanie stworzenia dojrzałej, wspólnej tożsamości jest jeszcze trudniejsze i bardziej uwikłane w zaszłości historyczne. Jednocześnie ma jednak zasadnicze znaczenie dla przezwyciężenia dotychczasowych, historycznych trudności rozwojowych i ciągłego cofania się po osiągnięciu tymczasowych sukcesów. Teraz mamy szansę stawienia czoła temu wyzwaniu i przebicia szklanego sufitu krajów wysoko rozwiniętych. Sukces materialno-rynkowy już w dużej mierze osiągnęliśmy, teraz czas na sukces w sferze rozwoju kulturowego i państwowego (instytucjonalnego).

Są dwa powiązane ze sobą warunki stworzenia nowej, szeroko akceptowanej narracji narodowej, bardziej wyrazistej i przekonującej, a zarazem funkcjonalnej wobec cywilizacyjnych, ekonomicznych i „bezpieczeństwowych” wyzwań przyszłości. Pierwszym warunkiem jest sposób jej wypracowania, drugim jest jej natężenie.

Tylko całość jest prawdą

Prawdziwa (inkluzywna) wspólnota tożsamości i wartości musi być wypracowana z faktycznym udziałem wszystkich części społeczeństwa, wszystkich „korzeni” historycznych i całej palety preferencji co do wartości, które są zakodowane w naszym społeczeństwie. Można by powiedzieć filozoficznie, że w tym wypadku „tylko całość jest prawdą”. Budowaniu ogólnonarodowej tożsamości i wspólnotowości nie sprzyja więc wykluczenie dużych części społeczeństwa z tego procesu lub narzucanie narracji tożsamościowych słabszym w pracy symbolicznej przez tych, którzy mają większą siłę narracjotwórczą.

Patrząc na historię Polski, sięgając całe wieki wstecz, widać ogromną nierównowagę na rynku narracyjnym. Najpierw pole to całkowicie zdominowała szlachta, później inteligencja. Zdecydowanie najliczniejsza warstwa chłopska (80% ludności w I Rzeczypospolitej i 60% w II RP) nie miała wiele do powiedzenia

w kreowaniu symboliki i treści polskiej narodowej tożsamości. I właściwie tak pozostało do dziś. Dominująca w pierwszych 25 latach III Rzeczypospolitej narracja liberalno-demokratyczna i europejska była wytworem części inteligencji. Teraz zaczyna dominować narracja konserwatywno-narodowa, której nośnikiem jest inna część postszlacheckiej inteligencji. Wielkim nieobecnym na rynku narracyjnym

Prawdziwa wspólnota tożsamości i wartości musi być wypracowana z faktycznym udziałem wszystkich części społeczeństwa, wszystkich „korzeni” historycznych i całej palety preferencji co do wartości, które są zakodowane w naszym społeczeństwie.

są grupy o korzeniach postchłopskich stanowiące zdecydowaną większość społeczeństwa, również dzisiejszej klasy średniej. Synteza tożsamościowa, której jako kraj potrzebujemy, to nie synteza między nurtem liberalno-

-demokratycznym a konserwatywno-narodowym, ale synteza z walnym udziałem trzeciego źródła, którego „produkcji narracyjnej” jeszcze dobrze nie znamy. Możemy się jedynie domyslać, że przyniósłby on dużo walorów (choćby praktyczności i zdrowego rozumu), których nam bardzo brakuje.

Nie za dużo, nie za mało

Dojrzała Rzeczpospolita poszukuje i ustanawia, ale nie maksymalizuje swojej tożsamości. Wie, że byłoby to szkodliwe dla jej rozwoju, a nawet istnienia. Dba, by tożsamość nie była zbyt słaba, ale i nie zbyt silna. Niedobór tożsamości utrudnia zbiorowe myślenie i działanie oraz powstawanie samoregulujących się etosów publicznych (państwowych), a także rozwój kapitału społecznego (społecznej tkanki łącznej). Ogranicza poczucie własnej wartości, naszą pewność siebie i asertywność, wprowadza lęk i skłonność do naśladownictwa w relacjach zewnętrznych.

Niedobór bądź nadmiar tożsamości praktycznie przekreślają możliwości skoku proinnowacyjnego, bo ten wymaga zarówno opartej na lojalności i zaufaniu współpracy w ramach swego kręgu kulturowego, swojej wspólnoty politycznej, jak i umiejętności współpracy międzykulturowej. Ta ostatnia jest obecnie konieczna nie tylko w relacjach z zagranicznymi partnerami, ale także wewnątrz krajów – bo każde liczące się dziś laboratorium czy ośrodek naukowy wymaga obecności ludzi o różnych doświadczeniach i kompetencjach kulturowych. Inaczej nie można zrozumieć świata. A bez rozumienia świata nie można skutecznie prowadzić ani badań, ani biznesu, ani polityki. Dojrzała Rzeczpospolita – w imię swoich interesów rozwojowych – dba więc o znajdowanie dobrej równowagi między „otwartością” a „zamkniętością”.

Nadmiernie silna tożsamość ma szereg skutków negatywnych. Prowadzi do zamykania się poznawczego wspólnoty. Tworzy swoiste tożsamościowe uzależnienie, silnie wiążące wyobrażenia o nas samych ze ściśle określonym wzorcem tożsamościowym. A to ma bardzo negatywne skutki dla zdolności wspólnoty do rozwoju i przetrwania. Utrudnia ułożenie się z sąsiadami i całym otoczeniem międzynarodowym, pozwalające czerpać korzyści z międzynarodowego podziału pracy i systemu bezpieczeństwa. W takiej sytuacji paradoksalnie cieszymy się z wyborczego sukcesu bliższego nam tożsamościowo przywódcy w innym kraju, mimo że jego zwycięstwo jest niekorzystne dla naszych interesów. Inaczej mówiąc, potwierdzenie słuszności naszej opcji ideologiczno-tożsamościowej staje się ważniejsze niż realne interesy rozwoju i bezpieczeństwa naszego kraju.

Blokuje to możliwości dialogu i wypracowania konsensusu wewnętrznego. Prowadzi do idealizowania własnej grupy – na zasadzie: „tylko my mamy rację i dobre intencje”. Idealizm grupowy nieuchronnie wiedzie do wyścigu o to, kto bardziej spełnia pewien ideał – co otwiera drogę do wewnętrznego (i zewnętrznego) autorytaryzmu, podporządkowania się „najlepszym”, czyli zwykle bardziej ekstremalnym wzorcom. To z kolei jeszcze bardziej blokuje zdolność do komunikacji, zrozumienia, empatii wobec świata zewnętrznego i części świata wewnętrznego. W debacie publicznej trudno nam wówczas przyjąć nawet najbardziej oczywiste fakty – nie mówiąc o opiniach i argumentach – jeżeli uderzają one w nasz wizerunek samych siebie. Wizerunek, na którym zawieszone jest „wszystko” – cały sens naszego życia, jego „legitymizacja”.

Zbyt silna, uzależniająca tożsamość zamiast jednoczyć, prowadzi do głębokich podziałów i wykluczeń. Każde bowiem społeczeństwo jest w naturalny sposób zróżnicowane pod względem preferencji moralnych. Jedni za naczelną wartość uznają wolność, inni sprawiedliwość, a jeszcze inni hierarchię i autorytet lub czystość i świętość. Nadmierne wzmocnienie tożsamościowe utrudnia koegzystencję tych preferencji moralnych, co przy idei dojrzałej, czyli w praktyce obywatelskiej Rzeczypospolitej jest całkowicie możliwe, a nawet bardzo pożądane. Mamy wówczas sytuację jak z Europą, o której Jan Paweł II mówił zawsze, że ma dwa płuca, a nie jedno. Polska przezwycięży zaklęty krąg niemożności rozwojowej (wydobycia z peryferii), jeśli będzie oddychać obydwoma płucami, latać na obu skrzydłach i używać różnych składowych palety wartości.

Dojrzała Rzeczpospolita poszukuje i ustanawia tożsamość, ale dba też o to, by nie była ona ani zbyt słaba, ani zbyt silna. Niedobór tożsamości utrudnia bowiem zbiorowe myślenie i działanie, a nadmiar prowadzi do zamykania się poznawczego wspólnoty.

Ku pozytywnej reintegracji

Najważniejsza dla stworzenia dobrej kompozycji tożsamości i wartości, służącej trwaniu i rozwojowi Polski jest podmiotowość – podmiotowość poszczególnych obywateli i podmiotowość Rzeczypospolitej jako wspólnoty politycznej. Dlatego Dojrzała Rzeczypospolita dba o edukację do podmiotowości, która wychowuje osoby

Najważniejsze dla stworzenia dobrej kompozycji tożsamości i wartości, służącej trwaniu i rozwojowi Polski jest podmiotowość – podmiotowość poszczególnych obywateli i podmiotowość Rzeczypospolitej jako wspólnoty politycznej.

miłujące siebie, Polskę i świat w sposób refleksyjny. Której fundamentem jest nie tyle posłuszeństwo (choć wymagać trzeba), co odpowiedzialna, podmiotowa osoba. Buduje społeczeństwo

ludzi wolnych i odpowiedzialnych, miłujących własną ojczyznę nie tyle w sposób rekompensacyjny, czyli w jakimś stopniu „biorący”, ile z wyboru serca, przekonania umysłu i poczucia obowiązku – czyli w sposób bardziej „dający”.

Proces czasowej dezintegracji społeczno-kulturowej, który dzisiaj przeżywamy, nie musi na dłuższą metę być zły. Aby stał się szansą, musi prowadzić do pozytywnej reintegracji, czyli do wejścia na ścieżkę rozwoju podmiotowego społeczeństwa i podmiotowej wspólnoty politycznej, w której tożsamość integruje, a nie dzieli. Pod względem swej siły (natężenia) jest zaś tożsamością „skrojoną na miarę” – aby nie odczuwać ani lęku, ani pychy – tylko spokój wynikający z poczucia własnej wartości i tego, iż wiemy, kim jesteśmy.

Wykorzystajmy więc zbliżające się 100-lecie odzyskania niepodległości do partnerskiej, przyjaznej pracy nad naszą polską tożsamością. W tym duchu chcemy działać jako Kongres Obywatelski.



ANNA CEGIEŁA

dr hab., profesor Uniwersytetu Warszawskiego, językoznawca, kieruje Zakładem Edytorstwa i Stylistyki oraz Obserwatorium Etyki Słowa w Instytucie Polonistyki Stosowanej. Zajmuje się kulturą języka, leksykologią i etyką słowa. Bada język w przestrzeni publicznej. Przedmiotem jej szczególnego zainteresowania są zmiany w rozumieniu wartości oraz język debaty i sporów publicznych. Jest autorką m.in. takich prac, jak *Moralność w perspektywie słownika i wypowiedzi*, *Słowa i ludzie. Wprowadzenie do etyki słowa*, *Studia z etyki słowa* (z Pawłem Kucińskim, Laurą Polkowską i Marzeną Stępień). Działa w Zespole Etyki Słowa Rady Języka Polskiego.

Jaki język do budowania wspólnoty Polaków?

Konflikty angażujące i dzielące polskie społeczeństwo często nie wynikają wcale z różnic w sferze wartości, lecz z nieodpowiedzialnego używania języka. Takiego, które czyni ze wspólnoty grupę osób niemogących się porozumieć. Umiejętność odpowiedzialnego korzystania z języka jest w rzeczywistości pewną sztuką – sztuką bycia wśród ludzi. A odpowiedzialność za niego to odpowiedzialność za to, jaki świat dajemy drugiemu człowiekowi, za to, czy jest to ring bokseński, czy miejsce spokojnego dialogu.

Tekst przemówienia wygłoszonego podczas XI Kongresu Obywatelskiego, 5 listopada 2016 r.

Wielu z nas definiuje język jako narzędzie komunikacji. To ogromny skrót myślowy, ocierający się właściwie o pojęcie nieprawdy definicyjnej. Język nie jest wyłącznie narzędziem. I być może dlatego, że nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, zdarza nam się traktować go nieodpowiedzialnie. Bez języka nie byłoby możliwe poznanie, nie moglibyśmy nadawać kształtu myśleniu, nie powstałaby nauka ani literatura. Bez języka i komunikacji nie byłoby wspólnoty. Nie ma bowiem takiej wspólnoty, która nie zostałaby stworzona przez język.

Na pytanie o to, jakim językiem mówić, by budować wspólnotę, jest tylko jedna odpowiedź – mówić językiem ku drugiemu człowiekowi. Nie przeciw niemu. Mówić dla niego. Dojrzałe użycie języka jest użyciem nie dla siebie, nie po to, żeby wypowiedzieć emocje, jakie wzbudza w nas drugi człowiek, np. z powodu innych niż nasze poglądów politycznych. Dojrzałe użycie języka, jak każde inne dojrzałe działanie, jest działaniem rezygnującym z interesu prywatnego. Jest działaniem wspólnotowym – dla drugiego, dla innych.

Język jest działaniem. Działając bez namysłu, możemy nim zaszkodzić, zniszczyć kogoś lub go skrzywdzić. Także wspólnotę – rozbijając ją na grupę ludzi, którzy nie mogą się porozumieć. Taki ogromny zanik działań wspólnotowych, wręcz atomizację wspólnoty obserwujemy dziś w Polsce. Myślę, że duży udział ma w tym nieodpowiedzialne używanie języka, sięganie po kłamstwo, inwektywy, czy inne środki, które nie realizują postulatu poszanowania godności ludzkiej, które pozbawiają człowieka wielowymiarowości, odbierają mu autonomiczność. To nas – Polaków – niszczy i jest świadectwem niedojrzałości ludzi, którzy zachowują się, jakby walczyli o miejsce w piaskownicy.

A wspólnota Polaków nie jest piaskownicą – jest czymś znacznie ważniejszym. Trzeba w niej widzieć wartość wymagającą dojrzałej troski zbiorowej. Nie przed-

Na pytanie o to, jakim językiem mówić, by budować wspólnotę, jest tylko jedna odpowiedź – mówić językiem ku drugiemu człowiekowi. Nie przeciw niemu. Mówić dla niego.

kładać nieustannie swoich potrzeb nad potrzeby innych. Wyjść poza horyzont własnych interesów. Być cierpliwym i wyrozumiałym, nawet jeżeli nie jest to łatwe. Nikt z nas nie

żyje przecież na świecie sam. Jeżeli więc chcemy wzmocnić wspólnotę naszym językiem, powinniśmy zacząć od pytania, co możemy uczynić dla innych, a nie przeciw nim. Na tym polega dojrzałość społeczna, która obejmuje również sferę językową.

Francuski filozof Emmanuel Levinas pisał, że dar mowy otrzymujemy od drugiego człowieka. Darowanie mowy jest darowaniem świata. Mówimy zawsze do kogoś. Nie jest to więc dar dla mnie samego – to jest dar dany po to, żeby stworzyć wspólnotę, po to, żeby w tej wspólnocie wytrwać. Umiejętność odpowiedzialnego użycia języka jest w rzeczywistości sztuką – sztuką bycia wśród ludzi. A odpowiedzialność za niego – to odpowiedzialność za świat, który dajemy drugiemu człowiekowi, za to, czy jest to ring boksinowy, czy miejsce spokojnego dialogu. Dzięki językowi możemy spotkać się z drugim człowiekiem, możemy z nim rozmawiać i możemy z nim współdziałać. Jeżeli chcemy, żeby język tworzył wspólnotę, musimy rozmawiać tak, żeby realizowała się jego funkcja synergiczna, a nie funkcja narzędzia walki. Tę drugą funkcję znamy z dawnych czasów i pora się z nią po prostu rozstać. Dziś potrzebujemy języka, który buduje więzi międzyludzkie i służy wspólnemu działaniu w coraz bardziej skomplikowanym i trudnym świecie.

W sferze publicznej obserwujemy dziś zachowania językowe, które można nazwać nieodpowiedzialnymi. Językoznawcy mówią wręcz o degradacji języka jako narzędzia komunikacji. Ale to nie język się zdegradował – to jego użytkownicy nie potrafili sięgać po takie słowa, które budowałyby porozumienie, nie potrafili

stawiać wymagań osobom wypowiadającym się publicznie i dają tym samym pozwolenie na destrukcję sfery publicznej, na niszczenie więzi wspólnotowych. Taki nieodpowiedzialny stosunek do języka nie sprzyja dojrzewaniu postaw obywatelskich, bo odrywa od działań dla dobra wspólnego i prowadzi do nieustannych sporów i głębokich podziałów.

Wielu użytkowników języka sądzi, że wszyscy powinni znać ich negatywne emocje oraz sądy. W przestrzeni publicznej dają więc upust swojej niechęci do innych ludzi oraz ich działań. Byłoby zapewne lepiej, gdybyśmy mogli zaobserwować coś innego – próby zrozumienia innych ludzi, próby współdziałania, poszukiwanie sposobów komunikacji o sprawach, które nas łączą, które są wspólne. Odpowiedzialność wymaga bowiem, by rozmawiać przede wszystkim o tym, co ważne i dobre dla wspólnoty, a także by panować nad emocjami.

*Sztuka odpowiedzialnego użycia języka
jest w rzeczywistości sztuką – sztuką bycia
wśród ludzi. A odpowiedzialność za niego,
to odpowiedzialność za to, jaki świat dajemy
drugiemu człowiekowi.*

Tak naprawdę, wbrew obiegu opinii, często to, co nas dzieli, to nie wartości, lecz nieodpowiedzialny sposób użycia języka, którym o nich rozmawiamy. Wiele wartości Polacy uznają za wspólne. Kłócimy się dlatego, że nie umiemy o nich rozmawiać, nie umiemy się co do nich porozumieć. I co gorsza, nie próbujemy tego czynić, bo zbyt często wygrana z przeciwnikiem i partykularne korzyści są ważniejsze od porozumienia.

Pamiętajmy o tym, że jedną z podstawowych wartości wspólnych jest polszczyzna – nasza polszczyzna. W niej wyrastaliśmy i w niej umrzemy. Nie zmienimy języka, którym myślimy, nie zrezygnujemy z niego. Dlatego dla dobra nas wszystkich powinniśmy używać go rozważnie, myśląc nie tylko o tym, jak dobierać słowa, lecz także o tym człowieku, który ich słucha. Myśl o języku jest bowiem zawsze myśleniem o człowieczeństwie – zarówno naszym, jak i drugiego człowieka.



KRZYSZTOF JEDLIŃSKI

psychoterapeuta i trener psychologiczny z tytułem doktora. Pracuje w Ośrodku Intra w Warszawie. Członek rady naukowej magazynu „Charaktery” oraz rady redakcyjnej miesięcznika „Więź”. Autor oraz współautor kilku książek, m.in. *Jak rozmawiać z tymi, co stracili nadzieję*. Absolwent Akademii Medycznej w Warszawie.

Słuchanie i wybaczenie drogą do budowy dojrzałego społeczeństwa

Umiejętność panowania nad własnymi emocjami to sztuka świadcząca o naszej dojrzałości. Jest ona kluczem do dobrej komunikacji, opartej na otwartości, szacunku, wyrozumiałości oraz umiejętności wybaczenia. Bez tego trudno będzie nam, Polakom, oprzeć się manipulacjom, które zdominowały współczesny dyskurs publiczny. Nie pracując nad lepszą kontrolą naszych emocji, jako naród coraz bardziej będziemy odchodzili od ducha demokracji w kierunku oligarchii zdolnych manipulatorów.

Niebezpieczna emocjonalność

Dojrzałość jest pojęciem bardzo złożonym. Jednym z jego istotnych elementów jest dojrzałość emocjonalna. Emocje natomiast są niezależnymi od woli, bardzo ważnymi wskaźnikami orientacyjnymi pozwalającymi nam bezpiecznie funkcjonować. Strach wskazuje nam niebezpieczeństwo, złość mobilizuje do obrony, ciekawość – do eksploracji świata. Aby jednak emocje spełniały swoją informacyjno-regulującą funkcję, muszą mieścić się w czymś, co można nazwać „optymalnym obszarem kontroli”. Na jednym jego krańcu znajduje się stan „zalanienia przez uczucia”, charakteryzujący się wyłączeniem racjonalnego funkcjonowania. Na drugim natomiast jest izolacja od emocji, a zatem pozornie „czysto racjonalne funkcjonowanie”, będące w rzeczywistości funkcjonowaniem pozbawionym istotnych drogowskazów, jakimi są bodźce emocjonalne.

Ani człowiek, którego emocje zalewają, ani ten, który jest od nich odizolowany, nie będzie w stanie wsłuchać się w drugiego. Ten pierwszy będzie bardziej

skoncentrowany na swoim stanie emocjonalnym niż na rozmówcy, ten drugi natomiast nie dostrzeże szczegółów, niuansów koniecznych do dobrego porozumienia. Gdyby zastanowić się nad tym, co nam, Polakom, w chwili obecnej bardziej zagraża, zdecydowanie byłby to pierwszy z tych scenariuszy. Dobrze to widać na przykładzie aktualnej debaty publicznej, świetną tego ilustracją są także komentarze internetowe. Krótkie, soczyste, oscylujące pomiędzy uwielbieniem, a furią świadectwa szybkiego refleksu, ale nie refleksji...

Nie to jest jednak w tym wszystkim rzeczą najgorszą. Otóż istnieje kategoria emocji, które nazywamy emocjami instrumentalnymi. To takie emocje, które pro-

Jeśli nie postaramy się o optymalną kontrolę emocji, będziemy jako naród coraz bardziej odchodziли od ducha demokracji w kierunku oligarchii zdolnych manipulatorów.

dukujemy, aby coś od drugiego uzyskać, aby tą osobą zmanipulować. Wyrazistym tego przykładem jest małe dziecko, które rzuca się w złości na ziemię, aby wymusić od rodzica

kupienie zabawki. Tymi instrumentalnymi emocjami posługują się z dużą wprawą niektórzy politycy, dziennikarze czy internetowi manipulatorzy.

Mają oni na celu uzyskanie wpływu na drugiego, a właściwie na jak największą liczbę „drugich”. Starają się jednych uwieść, innych przerazić, jeszcze innych porwać za sobą w ataku złości. Człowiek skłonny do stanu zalania przez emocje będzie natomiast niezwykle łatwym łupem dla owych „wielkich”, szukających wpływu i „rządu dusz”.

Innymi słowy, jeśli nie postaramy się o optymalną kontrolę emocji, będziemy jako naród coraz bardziej odchodziли od ducha demokracji w kierunku oligarchii zdolnych manipulatorów. Telewizja czy internet, zamiast być źródłem informacji, będą rodzajem ringu z zawodnikami walczącymi ze sobą przy pomocy „rozkręconych” instrumentalnych emocji, wpływających w sposób dominujący na świadka: widza bądź internautę.

Warto mieć też na uwadze jeszcze jeden aspekt: emocje zalewające człowieka to emocje proste: lęk, złość, smutek, radość, pożądanie, euforia itp. Nie można być „zalanym” przez emocje złożone (jak dawniej się mówiło – „wyższe”), takie jak przyjaźń, sympatia, wierność, konsekwencja. Nadmierny kontakt z emocjami prostymi zabiera miejsce dla tych złożonych. Jedną z definicji psychopatii (inaczej socjopatii) to właśnie nietrwałość emocji złożonych. Można powiedzieć, że społeczność zanurzona w komunikacji internetowej czy też wystawiona na ostry i manipulujący przekaz medialny psychopatyzuje się. A ściślej – najpierw, gdy jest w fazie ostrego i uogólnionego reagowania prostymi emocjami, histeryzuje się, a następnie, oduczając się emocji złożonych, psychopatyzuje. To z kolei toruje

postawy społeczne, czy wręcz antyspołeczne. Nie potrafimy rzetelnie dostrzec drugiego człowieka – jesteśmy zbyt silnie skoncentrowani na sobie. Trudno nam uznać jego odmienność czy być wobec niego wyrozumiałym.

Czy zatem jako naród idziemy dziś w kierunku egocentrycznych, podatnych na manipulacje psychopatów? Czy reguły gry politycznego i publicznego dyskursu prowadzą właśnie do tego? Może tak, i tylko tak, wygląda w praktyce demokracja?

Receptą dojrzała komunikacja

Wydaje mi się, że niekoniecznie. Nawet w sytuacji dramatycznej różnicy poglądów, czy walki o władzę, można starać się być jak najbliższej relacji obustronnego szacunku i zrozumienia. Kluczem do tego jest umiejętność dobrej komunikacji, opartej na otwartości, zaciekawieniu, uważności, wzajemnym poszanowaniu.

Aby była ona możliwa, trzeba się jednak uwolnić od emocjonalnego poczucia zagrożenia. Takie poczucie ma tendencję do uogólniania się. Nie przypadkiem substancja przekątnikowa w mózgu – dopamina – z jednej strony uaktywnia się w sytuacji nieokreślonego zagrożenia, powodując niejako posiadanie oczu i uszu dookoła głowy, reagowanie na każdy ruch, szelest, a z drugiej strony jej nadmiar wywołuje stany psychotyczne o charakterze paranoicznym. Emocjonalne poczucie zagrożenia należy zastąpić racjonalną oceną zagrożenia. I wówczas okaże się, dla przykładu, że co prawda byłoby to zagrażające, gdybyśmy dali się zmanipulować drugiej stronie i wyjawilibyśmy jakieś – dajmy na to – partyjne tajemnice, ale że zupełnie nie jest dla nas zagrażające, jeśli druga strona przedstawi szczegółowo swój punkt widzenia na jakąś sprawę, choć jest on zupełnie sprzeczny z naszym.

Nawet w sytuacji dramatycznej różnicy poglądów, czy nawet walki o władzę, można starać się być jak najbliższej relacji obustronnego szacunku i zrozumienia. Kluczem do tego jest umiejętność dobrej komunikacji, opartej na otwartości, zaciekawieniu, uważności, wzajemnym poszanowaniu.

Ponadto, uruchamiając ciekawość – stanowiącą swoją drogą silny środek przeciwlękowy – możemy, dopytując drugą osobę o szczegóły, zauważyć, że w naszych poglądach istnieją punkty wspólne. I nawet jeśli ze względów taktycznych nie będziemy o tym mówić, to nasze nastawienie emocjonalne do adwersarza (choćby jeszcze dalekie od sympatii) nie będzie już несло w sobie poczucia zagrożenia – największego paliwa wrogości.

Dobra komunikacja wymaga też od nas, byśmy podczas słuchania potrafili odróżnić sferę opinii od sfery faktów. A nawet, roboczo, przesunąć nieco granicę

w stronę opinii. Dobrym przykładem jest tu opinia lekarska, w której np. sformułowanie „nie ma powiększenia wątroby”, zastępuje się sformulowaniem „powiększenia wątroby nie stwierdzam”.

Oczywiście, byłoby idealnie, gdyby interlokutorzy zawsze trzymali się faktów, ale wiadomo, że to niebezpieczny idealizm. Jeśli jesteśmy przekonani, że mamy rację co do faktów (druga strona najprawdopodobniej ma symetryczne przekonanie), zamiast mówić: „pan kłamie!”, zapytajmy – uruchamiając ciekawość – „a zatem jak pan to widzi? jak pan to tłumaczy?”. Bądźmy spokojni – rzeczywistość, prędzej czy później, obroni się sama.

Postawa akcentu na opinie staje się oczywista, gdy nie mamy pewności co do faktów. Dobrym przykładem jest ekonomia, gdzie istnieją bardzo zróżnicowane poglądy, odmienne teorie i gdzie możemy z równym zaangażowaniem bronić stanowiska radykalnie wolnorynkowego, jak i interwencjonizmu państwowego. Tutaj powiedzenie: „Mam zupełnie inne zdanie na ten temat” nie jest niczym niestosownym.

W tym miejscu chciałbym jak najmocniej podkreślić, że różnica poglądów nie musi oznaczać popsucia dobrej relacji. Może się ona okazać czynnikiem twórczym – w poszerzaniu pola widzenia czy szukaniu pola wspólnego.

Rzecz jasna, to wszystko nie oznacza ześlizgnięcia się w pewien relatywizm, nie oznacza rezygnacji z przekonania o istnieniu prawdy obiektywnej. Ale czyż nie jesteśmy w stanie wysłuchać drugiego, nawet jeśli mamy przekonanie, że myli się w sprawach podstawowych? I czyż nie możemy zobaczyć pozytywnych aspektów jego błędnej zasadniczo postawy? Pamiętajmy o zasadzie logiki, która mówi, że prawdziwe wnioski mogą wypływać również z błędnych założeń.

Warto wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy. Uważne, nieoceniające słuchanie nie tylko pozwala lepiej usłyszeć i zrozumieć treść wypowiedzi drugiej osoby, ale samo w sobie jest komunikatem relacyjnym do rozmówcy – mówi o przyjętej postawie otwartości i podstawowego szacunku. Każdy z nas odbiera, odczytuje i ocenia wymiar relacyjny w kontakcie z drugą osobą. Jeśli odczytuję zasadniczo pozytywne nastawienie, w sposób naturalny odpowiadam tym samym. Jeśli odczytuję nastawienie negatywne, nie tylko sam nastawiam się podobnie, ale może to mieć też istotny, ujemny wpływ na sposób słuchania, przyjęcia i rozumienia wypowiedzianych treści. Wymiar relacyjny, odczytywany przez odbiór postawy, zachowania, przyjętego języka może w większym stopniu wpływać na budowanie porozumienia niż kompetencja i racjonalność argumentów. Dobre traktowanie w relacji odbieramy jako wyraz szacunku, uznania naszej godności. Poczucie godności jest natomiast potrzebą uniwersalną i niezbywalną.

Dobrze jest w relacji, na przykład podczas rozmowy, po prostu spojrzeć jakby kontemplacyjnie na drugiego, zobaczyć go jakby „bez celu”, akceptując go jako osobę. Z dużym prawdopodobieństwem prędzej czy później odpowie nam tym samym.

Zdolność wybaczenia – zaakceptowanie inności drugiego

Uważne, otwarte słuchanie, pozwalające lepiej zrozumieć drugiego oraz budujące konieczne warunki rzeczywistego dialogu, wydaje się oczywistą jakością dla budowania dojrzałych relacji. Ich często lekceważonym budulcem jest też kwestia wybaczenia. Zdolność ta oznacza akceptację dla inności drugiego, zawierającą w sobie wyrozumiałość. Kiedy słucham naprawdę uważnie, zapominam o sobie, jestem cały w wysiłku usłyszenia i zrozumienia. Kiedy mam wybaczyć, rezygnuję z roszczenia posiadania jedynej słusznej prawdy, rezygnuję z postawienia siebie wyłącznie w pozycji poszkodowanego. Oczywiście nie chodzi tu o sytuacje realnego zła, doznania wielkich rzeczywistych krzywd, które nieraz rujnują ludzkie życie i których wybaczenie wymaga spełnienia wielu warunków (czasu, podźwignięcia się, zalecenia ran itd.). Chodzi o zbudowanie samej zdolności do wybaczenia. A buduje się ona w codziennych sytuacjach, w których dotyczą nas, czasem boleśnie, konsekwencje naszej odmienności, różnorodności, wyrażające się w sposobach reagowania, zachowania, w postawach, języku, upodobaniach, gustach.

Uważne, nieoceniające słuchanie nie tylko pozwala lepiej usłyszeć i zrozumieć treść wypowiedzi drugiej osoby, ale samo w sobie jest komunikatem relacyjnym do rozmówcy – mówi o przyjętej postawie otwartości i podstawowego szacunku.

Im większy obszar wzajemnej wyrozumiałości, tym bardziej podmiotowo mogą czuć się strony i z pozycji partnerskiej negocjować to, co naprawdę trudne do przyjęcia. Im mniej drobnych „przewinień” wybaczamy, im mniej jesteśmy wyrozumiali, tym bardziej i szybciej rosną po obu stronach mury, zza których padają coraz silniejsze oskarżenia. Każda ze stron czuje się pokrzywdzona i coraz bardziej utwierdza się w tej pozycji. Możliwość wzajemnego wybaczenia oddala się nieuchronnie, wzrasta poczucie zagrożenia i podejrzliwość. Dopamina w mózgach szaleje.

Dobrym tego przykładem są często spotykane trudności małżeńskie. Jedna ze stron (lub obie), bazując na „miodowym” poczuciu bliskości i wspólnoty, ulega iluzji, że drugi (druga) jest taki sam, że myśli i odczuwa tak samo, a co najmniej podobnie. Jeśli fakty zaczynają temu przeczyć, nie uznajemy ich i próbujemy drugą stronę „przygiąć” do naszej wizji, naszej postawy. Budzą

się w nas resentymenty, żale, nieraz złość i agresja. „Występki” drugiej strony często nimi nie są, będąc tylko (nieraz bardzo drobnymi i codziennymi) manifestacjami odmienności. Paradoksalnie: strona, która ma większą trudność z akceptacją odmienności drugiego i widzi jego „grzechy”, których nie akceptuje (tzn. nie wybacza), sama w rezultacie tego często popełnia już autentyczne wykroczenia, np. w postaci zachowań przemocowych. I znów, podobnie jak w przypadku różnicy poglądów, absolutnie nie chodzi o to, by postawy i zachowania na siłę „uwsppólniać”, „ujednolicać”, ale by akceptować odmiennność. Paradoksalnie, wydaje się, że trudniej akceptować odmiennność, gdy punkt wyjścia był wspólny (lub takim się wydawał) niż w przypadku odmienności od początku „zadanej”. W życiu politycznym ilustracją tego może być silniejszy konflikt wewnątrz środowiska postsolidarnościowego niż pomiędzy tym środowiskiem a środowiskiem lewicy.

Receptę teoretyczną, dotyczącą tego, jak w sposób dojrzały się ze sobą komunikować, już znamy – czy jednak jest możliwe zaszczepienie jej do rzeczywistości? Jak edukować Polaków, aby chcieli i potrafili się słuchać, aby byli wyrozumiali (a w konsekwencji wybaczący), aby nabyli zdrowej kontroli emocji i nie pozwalali się manipulować przez wpływowych „oligarchów dusz”?

Efekt motyla

Na pewno musi to być proces wielostronny i długofalowy. Już wychowywanie małego dziecka, które rodzice dostrzegają jako odrębną, ale łączącą głębokiej relacji

Warto postawić na promowanie ludzi „przytomnych”, umiających zachować optymalną kontrolę emocji. Wzmacniać uczciwych i zrównoważonych emocjonalnie polityków i dziennikarzy.

istotę, pomaga mu nazywać emocje i jednocześnie stawiać racjonalne granice. Może to stworzyć dobre podstawy do emocjonalnej dojrzałości.

Dużą rolę w tym procesie mają też do odegrania aktorzy współdziałający z rodziną – np. szkoła, wspólnota kościelna, harcerstwo itp. – którzy promują i wzmacniają zdrowe poczucie odrębności z jednoczesnym nastawieniem na głębokie relacje.

Gdy chodzi o dorosłych, warto postawić na promowanie ludzi „przytomnych”, umiających zachować optymalną kontrolę emocji. Wzmacniać uczciwych i zrównoważonych emocjonalnie polityków i dziennikarzy. Tacy ludzie bardzo potrzebują oznak wsparcia, choćby przez internet. Ze względu na szeroki zasięg oddziaływania może ono dać zauważalne efekty.

Nie cofajmy się wreszcie nawet przed drobnymi działaniami w pożądanym kierunku. Takie cofnięcie może wynikać z przekonania o braku wpływu na tzw. makroprocesy. Z przekonania, że mój drobny gest i tak nic nie znaczy. Otóż ten gest, to mikrodziałanie, może mieć potencjalnie ogromne znaczenie. W meteorologii znany jest efekt skrzydła motyla – w sytuacji nierównowagi oraz wielce skomplikowanej (jak sytuacja meteorologiczna) pomachanie skrzydełkami przez motyla może być tym czynnikiem decydującym, który uruchomi tornado. Podobnie jest w sytuacji społecznej. Drobny gest, jak choćby przeprowadzenie spokojnej i życzliwej rozmowy z krewniakiem, który ma poglądy polityczne diametralnie odmienne od moich, może mieć konsekwencje daleko wykraczające poza dobre relacje w rodzinie. A nawet jeśli nie spowoduje ożywczego tornado, to będzie to jeden z wielu kamyczków budujących w przyszłości gmach lepszej Polski i świata.



MICHAŁ DROZDEK

socjolog zarządzania, filozof społeczny, prezes Fundacji SPES, pracuje w Najwyższej Izbie Kontroli.

Dojrzałość, by nie popadać ze skrajności w skrajność

Ludzie starzy, doświadczeni, którzy w większości kultur od wieków postrzegani byli jako największe autorytety, tracą dziś swoją pozycję. W dobie szybkich, nierzadko diametralnych zmian cywilizacyjnych rola ta przypada coraz częściej młodym, a zatem tym, którzy są w stanie nadążyć za dynamicznymi trendami technologicznymi. Na co nam zatem dziś w galopującym świecie dojrzałość? Osoby dojrzałe, które przeżyły w swoim życiu wiele zwrotów, potrafią z dystansu czasu dostrzec ich incydentalność. Odporni są przez to – w przeciwieństwie do wielu młodych – na pokusę jednokierunkowości myślenia i przechodzenia ze skrajności w skrajność. Warto wykorzystać ich mądrość.

Odwrócenie autorytetów

Dojrzałość nie jest dziś na czasie. Ostatnie wieki to niespotykany w historii awans młodości. Niegdyś życie jednego człowieka przebiegało w jednej epoce. Co prawda, od czasu Heraklita z Efezu (pięciu wieków przed Chrystusem) ludzkość ma świadomość, że nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki, bo *panta rhei* (wszystko płynie), ale kiedyś zmiany cywilizacyjne były dużo bardziej powolne. Poza wypadkami wyjątkowymi przekraczały horyzont jednego pokolenia. W związku z powolnością i pewną przewidywalnością zmian, kto żył na świecie dłużej, ten mógł zgłębić dokładniej prawa rządzące zawsze dość złożonym światem. Stąd olbrzymi autorytet starców, jako tych, którzy wiedzą i rozumieją najwięcej. Ich rada była więc bezcenna.

Wraz jednak z rozwojem technologii, szczególnie technologii komunikacyjnej, świat zmienia się coraz szybciej. Wszelkie nowinki, które powstają na drugiej pół-

kuli, tego samego dnia mogą wpłynąć na nasze życie. We wszystkich dziedzinach. A ponieważ technologia nie tylko – tak jak kiedyś – towarzyszy i pomaga nam w naszym życiu, ale wprost decyduje o nim, narzuca nam swoje standardy, wpływa dynamicznie na obyczaje i kulturę. Autorytet przechodzi na młodych, którzy z natury za burzliwym rozwojem technologii i jej wpływem na kulturę nadążają.

Człowiek na ogół – według psychologów rozwojowych – za stan naturalny uważa paradygmat pojmowania świata, który przyswoił sobie w wieku 15–25 lat. Wtedy kształtuje się najogólniej nasz świat wartości, nasze rozumienie zasad i prawidłowości życia, zarówno indywidualnego, rodzinnego, jak i publicznego. Granica przyswajania zmian znajduje się około 45. roku życia. Wcześniej – jak dowiedli eksperymentalnie amerykańscy uczeni – kiedy dostajemy nowy program komputerowy, cieszymy się ze zwiększonych możliwości, nie przejmując się problemem nauczania się jego reguł. Kiedy natomiast zaczynamy zbliżać się do pięćdziesiątki, stwierdzamy – a po co mi to? Świetnie sobie przecież radzę z Windowsem XP i starą Nokią.

Dlatego ekspertami od nowych czasów i tego, co one niosą, mogą być tylko ludzie młodzi, z otwartymi głowami. Szczególnie że w teorii zarządzania, którą zajmuję się zawodowo, coraz więcej wysiłku intelektualnego moi mistrzowie poświęcają zmianie. Ponieważ świat – jak już stwierdziliśmy – zmienia się coraz szybciej,

Tradycyjnie największym autorytetem w społeczeństwach cechowali się starcy, jako ci, którzy wiedzą i rozumieją najwięcej. Dziś autorytet przechodzi na młodych, którzy z natury nadążają za burzliwym rozwojem technologii i jej wpływem na kulturę.

my, żeby nadążać, też zmieniać się musimy. Odczuwalne jest to najbardziej w biznesie. Kiedyś producent tanich pinezek z Otwocka mógł przez lata panować nad rynkiem okółowarszawskim, a jak Szwajcarzy wymyślili

coś nowego w branży, to można było się temu przyjrzeć i zastanowić, czy warto w to inwestować, bo i tak do Grodziska Mazowieckiego ich towar prędko nie dotrze. Teraz, gdy jakiś Hindus i Madagaskarczyk na wyspie Mauritius opracują nową technologię obróbki pinezek, dającą 5 centów oszczędności na paczce, to pinezki wytwarzane w ramach tej technologii za półtora tygodnia są już w sklepie papierniczym w Sulejówku. Kto nie nadąży, ten przepada.

Jak mawia Edward Deming, „zmiana nie jest konieczna, bo przetrwanie nie jest obowiązkowe”. Trzeba się zmieniać. Zmieniać nie tylko technologię i asortyment. Zmieniać także organizację, metody zarządzania, relacje między ludźmi. Umiejętność i (co może nawet ważniejsze) gotowość do analizowania szans i barier, podejmowania ryzykownych decyzji, realizowania innowacyjnych rozwiązań, zależna jest od kultury organizacyjnej. Skostniała będzie te kompetencje firmy ograniczać, a bez nich ani rusz. Ale nie chodzi tylko o kulturę – ta stanowi jedynie ramy.

Po co nam dojrzałość?

Ludzie dojrzałą wiedzę może i więcej od młodych, ale na temat starych, powoli odchodzących w przeszłość technologii, zasad organizacji, obyczajów. Pojmują świat według skostniałych paradygmatów, które w czasach ich młodości były przełomowymi odkryciami. Zdobywają coraz więcej wiedzy, ale niełatwo im na nowo świat zrozumieć, odrywając się od tych kategorii, które przed laty były rewelacyjne i pozwoliły im przezwyciężyć anachronizm myśli ich dziadków.

Wszyscy wiemy, dlaczego starych drzew się nie przesadza. Mamy w pamięci przejmujący i mądry film Kazimierza Kutza *Paciorki jednego różańca*, pokazujący prawdziwie, jakim dramatem dla człowieka starego jest zmiana. Bystry, ale dojrzały Duńczyk w *Vabanku* na propozycję Kwinty udziału w kolejnym skoku odpowiedział: „Z wiekiem spada zapotrzebowanie na zysk, a rośnie popyt na święty spokój”. Ludzie starsi, dojrzałsi, uciekają od ryzyka i zmian, szukają bezpieczeństwa i spokoju. Na starzenie się ludzi niewiele poradzić możemy, dlatego, jako socjolog zarządzania, cały swój wysiłek twórczy koncentruję na wypracowywaniu systemów niepozwalających starzeć się, zużywać instytucjom, żeby przynajmniej one zachowały kreatywną siłę niedojrzałości.

Najbardziej znana anegdota o postępie ukazuje jego źródła w niedojrzałości i niewiedzy, mówiąc, że żółtodzioby rozwiązujący niespodziewane problemy mają tak małą wiedzę, iż nie wiedzą, że tego rozwiązać się nie da. Mój ulubiony internetowy mem ukazuje natomiast napis na jakimś chodniku: „Kreatywni dorośli to dzieci, które przetrwały”.

Dlaczego zatem powinniśmy wychwalać dojrzałość? Choć nie jest ona na czasie, to ma jednak jedną zaletę, która kazała mi, człowiekowi, który już żółtodziobem pewno nie będzie, podjąć temat. Tę zaletę da się najkrócej ująć w dwóch słowach: jest potrzebna. A nawet trzech: jest bardzo potrzebna. Im szybciej świat się zmienia, tym dojrzałość jest bardziej niezbędna. Może więc medycyna, która przedłuża nam ciągle życie, nie doprowadzi tego świata do klęski, jaką mogłoby na pierwszy rzut oka być to, co demografowie nazywają starzeniem się społeczeństwa. Może jednak ci ludzie, którzy przeżyli kawałek czasu i przez ten kawałek czasu wiedzieli niejedno, z tą swoją dojrzałością są nam i przyszłości świata ciągle bardzo potrzebni? Każdy żeglarz się zgodzi, że im mocniejsze porywy wiatru, tym ważniejszy jest ciężar balastu zainstalowanego na dolnym końcu kila. On utrzymuje równowagę i nie pozwala niebezpiecznie miotać łódką na różne strony.

Dojrzałość jest w dzisiejszym świecie niczym balast na łódce. Utrzymuje on jej równowagę i nie pozwala niebezpiecznie miotać nią na różne strony.

Wiemy od św. Pawła, że: „teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany”. Prawda, którą znamy, to nie jest rzeczywistość. To jest pewien model rzeczywistości uczyniony przez nasz, na ogół bardzo bystry, umysł. Ponieważ rzeczywistość jednak jest nieskończenie złożona, każdy model musi być uproszczeniem, bo nasz umysł – choć jest najbardziej złożonym systemem w znanym kosmosie – jest jednak skończony. Jeżeli nie uprościmy w poznawanych prawdach rozmaitych wystających kantów, nie zawsze pasujących nawzajem do siebie, to wywołamy niepokojące uczucie dysonansu poznawczego. Dlatego próbujemy sobie tak to wszystko poukładać, żeby do siebie nawzajem pasowało. Słusznie zauważył Georg Hegel, że jeżeli fakty przeczą, tym gorzej dla faktów.

Fałszywe kamienie filozoficzne

Ludzie młodzi, budujący złożone modele rzeczywistości pomagające to wszystko pojąć, łatwo popadają w pułapki uproszczeń, nawet bardzo inteligentnych, bogatych i urozmaiconych, ale próbujących tworzyć system w oparciu o widoczne kamienie filozoficzne. Im ich mniej, tym łatwiej domknąć system, nawet bardzo złożony, uniknąć przez to elementów z pozoru niepasujących, wymagających innych wyjaśnień. Odkrycie nowej prawidłowości, zrozumienie ciągu przyczynowo-skutkowego, który wcześniej nie był oczywisty, a przynajmniej nie był oczywisty dla wszystkich, powoduje podświadome przekonanie o (lepszemu od innych) dostępie do prawdy, o panowaniu swojego umysłu nad procesem poznawczym, czego nie doświadczają – przynajmniej w takim stopniu – inni. Stąd już krok do błędu.

Zdobycie takiego kamienia filozoficznego prowadzi do poważnego, charakterystycznego dla ludzi inteligentnych, ale pozbawionych odpowiedniego doświadczenia, błędu poznawczego. Można by go nazwać prostoliniowym interpolowaniem trendów. Tymczasem wielowiekowe doświadczenie narodów wskazuje, że przy stałym długofalowym rozwoju większość zjawisk społecznych nie zachowuje jednak równowagi, chwiejąc się na zasadzie sinusoidy – od skrajności do skrajności. Czasami sinusoida jest w dłuższej perspektywie wznosząca, czasami opadająca, niekiedy zmienna – to znaczy, że krótsze okresy zmian nakładają się na dłuższe fale opadające i wznoszące.

Nasza psychika ma naturę reaktywną. Jeżeli czegoś jest za dużo, jest absolutyzowane, staje się niefunkcjonalne i dokuczliwe, to odwijamy się i zaczynamy uważać to za przeszkodę zupełnie niepotrzebną i dążymy do wyeliminowania tego elementu, czasami nawet bardzo emocjonalnie. Odwrotnie, jeżeli na dłuższej przestrzeni czasowej odczuwamy czegoś wyraźny deficyt. Mamy wówczas skłonności do abso-

lutyzowania tej wartości i koncentrowania się na jej realizacji, zapominając o innych, szczególnie tych, których było ostatnio nieco za dużo. Nie zawsze potrafimy wyprostować zgięty kij, najczęściej zawzięcie przeginamy go w drugą stronę. Nasz kamień filozoficzny, którym jesteśmy zachwyceni, przesłania nam inne, dla nas gorzej widoczne, pojawiające się często z nieoczekiwanej strony.

Koncentrujemy nasze wysiłki – indywidualne i zbiorowe – na realizacji jednej wizji, na zmianie świata w jednym kierunku, bośmy odkryli właśnie, że wysiłki poprzedników idące w kierunku przeciwnym zaczęły z czasem przynosić więcej szkody niż pożytku. Przywiązujemy się do naszej myśli, jako ludzie inteligentni potrafimy uzasadniać ją coraz głębiej i silniej, nie zauważamy, że popełniamy ten sam błąd, co poprzednicy. Jednokierunkowość myślenia powoduje brak odporności na zagrożenia pojawiające się z innych stron, leżących poza naszym kamieniem filozoficznym, poza paradygmatem, który tłumaczy nam problemy tego świata. Nie rozumiemy ludzi, którzy myślą inaczej, którzy w innym miejscu umieścili swój kamień. Dla nas są albo głupcami, którzy nie pojęli jeszcze praw rządzących tym światem, albo cynicznymi graczami, złymi ludźmi, którzy z jakichś powodów egoistycznych – indywidualnych lub zbiorowych interesów – nie biorą prawdy pod uwagę.

Ludzie młodzi łatwo popadają w pułapki uproszczeń. Ich „kamień filozoficzny”, którym są zachwyceni, przesłania im inne rozwiązania, nakierowując wysiłki na realizację jednej, konkretnej wizji. Tymczasem jednokierunkowość myślenia powoduje brak odporności na zagrożenia pojawiające się z innych stron.

Ze skrajności w skrajność – przykłady z historii

W tym kontekście najbardziej spektakularną wpadką ostatnich lat było słynne ogłoszenie przez Francisa Fukuyamę końca historii ćwierć wieku temu. Nie na tym polegał jego błąd, że ogłaszając koniec historii, nie wziął pod uwagę różnic w rozwoju tej historii w różnych częściach świata, co mu się najczęściej zarzuca. Błąd jest głębszy. To, co Fukuyama potraktował jako trend liniowy, okazało się tylko pewnym szczytem fali sinusoidalnej. Błąd w zbiorowym myśleniu ma najczęściej swe źródło w zrozumiałej tendencji naszego umysłu do myślenia reaktywnego. Nowe prądy myślowe (a szczególnie ideologie) powstają jako reakcja na zaniedbywanie jakiejs wartości i nadużywanie innej przez poprzednią epokę lub konkurencyjny sposób myślenia. Dostrzeżenie błędu poprzedników powoduje, że się na nim koncentrujemy i zamiast doprowadzać do wyprostowania kija, przeginamy go w drugą stronę.

Kiedy absolutyzm oparł rządy na zaprzeczeniu wolności poddanych, jako reakcja ukształtował się indywidualistyczny liberalizm, obiecujący, że sama wolność wszystko załatwi. Braki, jednostronność stworzonego z kolei przezeń XIX-wiecznego kapitalizmu, doprowadziły do tego, że – jak to określił Leon XIII w pamiętnej encyklice *Rerum novarum* w 1891 roku – „garść możnych i bogaczy nałożyła jarzmo prawie niewolnicze niezmiernej liczbie proletariuszy”. Sama wolność nie zadziałała. Socjaliści więc, którzy przeciwko temu absolutyzowaniu wolności i jej zgubnych skutków się zbuntowali, wymyślili ustrój nieprzywiązujący do wolności należytego znaczenia i w XX wieku wprowadzili go w życie w wielu krajach świata, osiągając skutki nierzadko jeszcze gorsze od tych, przeciwko którym się zbuntowali.

Wówczas kij przegiął się znów w odwrotną stronę i nastała epoka nazywana w ekonomii neoklasyczną. Najkrótszym argumentem przeciwko, zdawałoby się oczywistemu, postulatowi sprawiedliwości społecznej stało się przypomnienie, że była to wartość istotna dla komunistów. Po wielu doświadczeniach z różnymi kolektywizmami opartymi na przewadze bytów zbiorowych, głównie państwa, nad wolnościami jednostkowymi dla Fukuyamy i większości analityków epoki postreganowskiej oczywiste się stało, że liberalny kapitalizm jest rozwiązaniem ostatecznym, dającym ludzkości narzędzia do samodoskonalenia się i rozwiązywania wszystkich pojawiających się problemów.

Tymczasem źródeł wydarzeń i niezrozumiałych dla wielu zmian ostatnich lat, a nawet miesięcy (Brexit, Trump, Le Pen, popularność populizmów i narastanie nacjonalizmów), wielu analityków dopatruje się właśnie w odstąpieniu przez możnych od absolutyzowanych w socjalizmie sprawiedliwości i solidarności społecznej oraz regulujących je zasad jako wymogów moralnych. Traktowanie ich w najlepszym wypadku jako protez, a nie istotnych wartości, stało się generalną przyczyną światowego kryzysu finansowego i następującego po nim kryzysu zaufania do dominujących elit i ich świata wartości. Od końca lat 70., kiedy okazało się, że ZSRR nie stworzy już na pewno lepszego świata, mogącego pociągnąć masy i wywołać rewolucję, narasta rozpiętość dochodów między garstką najbogatszych i masami niezamożnych. Jest to zjawisko, które statystycy odnotowują niemal na całym świecie. Nie może więc być dziełem przypadku, ani naturalną fazą rozwoju kapitalizmu – od II wojny światowej do końca lat siedemdziesiątych trend był bowiem odwrotny. Jednocześnie na fali absolutyzacji wolności gospodarczej instytucje finansowe osiągają coraz większą przewagę nad sektorem produkcyjnym, co – zdaniem wielu – leży u głębszych przyczyn nierównowagi owocującej światowym kryzysem finansowym.

Sinusoidalność wielopłaszczyznowa

Podobna sinusoidalna nierównowaga wartości, wokół realizacji których koncentrujemy nasze zbiorowe wysiłki, występuje na innych płaszczyznach.

Wszyscy słusznie boimy się nacjonalizmu, który w swej skrajnej, chorej postaci owocował przerażającym ludobójstwem. Wielu więc w obawie przed nim stara się minimalizować różnymi środkami tożsamość narodową, myślenie w kategoriach interesu narodowego, uważając je za przestępstwo przeciw otwartości i w ogóle moralności. Przyjęcie takiej reaktywnej perspektywy powoduje, że w momencie przesileni kryzysowych odpowiedzią stanie się nacjonalizm agresywny i ksenofobiczny, często szukający wrogów na oślep, przez tworzenie mitów.

Jeżeli ktoś uważa, że skoro religia ogranicza swobodę obyczajową i lotność myślenia, to trzeba ją eliminować z życia publicznego i marginalizować jej wyznawców, niech nie będzie zdziwiony, jeżeli reakcją będzie rodzący się tu i ówdzie agresywny fundamentalizm, traktujący przeciwników religii jako wrogów, których trzeba wszelkimi środkami zwalczać.

Odwrotnie, osoby zatroskane słabnięciem motywacji religijnych w życiu współczesnych cywilizacji mają skłonność do lekkiego, a czasami mocniejszego, wspomaganie naturalnych ludzkich potrzeb religijnych mocą różnych instytucji, często nawet państwowych. Ludzie w ten sposób zagrożeni w swojej autonomii będą uważali religię za wroga i będą się organizować do jej eliminowania z życia wspólnoty.

Wiadomo, że społeczeństwo zorganizowane w państwo oddolne, państwo kontrolowane przez to społeczeństwo, na dłuższą metę lepiej funkcjonuje, niż państwo próbujące odgórnie zorganizować społeczeństwo i zastąpić je w jego organicznych funkcjach. Ten pierwszy model jest jednak dużo trudniejszy do wykonania, gdyż wymaga rozwoju struktury oddolnego społeczeństwa obywatelskiego. Jeżeli nie zauważy się tego warunku i próbuje na siłę ograniczać odgórną interwencję urzędów państwowych na rzecz niezorganizowanego i bezradnego społeczeństwa, wiadomo, że nadmierny wpływ na instytucje państwa uzyskają mniej lub bardziej jawne grupy interesu. Nastąpi wówczas to, co nazywamy oligarchizacją, a lud – choć zatamizowany – widząc to będzie się buntował i poszukiwał jakiegoś Piłsudskiego, który zrobi odgórny porządek z zakulisowym wpływem grup oligarchicznych na państwo.

Sinusoidalna nierównowaga wartości, wokół realizacji których koncentrujemy nasze zbiorowe wysiłki, występuje na wielu płaszczyznach, jak chociażby narodowej czy religijnej.

Przykłady można mnożyć. Jeżeli dodamy do tego jeszcze, że na ogół instytucje mają tendencje do zużywania się z czasem, przestając sprawnie realizować zało-

żone cele, to okaże się, że narzucające nam się stale myślenie reaktywne – choć niezbędne, bo na błędy trzeba reagować stanowczo – jeżeli na nim się koncentrujemy, zaczyna przynosić szkody, nierzadko dorównujące, lub przewyższające szkodliwość sytuacji, na którą było reakcją.

Dojrzałość gwarantem stabilności

Czy zawsze musimy się miotać od bandy do bandy? Czy jest na to jakaś rada? Jest. Jest nią właśnie dojrzałość. Dojrzałość ludzi starszych, którzy przeżywszy wiele takich zwrotów, potrafią z dystansu czasu dostrzec ich incydentalność i odporni

Dojrzałość ludzi starszych, którzy przeżywszy wiele zwrotów, potrafią z dystansu czasu dostrzec ich incydentalność i odporni są przez to na pokusę poszukiwania wszystkiego rozwiązującego kamienia filozoficznego, jest receptą na miotanie się od bandy do bandy.

są przez to na pokusę poszukiwania wszystkiego rozwiązującego kamienia filozoficznego. Ale nade wszystko dojrzałość instytucji, dojrzałość zbiorowej mądrości, dzięki której dojrzałe społeczności potrafią kumulować

i analizować doświadczenia wieków i rozmaitych sytuacji, odróżniając to, co jest incydentalną reakcją na pojawiające się błędy, wypaczenia, zagrożenia, od tego, co w naturze człowieka i społeczeństwa jest stałe i – nawet jeżeli jest nadużywane, absolutyzowane, wypaczane – to nie wolno go wyrzucać, jak dziecka z kąpielą.

Musiało minąć parę lat od upadku hitleryzmu, żeby największy autorytet współczesności mógł powiedzieć, że naród, choć nie jest wspólnotą jedyną, jest jednak wspólnotą szczególną, najważniejszą dla dziejów duchowych człowieka. Gdyby zwycięski Zachód po stwierdzeniu w epoce Breżniewa, że światowa rewolucja traci zęby, pochylił się pokornie nad encykliką Pawła VI *Populorum progressio* – o rozwoju ludów, zamiast zacierać ręce, że właśnie kończy się historia, bośmy posiadli kamień filozoficzny, dziś świat być może wyglądałby zupełnie inaczej.

Nie da się w tym miejscu nie powiedzieć wprost, że najważniejszą, choć nie jedyną, instytucją kumulującą przez wielki doświadczenia ludzkości, budującą jej dojrzałość jest Kościół katolicki ze swoją antropologią i nauką społeczną. Nie zawsze przez te dwa tysiące lat Kościół był w awangardzie nowych trendów, w szpicy postępu ludzkości, szczególnie kiedy ten postęp odpływał w kierunkach zbyt reaktywnych i jednostronnych. Zawsze jednak jego odpowiedź była dojrzała, choć *Rerum novarum* ukazała się dopiero w 43 lata po Manifeście komunistycznym. Ale *Rerum novarum* otworzyła drogę do najdojrzałego nurtu ideowego XX wieku – personalizmu, który leżał u podstaw zarówno zainicjowanej przez Maritaina Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ, jak i chadeckiej koncepcji politycznej,

która przez ćwierć wieku po II wojnie światowej dała Europie stabilny i zrównoważony rozwój, a w Ameryce Łacińskiej stała się najpoważniejszą alternatywą dla spirali nienawiści między autorytarną prawicą i agresywną lewicą.

Kraje i regiony, których kultura społeczna przesiąknęła najbardziej katolicką nauką społeczną, takie jak Bawaria, Irlandia, Katalonia, Austria, to najbardziej spektakularne europejskie sukcesy rozwojowe w drugiej połowie XX wieku. Sukces bowiem daje otwartość i odwagę nowego myślenia, podejmowania niestandardowych wyzwań, umiejętność zmiany i modernizacji paradygmatów myślenia, przeciwstawiania się zużytym koncepcjom i nadużywanym wartościom. Ale tylko jeżeli jesteśmy wyposażeni w obciążony balastem dojrzałości kil, ratujący stabilność żagłówki szarganej wiatrami nowości i zmian, bez których przecież stalibyśmy w miejscu.

Dojrzałe społeczeństwo – co to znaczy?

Dojrzałe społeczeństwo to takie, które koncentrując się na obronie i promowaniu wartości w danym momencie zagrożonych, ma z tyłu głowy niezmienną koncepcję człowieka i społeczeństwa, połączoną z uporządkowaną hierarchią wartości, co pozwala mu dostrzec nieprzemijające znaczenie także tych wartości, które nas teraz uwierają, bo są nadużywane, źle rozumiane, wypaczane. Dojrzałe społeczeństwo to takie, które mając odwagę myślenia nowego, odpowiadającego na nowe wyzwania i znaki czasu, potrafi jednocześnie pielęgnować kulturę pamięci, ostrzegając go przed kolejnym zaślepieniem. Dojrzałe społeczeństwo to takie, które potrafi, gnając do przodu, przystanąć i, tak jak to jest w dumnym herbie kołebki „Solidarności” – Gdańska, działa odważnie, ale z rozwagą. Dojrzałe społeczeństwo to takie, które nie odrzuca przedwcześnie myślenia innych, starając się zrozumieć, co tak dobrego i wartościowego w nim jest, że pociąga ono tylu ludzi, choćby to byli nasi ideowi przeciwnicy i nawet w sumie robili więcej złego niż dobrego. Dojrzałe społeczeństwo to takie, które widzi ciągłość na linii czasu: przeszłość – teraźniejszość – przyszłość, które potrafi skierować uwagę na przyszłość, analizować ją, zawarte w niej szanse i zagrożenia, ale potrafi też cofnąć się do Platona, Arystotelesa, Mojżesza i Chrystusa, żeby dostrzec, co w ich myśli i nauce jest nieprzemijającego i zakorzenionego w uniwersalnej prawdzie o człowieku.

Dojrzałe społeczeństwo to takie, które mając odwagę myślenia nowego, odpowiadającego na nowe wyzwania i znaki czasu, potrafi jednocześnie pielęgnować kulturę pamięci, ostrzegając go przed kolejnym zaślepieniem.

Przejawy i źródła polskiej niedojrzałości



ANDRZEJ KRAJEWSKI

historyk z tytułem doktora, publicysta. Przez lata współpracownik „Newsweeka”, „Forbesa” oraz „Focusa”. Obecnie publicysta „Dziennika Gazety Prawnej”, publikujący także na łamach „Polityki”. Uczestnik programów badawczych Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie oraz Instytutu Studiów Wschodnioeuropejskich Uniwersytetu w Bremie. W latach 2011–2015 doradca prezesa IPN. Autor książek: *Między współpracą a oporem. Twórcy kultury wobec systemu politycznego PRL*, *Największe wpadki tajnych służb* oraz *Jak wykuwały się fortuny*.

Chroniczna niedojrzałość z tendencjami do nawrotów

Polska, jako kraj położony w najbardziej geopolitycznie niefortunnym miejscu Europy, powinna być z natury wyspecjalizowana w pragmatyzmie. Posiadać dojrzałe, sprawnie funkcjonujące instytucje państwa. Społeczeństwo poczuwające się do odpowiedzialności za losy ojczyzny. Określone, racjonalne i konsekwentnie realizowane interesy na arenie międzynarodowej. Ta recepta jest dziś tak samo aktualna, jak w XVI i XVII wieku. Wówczas jednak, za sprawą elit dbających wyłącznie o utrzymanie własnej pozycji, ukształtował się w naszym kraju model skrajnie infantylnego systemu politycznego. Proces decyzyjny niewiele się w nim różnił od reguł rządzących wiejską zabawą. Skupienie się na wewnątrz krajowych przepychankach oraz brak myślenia w kategoriach dobra całego kraju ułatwiły sąsiadom dokonanie zaborów. Nie powtórzmy błędów z przeszłości.

Antyrozwojowa geopolityka

„Polakom zrobimy numer i umieścimy ich między Niemcami i Rosją” – mówi Bóg do aniołka na znakomitym rysunku Andrzeja Mleczki. W istocie dowcip Stwórcy był jeszcze bardziej perfidny, bo dorzucił naszym przodkom Szwecję, Turcję i Tatarów. Z pewnością dużo łatwiej budowałoby im się dojrzałe państwo w bardziej zacisznym miejscu Starego Kontynentu.

Wystarczy rzut oka na mapę, żeby dostrzec, iż niewiele krajów ma aż tak fatalne położenie geograficzno-polityczne. Anglia budowała swoją potęgę schowana za kanałem La Manche, dzięki czemu łatwo odparła próby hiszpańskiej i francuskiej inwazji. Hiszpanię dobrze zabezpieczały Pireneje, zaś Francja przez stulecia

musiała obawiać się jedynie Niemców i ewentualnie angielskich pretendentów do jej tronu. Kraje skandynawskie znajdowały się na północnym obrzeżu Europy, a Włochy na południowym. Nawet większość krajów Europy Środkowej zabez-

Znaczenie polityczne i siła Rzeczypospolitej rosły w historii w momentach, gdy poważnemu osłabieniu ulegali nasi sąsiedzi. Tylko wówczas równinny kraj, bez barier naturalnych, mógł funkcjonować całkiem dobrze.

pieczała częściowo długa linia Karpat. Tymczasem terytorium Polski – poza częścią granicy południowej – nie chroniły żadne znaczące bariery naturalne. Obszary równinne znako-

micie nadawały się do szybkiego przemarszu wojsk, zwłaszcza konnicy. Każda inwazja stanowiła więc śmiertelne zagrożenie, ponieważ wróg mógł w krótkim czasie dotrzeć do serca kraju. W takiej sytuacji o wiele łatwiej atakować, niż się bronić, a jeszcze trudniej zbudować coś trwałego. Zwłaszcza jeśli ma się agresywnych sąsiadów.

Nie stanowiło przypadku, że znaczenie polityczne i siła Rzeczypospolitej rosły wówczas, gdy poważnemu osłabieniu ulegali jej sąsiedzi. W momencie szczytowej potęgi Polski, przypadającej na wiek XVI, kraje Rzeszy niemieckiej pogrążały się w szaleństwie wojen religijnych, Wielkie Księstwo Moskiewskie dopiero konsolidowało ruskie ziemie, a Turcja zajęta była podbojem południa Europy. Z Habsburgami oraz Szwecją polscy królowie utrzymywali wówczas relacje co najmniej poprawne. W takim otoczeniu równinny kraj, bez barier naturalnych, mógł funkcjonować całkiem dobrze. Niestety ten stan równowagi nie trwał wiecznie.

Europejscy królowie niewolnictwa

Do rozkwitu Rzeczypospolitej w stabilnych latach przyczynił się też inny czynnik, który okazał się z czasem wielce destrukcyjny. Odkrycie Ameryki i sprowadzanie stamtąd ogromnej ilości szlachetnych kruszców zapoczątkowało rewolucję cenową w Europie Zachodniej. Napędzała ona nie tylko rozwój gospodarczy, ale też większe zapotrzebowanie na zboże. Rzeczą naturalną było, że polscy producenci rolni starali się zwiększać uprawy i zbiory, pomnażając tak zyski. To zapotrzebowanie na produkty rolne z Polski generowało zmiany społeczne.

Jeszcze w XV wieku chłopci cieszyli się wolnością osobistą, ochroną prawną i możliwością rozwijania własnych gospodarstw. Obowiązek darmowego odpracowania jednego dnia tygodniowo w folwarku właściciela wsi Sejm nałożył na nich w 1520 roku. Szlachta szybko zorientowała się, że praca niewolnicza pozwala redukować koszty, a skoro chłopci nie mieli wpływu na decyzje polityczne, stali się ofiarami ekonomicznej rewolucji. Kolejne sejmy stopniowo podnosiły liczbę dni

pańszczyzny, a przy okazji ograniczały chłopskie prawa, by ci nie mogli sabotażować prac rolnych, ani też porzucać miejsca zamieszkania. W ciągu stu lat wymiar pańszczyzny wzrósł do sześciu dni w tygodniu, a posiadacz wsi, jeśli miał taką ochotę, mógł nawet nakazać egzekucję poddanego.

„Polacy odpowiadają na to, że wprowadzie władzę taką istotnie dzierżą, lecz nie korzystają z niej, podobnie jak inne narody nie korzystają z prawa zabijania osłów roboczych czy koni. Chłopi zaś traktowani są przez szlachtę, podobnie jak tamci traktują bydłęta” – zanotował w pamiętniku około roku 1648 służący na dworze króla Jana Kazimierza pochodzący z Francji Gaspar de Tende. Uczynienie z ponad 80% mieszkańców Rzeczypospolitej niewolników całkowicie zahamowało rozwój kraju. Gdy na Zachodzie trwały burzliwe przemiany, które przyniosły narodziny kapitalizmu, Polska zastygła na dwieście lat w bezruchu. Rządzona przez coraz bardziej zamkniętą i konserwatywną szlachtę, stanowiącą aż 10% mieszkańców, (ewenement na skalę światową), który w swym ręku skupił odpowiedzialność za przyszłość kraju, choć zupełnie do tego nie dorósł.

Bolesne niedojrzewanie państwa

Lokalizacji oraz biegu procesów ekonomicznych zachodzących w europejskiej skali polskie elity nie miały szansy zmienić. Natomiast wiele innych, równie istotnych kwestii, a zwłaszcza stworzenie ustroju gwarantującego sprawne funkcjonowanie państwa, pozostawało w zasięgu ich ręki. Zwłaszcza że ewoluował on całkiem obiecująco i płynnie przez kilka stuleci. Poczynając od momentu, gdy Ludwik Andegaweński zaoferował

Gdy w XVI i XVII wieku na Zachodzie trwały burzliwe przemiany, które przyniosły narodziny kapitalizmu, Polska – w dużej mierze za sprawą instytucji folwarku – zastygła na dwieście lat w bezruchu.

szlachcie podzielenie się władzą, w zamian za gwarancję odziedziczenia polskiego tronu przez jego córkę. Wydany 17 września 1374 r. w Koszycach przywilej nie tylko radykalnie obniżał podatki, ale też uzależniał nakładanie nowych od powszechnej zgody szlachty. Kolejni monarchowie musieli liczyć się ze zdaniem poddanych, a co więcej – gdy pojawiała się nagła potrzeba zwiększenia dochodów państwa – wręcz zabiegać o ich przychylną. Owocowało to nowymi przywilejami, w tym wprowadzeniem przez Władysława Jagiełłę nietykalności szlacheckiej, którego uwięzić można było jedynie za zgodą sądu. Wreszcie Kazimierz Jagiellończyk zgodził się w Nieszawie, że monarcha może nakładać wszelkie podatki oraz zwoływać pospolite ruszenie tylko po uzyskaniu aprobaty sejmików ziemskich. Względy czysto praktyczne wymuszały, by sejmiki delegowały swych przedstawi-

cieli na jeden Sejm walny, cedując swe uprawnienia na parlament. Przepływanie władzy z rąk króla do stanu szlacheckiego ukoronowała w 1505 r. konstytucja stanowiąca *nihil novi sine communi consensu* (nic nowego bez powszechnej zgody). Nowe prawa mogły być stanowione jedynie za jednomyślną zgodą Sejmu.

Kierunek zachodzących zmian wydawał się nieuchronnie prowadzić do przekształcenia się Rzeczypospolitej w monarchię konstytucyjną, podobną do angielskiej. Tak się jednak nie stało, bo

W XVI i XVII wieku ukształtował się w Polsce model skrajnie infantylnego systemu politycznego, w którym proces decyzyjny niewiele się różnił od reguł rządzących wiejską zabawą.

w połowie XVI wieku dalsza ewolucja ustrojowa zamarła w pół kroku, by po ustanowieniu wolnej elekcji monarchy ulec ostatecznie zamrożeniu na

dwieście lat. „Nikt u nas żadnego rządu nie uznaje, jeśli mu się sam dobrowolnie nie poddał” – określał istniejący stan rzeczy wybitny polityk, kanclerz Jan Zamoyski. Prosta szlachta swoją postawę kwitowała powiedzeniem: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. I nie miało się ono z prawdą. „Naturalną konsekwencją takiej ideologii jest zarówno słaby rozwój systemu administracji, jak i przerost parlamentaryzmu” – zauważał Jan Bystron w *Dziejach obyczajów w dawnej Polsce*.

Infantylizacja procesu decyzyjnego

Posiadanie wielkiej władzy deprawuje ludzi ją sprawujących, natomiast władza prowizoryczna deprawuje wszystkich. Przez dwieście lat, ilekroć król chciał zwołać Sejm walny, starano się, by tego samego dnia w całym kraju szlachta zjechała na około 60 sejmików regionalnych i zdecydowała, kogo wydeleguje do parlamentu. Jednocześnie dla posłów przygotowywano pisemne instrukcje, na nieodstąpienie od których musieli przysięgać. Zawierały one kluczowe decyzje, np. czy zgodzić się na wypowiedzenie wojny innemu państwu lub na nałożenie na szlachtę podatku. Tym sposobem sejmiki decydowały o strategicznych decyzjach na szczeblu centralnym. Król nie miał szansy nad nimi zapanować.

Wedle prawa wszyscy członkowie stanu szlacheckiego byli sobie równi. Mogli więc oddać tylko jeden głos. Z tej przyczyny magnaci, chcący mieć wpływ na decyzje podejmowane przez przyszły Sejm, musieli zabiegać o to, aby wybrano faworyzowanych przez nich kandydatów na posłów. Sami, piastując urzędy wojewodów i kasztelanów, mieli zagwarantowane miejsce w Senacie. „Sejmik przybierał zewnętrzny wygląd jarmarku, po trosze zaś jakiegoś wielkiego przyjęcia dla tłumów” – opisuje Jan Bystron. Ciągnęły nań tłumy szlacheckiej „gołoty”, by najeść się, napić i zabawić. Sejmikowy jarmark ułatwiał korumpowanie wyborców.

Podczas obrad bardzo dużo do powiedzenia mieli pieniacze i krzykacze. To oni wodzili rej w czasie sporów. Ich też najchętniej opłacali magnaci, tak wpływając na finał dyskusji. Sejmiki – ta sama zasada dotyczyła się Sejmu – decyzje podejmowały jednogłośnie. Zarówno przy wyborze posłów, jak i treści instrukcji sejmowej. Przekonanie opornych wymagało więc sporego wysiłku. Gdy pieniądze i naciski krzykaczy zawodziły, mało spolegliwych sejmikowiczów zdarzało się nawet roznosić na szablach.

Tak oto wyglądała polska „kuchnia polityczna”, w której zapadały ważne na przyszłość kraju decyzje. Przeważnie sprowadzały się one do obstrukcji królewskich zamierzeń i dbania o to, by wygodny – zarówno dla szlacheckiej „gołoty”, jak i magnatów – system trwał. Jego szczytową emanacją okazało się *liberum veto*, zapewniające każdemu z posłów taki sam wpływ na strategiczne decyzje władz.

Tak ukształtował się model skrajnie infantylnego systemu politycznego, w którym proces decyzyjny niewiele się różnił od reguł rządzących wiejską zabawą. Ta prowizorka odznaczała się niezwykłą trwałością i nawet próba rewolucyjnej zmiany, jaką było uchwalenie Konstytucji 3 Maja, nie zlikwidowała zakorzenionych zachowań. Trwały one przez kolejne dekady po upadku Rzeczypospolitej.

Improwizacja zamiast strategii

Każde dojrzałe państwo, za sprawą rządzących nim elit, dobrze wie, czego chce i dokąd zmierza. Ma swoje interesy geostrategiczne, które przez dekady, a nawet setki lat, pozostają niezmiennie. Najlepszą, krótką definicję takiego zachowania, które można nazwać wręcz naturalnym, przedstawił podczas przemówienia przed Izbą Gmin premier Palmerston. Jasno określił, że dla Wielkiej Brytanii żadne inne państwo nie jest ani wiecznym przyjacielem, ani tym bardziej wrogiem, bo wszystko zależy od politycznego celu, do jakiego rząd Zjednoczonego Królestwa dąży. „Nasze interesy są wieczne, a naszym obowiązkiem jest realizować te interesy” – wyłożył posłom premier Palmerston. Inne europejskie mocarstwa przestrzegały podobnych reguł, tyle tylko, że ich liderzy nie okazywali się równie skorzy do tak szczyrych oświadczeń na forum publicznym.

Każde dojrzałe państwo, za sprawą rządzących nim elit, dobrze wie, czego chce i dokąd zmierza. Ma swoje interesy geostrategiczne, które przez dekady, a nawet setki lat, pozostają niezmiennie.

Gdy nowoczesna Europa doskonaliła się w XVII i XVIII wieku w sztuce tworzenia długofalowych strategii i wcielania ich w życie przy pomocy dyplomacji lub wojny, Rzeczpospolita coraz mocniej przypominała dziecko we mgle. Niezdolne

określić, dokąd zdąża, ani czego – poza świętym spokojem – chce. Stan ten współgrał z zastygnięciem przemian ustrojowych. Wprawdzie kolejni królowie snuli mocarstwowe plany, jednak częściej miały one na względzie dobro dynastii niż kraju. Przodowali w tym chociażby Zygmunt III Waza i jego syn Władysław IV, marzący o odzyskaniu szwedzkiego tronu.

Wprawdzie w ciągu dwustu lat bezwładnego trwania narodziło się kilka strategicznych planów, mogących zmienić na korzyść międzynarodową sytuację Rzeczypospolitej, ale w miarę udanie zrealizowano zaledwie jeden. Mowa o zawartym przez Jana III Sobieskiego sojuszu z Habsburgami przeciw Turcji. Zwycięstwem pod Wiedniem zażegnano groźbę wchłonięcia dużej części ziem Rzeczypospolitej przez Imperium Osmańskie. Nastąpiło też załamanie jego ekspansji w Europie.

Wszystkie inne strategiczne dążenia nie wychodziły poza sferę koncepcyjną, jak choćby pragnienie Sobieskiego rozpoczęcia wojny prewencyjnej przeciw Prusom. Przyczynę tej bezradności generował fakt, iż na arenie międzynarodowej dyplomacja stanowiła jedynie element pomocniczy, zaś cele osiągało się przede wszystkim na drodze wojny. Polska szlachta, bez względu na okoliczności, nie godziła się na to, by Rzeczypospolita została agresorem. Zaatakowanie sąsiada oznaczało przecież konieczność zapłacenia podatków oraz groźbę wzmocnienia pozycji własnego monarchy. Doświadczenia związane z tym, że unikanie wojen wcale nie chroniło przed zagrożeniem, gdyż ościennne kraje regularnie najeżdżały Rzeczypospolitą, niczego nie uczyły. Ważniejsza od długofalowego myślenia była teraźniejszość i tymczasowość. Dla nizinnej kraju zlokalizowanego pośród mocarstw musiało się to skończyć katastrofą.

Lista grzechów głównych

Rzeczypospolita nie zapobiegła, póki był ku temu czas, wzrostowi potęgi trzech ościennych mocarstw. Kiedy okazało się, że określiły one płaszczyznę wspólnego interesu, dokonały jej rozbioru. Znamienne, iż wkrótce w podobnej sytuacji znalazła się Turcja. Ale choć Osmanowie posiadali państwo równie anachroniczne, co Polacy, to jednak zawsze udawało im się pozyskać w Europie choć jedno mocarstwo gotowe bić się w ich obronie. Przeważnie okazywała się nim Wielka Brytania, konsekwentnie blokująca ekspansję Rosji w kierunku ciepłych mórz, stanowiących główne szlaki komunikacyjne imperium.

Elitom przedrozbiorowej Polski nawet poszukiwanie naturalnych sojuszników szło opornie, z racji zaniechania rozwoju służb dyplomatycznych. Musiały więc, wraz ze wszystkimi mieszkańcami Rzeczypospolitej, ponieść konsekwencje braku

zdolności do zbudowania m.in. sprawnego aparatu administracyjnego, fiskalnego i sądowego, silnej armii czy też społeczeństwa poczuwającego się do odpowiedzialności za własny kraj.

Choć gdyby wartościować, która z „niedojrzałości” najbardziej zaważyła na losach ówczesnej Polski, należałoby wskazać na dopuszczenie przez elity rządzące do procesu stopniowego rozpięcia się władzy państwowej w nicość. Kolejnym monarchom szlachta sukcesywnie ograniczała zakres prerogatyw, ale nie oznaczało to wcale, iż przekazywano je w ręce parlamentu. Zasady jednomyślności oraz absolutnej wolności jednostki powodowały, że Sejm zupełnie nie korzystał ze słabnięcia króla. Działanie parlamentu skutecznie ograniczała też niekompetencja sejmików, a także poselskie instrukcje. W efekcie zanikały stopniowo wszystkie organy władzy centralnej. Korzystali z tego najpotężniejsi magnaci, przekształcając swoje majątki ziemskie w miniaturowe monarchie absolutne. Zbyt jednak małe i słabe do samodzielnego przetrwania bez osłony Rzeczypospolitej.

*Elity rządzące w XVI i XVII wieku Polskę
dopuszczyły do procesu stopniowego rozpięcia się
władzy państwowej w nicość.*



PIOTR KORYŚ

historyk gospodarki i ekonomista, doktor nauk ekonomicznych. Adiunkt w Katedrze Historii Gospodarczej Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Członek Rady Naukowej Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego. Laureat stypendium „Start” Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (2002 i 2003) i stypendium „Polityki” Zostańcie z nami (2006). Członek zespołu redakcyjnego „Stanu Rzeczy” i „Central and Eastern European Migration Review”. Współpracuje z Ośrodkiem Myśli Politycznej oraz Fundacją im. Stefana Batorego. Zajmuje się badaniem historii polskich modernizacji, a także badaniem korupcji i zjawisk pokrewnych.

Błędne koło polskiego rozwoju

Rozmowa z Piotrem Korysiem

Polska znajduje się dziś na swoim historycznym szczycie rozwojowym – PKB *per capita* w odniesieniu do światowego lidera technologicznego, Stanów Zjednoczonych, wynosi nad Wisłą około 40–45%. W ostatnich 200 latach nie udało nam się trwale przebić takiego poziomu. Za każdym razem, gdy nasza gospodarka nabierała rozpędu, „odbijała się” od tej granicy i wiele lat potrzebowała na to, by po raz kolejny się do niej zbliżyć. Dowodzi to, że w skali świata byliśmy i nadal jesteśmy peryferium. Czy tym razem uda nam się przebić historyczny sufit rozwojowy i zbliżyć do światowej „pierwszej ligi”? Przez ostatnie dwa wieki polscy modernizatorzy wierzyli, że nowoczesną gospodarkę oraz społeczeństwo da się zbudować przede wszystkim dzięki odgórnym inwestycjom w zakłady przemysłowe i infrastrukturę. Ta droga zawsze jednak kończyła się fiaskiem. Czy tym razem wyciągniemy lekcję z historii?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor thinklettera Kongresu Obywatelskiego

Jakie próby modernizacyjne miały miejsce w Polsce w okresie ostatnich 200 lat?

Na początku sięgnąłbym nieco dalej, wracając do końcówki XVIII wieku, kiedy to oświeceniowi politycy z królem Stanisławem Augustem Poniatowskim na czele doszli do wniosku, że być może największą barierą nie tyle gospodarczego, ile raczej politycznego rozwoju Polski jest zły ustrój państwa. Twierdzili, że z różnych powodów – m.in. niskiej zdolności do rywalizacji militarnej czy też do mobilizacji zasobów – stał się on niekonkurencyjny w porównaniu do państw ościennych. Starano się go zreformować – czego owocem była m.in. Konstytucja 3 Maja – lecz

próba ta nastąpiła zbyt późno, o ile założymy, że w ówczesnej sytuacji geopolitycznej mogła się ona w ogóle powieść.

Kilka lat później naszego kraju na mapie świata już nie było. Jakie działania modernizacyjne próbowano na polskich ziemiach podjąć w okresie zaborów?

Z XIX-wieczną Polską jest ten problem, że nie dość, że nie była ona oddzielnym państwem, to jeszcze została podzielona na trzy zupełnie różne kawałki. Wydaje mi się, że najlepiej jest przedstawić procesy zachodzące wówczas w części znajdującej się w rękach rosyjskich – w tzw. Królestwie Polskim. Był to największy spośród zaborów, jeśli chodzi o wielkość terytorium oraz liczbę ludności, a także istotny ze względu na duże znaczenie polityczne Warszawy. Pierwsze starania modernizacyjne zostały tam podjęte w I połowie XIX wieku i były związane z próbą zindustrializowania polskich ziem. Celem była budowa nowoczesnej gospodarki w sposób odgórny. Podobnego typu działania, z różnym skutkiem, starano się w tamtym okresie wdrażać chociażby w Rosji, Francji czy Prusach. Polscy inicjatorzy tego procesu, wśród których byli m.in. ówczesny minister stanu Stanisław Staszic oraz minister skarbu Franciszek Drucki-Lubecki, wyrażali bardzo mocną nadzieję, że gdy uda się rozwinąć przemysł i doprowadzić do powstania nowoczesnych przedsiębiorstw, pociągnie to za sobą modernizację całego społeczeństwa.

Jakie były efekty tej próby?

Zakończyła się ona zupełnym niepowodzeniem. Wynikało to w dużej mierze z niewielkiej skali uprzemysłowienia, która objęła maksymalnie 1% dostępnej siły roboczej. Stanowiący wówczas większość populacji chłopci byli mało mobilni. Z jednej strony dotyczyły ich ograniczenia prawne (opuszczenie gospodarstwa dla tych, którzy gospodarzyli na pańskiej ziemi, było możliwe, ale kosztem jego utraty w całości, bez żadnej rekompensaty), a z drugiej mentalne – nie byli chętni do zmiany pracy, miejsca zamieszkania i przyzwyczajzeń. Woleli zostać na wsi niż

Polscy modernizatorzy z pierwszej połowy XIX wieku błędnie rozumieli, skąd się bierze nowoczesność państw Zachodu.

przenosić się do miast, by pracować w fabrykach. Nie istniała też infrastruktura, która zbliżyłaby wieś do miast – sieci drogowe, im dalej na

wschód, tym słabiej były rozwinięte, a początki rozwoju kolei to dopiero końcówka lat 40. XIX wieku. Zagregowany popyt był dość ograniczony, a realizowane inwestycje – jak na tamten czas – od początku zacofane technologicznie. Przykładowo, podczas gdy na polskich ziemiach używano węgla drzewnego, w Wielkiej Brytanii wykorzystywany był już węgiel kamienny. Przede wszystkim jednak polscy

modernizatorzy błędnie, jak się wydaje, rozumieli, skąd się bierze nowoczesność państw Zachodu, na których się wzorowali. Ich zdaniem wynikała ona z tego, że było tam zlokalizowanych wiele fabryk. Tymczasem powstawanie wielkich zakładów przemysłowych stanowiło raczej konsekwencję tego, że kraje te już wcześniej – w wyniku m.in. modernizacji społecznej, obecności sprawnych instytucji oraz przekształceń w rolnictwie – stały się nowoczesne. Takie uwarunkowania tworzyły dobre fundamenty do rozwoju cywilizacji przemysłowej.

Co było dalej?

Prawdziwy rozwój gospodarczy Królestwa Polskiego rozpoczął się dopiero w latach 60. XIX wieku, kiedy to nastąpił napływ chłopów do miast. Trudno było już im wyżyć z pracy na roli w warunkach szybko rosnącej populacji i postępującego procesu fragmentaryzacji chłopskiej ziemi. Miasta stały się dla nich wówczas kuszącą opcją, albo raczej szansą na znośne życie. To właśnie w końcówce XIX wieku kilkudziesięciotysięczna Łódź zmieniła się w ośrodek kilkuset tysięcy, a Warszawa w ciągu 40 lat z miasta o liczbie ludności oscylującej w granicach 300 tys. rozrosła się w niemalże milionową aglomerację. Urbanizacji towarzyszyły procesy industrializacji. Tyle że tym razem były one rezultatem zarówno spontanicznej, wewnętrznej, jak i całkiem zewnętrznej, carskiej, polityki rozwojowej. Przemieszczanie się chłopów z nieefektywnego rolnictwa do przemysłu powodowało gwałtowny wzrost produktywności całej gospodarki. Mechanizm ten był w tamtym okresie źródłem dynamicznego rozwoju polskich ziem. Był to moment kluczowych zmian, do których przyczyniły się jeszcze dwie istotne rzeczy. Po pierwsze, po powstaniu styczniowym nastąpiła bardzo silna integracja gospodarcza Królestwa z Rosją. Jednak, co zaskakujące – zwłaszcza w prawie cywilnym – wciąż obowiązywały zachodnie rozwiązania rodem z kodeksów Napoleona. Były one bardziej nowoczesne i dawały zagranicznym inwestorom chcącym ulokować swoją działalność na obszarach należących do zaborcy znacznie większe gwarancje niż prawo rosyjskie. Po drugie, kulą u nogi rozwoju Rosji była wówczas słabo rozwinięta infrastruktura transportowa. W związku z tym inwestorom wygodniej było lokować wiele inwestycji, zwłaszcza tych o nastawieniu eksportowym, jak najbliżej zachodniej granicy. Skorzystały na tym chociażby Warszawa, Łódź czy Sosnowiec. Doszedł jeszcze do tego splot sprzyjających okoliczności – Rosja wycofywała się ze swojej polityki protekcjonistycznej, świat był w okresie pierwszej ery globalizacji, dostępny był relatywnie tani kapitał, a popyt na inwestycje w branżach pracochłonnych wzrastał.

Przemieszczanie się chłopów z nieefektywnego rolnictwa do przemysłu spowodowało pod koniec XIX wieku gwałtowny wzrost produktywności całej gospodarki.

Co się w tym czasie działo w pozostałych dwóch zaborach?

To, na czym zyskało Królestwo Kongresowe, nie pomogło, a wręcz zaszkodziło w obu pozostałych zaborach. Tam procesy urbanizacji i uprzemysłowienia miały niższą dynamikę. Oczywiście, jeśli myślimy o Polsce w dzisiejszych granicach, to wskazać można obszary bardzo szybkiego rozwoju w granicach Prus: w szczególności na Śląsku. W porównaniu z zachodem Europy, procesy modernizacji zachodziły w Polsce relatywnie wolno, lecz mając na uwadze niski poziom, z jakiego startowaliśmy, a w konsekwencji szybkie przyrosty produktywności, był to okres, w którym nadrabialiśmy dystans. Korzystaliśmy – w szczególności korzystały zachodnie ziemie Królestwa Kongresowego – z naszej renty zacofania. Trzeba jednak dodać, że funkcjonujące na polskich ziemiach fabryki nie należały do najnowocześniejszych, a w całym łańcuchu wartości byliśmy gospodarką podwykonawczą, produkującą dość proste towary, o niskiej wartości dodanej.

I wtedy nastąpił wielki szok w postaci I wojny światowej, a zaraz po nim okres dwudziestolecia międzywojennego.

Wojna toczyła się w dużej mierze na polskich ziemiach i pociągnęła za sobą odpływ kapitału pieniężnego oraz materialnego, a także ogromne zniszczenia. Niemcy i Rosjanie wywozili stąd fabryki, rozpadały się rynki oraz istniejące na nich powiązania. W miejsce imperiów pojawiło się – zgodnie z Wilsonowską koncepcją architektury politycznej Europy – kilkanaście nowych państw, w tym Polska. Rosja, wskutek

Hiperinflacja oraz wielki kryzys z końca lat 20. ubiegłego wieku spowodowały utratę wiary Polaków w to, że rozwiązania rynkowe mogą być efektywne. Odpowiedzialność za rozwój gospodarczy wzięło na siebie państwo.

rewolucji październikowej, została zupełnie wyłączona z gospodarki światowej. Reguły gry się zmieniły. W dodatku, nasze nowo uformowane państwo od samego początku musiało stawić

czoła ogromnym problemom, takim jak hiperinflacja czy wielki kryzys z końca lat 20. Z tego ostatniego udało nam się pozbierać dość późno, bo dopiero w okolicach 1936 roku. W jego następstwie wielu Polaków utraciło jednak wiarę w to, że rozwiązania rynkowe mogą być efektywne. Odpowiedzialność za rozwój gospodarczy wzięło na siebie państwo, które wręcz wypierało prywatnych przedsiębiorców. Była to ścieżka zgoła odmienna od tej, na którą postawiły chociażby – transferujące pokażne sumy pieniędzy do sektora prywatnego – Francja, Niemcy, Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania. Rozpoczął się bardzo intensywny proces urbanizacji i industrializacji zapoczątkowany zbudowaniem Centralnego Okręgu Przemysłowego, który miał być poligonem doświadczalnym, rozszerzonym następnie na całą Polskę.

Wystarczyłoby nam pieniądze na tak ambitny plan?

W mojej opinii nie. Ówczesny model polegał niejako na kupowaniu spokoju społecznego. Dzięki licznym inwestycjom sporo osób znajdowało zatrudnienie, również na wysokich, politycznych stanowiskach. Poprawiało to wizerunek polskich władz. Co by się jednak stało, gdyby zabrakło nagle środków finansowych? Nasi sąsiedzi zbierali się dopiero po kryzysie i nie byłoby od kogo pożyczyć pieniędzy. Podejrzewam, że nawet gdyby w 1939 r. nie wybuchła II wojna światowa, to w okolicach 1940 lub 1941 r. dotknęłyby Polskę bardzo poważne problemy fiskalne, uniemożliwiające dalsze podtrzymywanie przyjętej koncepcji. Doszłyby do tego również bariery natury społecznej, demograficznej, infrastrukturalnej czy też związane z niedostateczną ilością kapitału ludzkiego. A przecież budowa dróg czy przekształcanie niewykwalifikowanych ludzi w dobrych pracowników to procesy czasochłonne, których nie da się sfinalizować szybko.

Jak wyglądały próby modernizacyjne w okresie Polski Ludowej?

Można wyróżnić dwa takie przypadki. Pierwszy miał miejsce w okresie stalinowskim i wiązał się z likwidacją własności prywatnej oraz pełną etatyzacją gospodarki. Był niezwykle intensywny oraz okrutny w swoim przebiegu. Nastąpiła forsowna industrializacja, w efekcie której zbudowany został w Polsce bardzo okazały przemysł ciężki. Sprzyjającą okolicznością był fakt, że po wojnie nasz kraj „przesunął się” na zachód i dostał niejako w prezencie zlokalizowaną tam rozbudowaną niemiecką infrastrukturę. Modernizacja ta zakończyła się w okolicach 1956 roku. Druga próba to industrializacja gierkowska zapoczątkowana w latach 70. Była to koncepcja przebudowy polskiej gospodarki na kredyt, będąca *de facto* – podobnie jak w okresie międzywojennym – próbą kupienia przez władze spokoju społecznego. Jej skutki były zauważalne – zbudowano wiele fabryk, rozbudowano infrastrukturę transportową. Niebawem polską gospodarkę czekało jednak gwałtowne załamanie. Obydwie PRL-owskie próby modernizacyjne łączy wspólny mianownik – niska jakość instytucji, uzależnienie od ZSRR, wiara w to, że dzięki budowie fabryk nasza gospodarka oraz społeczeństwo staną się nowoczesne.

W okresie Polski Ludowej miały miejsce dwie próby modernizacyjne – stalinowska oraz gierkowska. Obydwie wychodziły z założenia, że budowa fabryk unowocześni gospodarkę oraz społeczeństwo. Obydwie skończyły się również fiaskiem.

Czy można znaleźć jakiś wspólny mianownik dla wszystkich prób modernizacyjnych, jakie przez ostatnie dwa wieki starano się przeprowadzić w Polsce?

W minionych 200 latach wehikułem rozwoju polskiej gospodarki za każdym razem było uprzemysłowienie w wersji pracochłonnej. Staraliśmy się imitować mo-

del zachodnioeuropejski w warunkach niedostatku kapitału. Jednakże po każdym ze skoków inwestycyjnych następowały okresy drastycznego spadku. Dwukrotnie były spowodowane nadejściem wojny, lecz w pozostałych przypadkach wynikały z niemożności utrzymania dotychczasowego modelu. Próby te kończyły się nie-

W ostatnich 200 latach po każdym ze skoków inwestycyjnych następował w Polsce okres drastycznego spadku. W dużej mierze dlatego, że za inwestycjami w „skorupy” nie szła zmiana kulturowo-mentalna oraz kompetencyjna społeczeństwa.

powodzeniem w dużej mierze dlatego, że za inwestycjami w „skorupy” nie szła zmiana kulturowo-mentalna oraz kompetencyjna społeczeństwa. W efekcie, nigdy nie uwierzyliśmy, że centrum może być w nas, nie nabra-

liśmy poczucia własnej wartości tak potrzebnego do tego, by rozwinąć niezbędne do rozwoju metakompetencje, takie jak m.in. współpraca, lojalność, umiejętność dzielenia się oraz budowy relacji społecznych opartych na zaufaniu, a także – w konsekwencji – by mieć odwagę do stawiania się w roli biznesowych prekursorów, a nie tylko wykonawców czyichś poleceń.

Dziś po raz kolejny znajdujemy się na swoim historycznym szczycie rozwojowym. Co zrobić, by nie powielić błędów z przeszłości i się na nim utrzymać?

Po raz szósty w okresie ostatnich 200 lat nasze PKB *per capita* osiągnęło poziom mniej więcej 40–45% wartości notowanej u światowego lidera technologicznego. Do połowy XIX wieku była nim Wielka Brytania, a następnie – aż po dziś dzień – Stany Zjednoczone. Nigdy jednak nie udało nam się przebić tego poziomu – za każdym razem polska gospodarka „odbijała się” od tej granicy, drastycznie spadała i wiele lat potrzebowała na to, by po raz kolejny się do niej zbliżyć. Świadczy to o tym, że Polska na przestrzeni ostatnich dwóch wieków była jednak krajem peryferyjnym w skali Europy i – nazwijmy to – „półperyferyjnym” w skali świata. Nie udało nam się zbliżyć do upragnionego centrum. Dzisiejszy model wzrostu, według którego rozwija się polska gospodarka, ma – podobnie jak poprzednie, znane nam z historii – charakter ekstensywny. Jest on oparty w dużej mierze na taniej sile roboczej, imitacji oraz imporcie technologii. Oczywiście, w związku z integracją europejską nastąpiły też istotne zmiany instytucjonalne. Nie jestem jednak przekonany, czy zmieniła się nasza mentalność. Czy nadal jeszcze nie pokutuje – zwłaszcza wśród politycznych elit – błędne przekonanie, że gospodarka wkroczy na ścieżkę sukcesu jedynie dzięki budowie nowych fabryk oraz infrastruktury? Czy w ostatnich latach udało nam się wykreować wystarczającą liczbę silnych, wychodzących z roli prostych podwykonawców oraz posiadających globalne aspiracje firm? Takich, które mogłyby pociągnąć nasz wzrost, a także utrzymać wybudowa-

ną w ostatnim czasie infrastrukturę, tak by nie stała się dla nas ciężarem nie do udźwignięcia. Wydaje mi się, że nadal nie mamy gospodarki dość nowoczesnej, by móc ją nazywać centrum. Cały czas jeszcze trochę nam brakuje, by tę granicę przekroczyć. Niż demograficzny, przeciętna jakość instytucji, relatywnie wysokie oczekiwania społeczne – to tylko niektóre z czynników mających wpływ na to, że nie możemy przebić szklanego sufitu. Wydaje mi się, że aby nie spaść z miejsca, w którym się obecnie znajdujemy, powinniśmy skupić się na tym, czego zabrakło podczas poprzednich prób modernizacyjnych – na dokonaniu zmiany kulturalno-mentalnej Polaków oraz polepszeniu jakości instytucji. Bez tego może nas czekać upadek podobny do tych, jakich w ostatnich latach doświadczyły Grecja, Hiszpania czy Portugalia.

Aby nie spaść z miejsca, w którym się obecnie znajdujemy, powinniśmy skupić się na tym, czego zabrakło podczas poprzednich prób modernizacyjnych – na dokonaniu zmiany kulturalno-mentalnej Polaków oraz polepszeniu jakości instytucji.

Rozmawiał Marcin Wandałowski



ANDRZEJ ZYBAŁA

prof. dr hab., wykładowca Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Naukowo zajmuje się zagadnieniami polityki publicznej, ewaluacji, dialogu społecznego, rządzenia publicznego. Przewodniczący rady naukowej kwartalnika „Dialog. Pismo Dialogu Społecznego”, członek redakcji kwartalnika „Studia z Polityki Publicznej/Public Policy Studies”. Członek zarządu Polskiego Towarzystwa Polityki Publicznej, członek zarządu Stowarzyszenia Przyjaciół ATD Quart Monde. Autor licznych artykułów oraz książek. Niebawem ukaże się kolejna, poświęcona kulturze umysłowej w Polsce: *Polski umysł na rozdrożu. Wokół kultury umysłowej w Polsce*.

Kultura umysłowa Polaków – dlaczego myślimy tak, jak myślimy?

Rozmowa z Andrzejem Zybałą

Aby zrozumieć dzisiejszą mentalność Polaków, trzeba się cofnąć o co najmniej kilka wieków. Sarmatyzm, krótka reformacja, słaby wpływ nurtów oświeceniowych oraz bardzo silny romantyzm – to wszystko spowodowało, że przez wieki kształtowała się u nas aintelektualna kultura umysłowa. Przedkładaliśmy czyn nad myślenie. Emocje nad racjonalność. Pojedynczych bohaterów nad społeczeństwo. Spora część tej spuścizny została w nas po dziś dzień. W efekcie znaczna część z nas ma trudności w dostosowaniu się do wyzwań współczesności. Czy w interesie Polaków leży przeformułowanie niektórych cech naszej umysłowości?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor thinklettera Kongresu Obywatelskiego

Jacy – tak generalnie – jesteśmy my, Polacy? Jak można scharakteryzować to, w jaki sposób myślimy, odbieramy świat?

Z pewnością od wieków zwracano u nas uwagę na dość niską skłonność do pogłębionej, racjonalnej analizy. Już Norwid pisał, że nie wojujemy myślą. Juliusz Kaliszewski dodawał, że Polacy głębsze rozważania wolą przerzucać na kogoś innego – „chłop księdzu, lub jak dawniej dziedzicowi, mieszczańin rządowi, a ludzie więcej wykształceni – zagranicy”. Po dziś dzień mamy problemy z abstrakcją, z uogólnieniami, z wyciąganiem wniosków z zebranych faktów. Trudno nam ogarnąć złożoność wielu zjawisk, które chcielibyśmy zrozumieć. Dochodzi do tego brak krytycyzmu w myśleniu – uogólniamy na podstawie pojedynczych obserwacji, stereotypów, niesprawdzonych informacji. W konsekwencji często wyprowadzamy pochopne wnioski. Można to zauważyć, obserwując dziś przekazy medialne czy

wypowiedzi polityków w rodzaju: „w służbie zdrowia jest źle, bo lekarz niedobrze potraktował pacjenta”.

Wielu z nas bazuje na myśleniu odruchowym, niepogłębianym, opartym na skojarzeniach, a nie logicznych ciągach. Nie koncentrujemy się na odczytywaniu głębszych mechanizmów przyczynowo-skutkowych. Często szukamy zrozumienia złożonych zjawisk, wskazując na jedną przyczynę, która ma wszystko wyjaśniać. Mamy też problem z poziomem meta – ze spojrzeniem holistycznym, z planowaniem oraz rozumieniem szerokich procesów.

Jak duży wpływ na to, jacy są dziś Polacy, ma historia naszego kraju?

Nasza kultura umysłowa, podobnie jak każdego innego narodu, jest pochodną ścieżki historycznej. W dużej mierze reprodukuje się ona z pokolenia na pokolenie. Jej kształt wynika z bardzo wielu okoliczności życia naszych przodków –

Jeżeli nie rozumiemy dobrze naszej przeszłości, nie mamy szans na to, by zrozumieć siebie ani dzisiaj, ani też w przyszłości.

m.in. odbioru zewnętrznych trendów kulturowych, tworzenia własnych systemów wartości, typu religijności, relacji społecznych, sposobu organi-

zowania przestrzeni, działania instytucji nauki i edukacji, wzorców życia publicznego. Jeżeli nie rozumiemy dobrze naszej przeszłości, nie mamy szans na to, by zrozumieć siebie ani dzisiaj, ani też w przyszłości.

Spróbujmy się zatem podjąć tego wyzwania. Jakie wydarzenia oraz procesy historyczne wpłynęły na ukształtowanie się w Polakach takiej a nie innej kultury umysłowej?

Wydaje mi się, że należałoby zacząć od kultury naszej szlachty, zwanej kulturą sarmacką. Była ona dość aintelektualna – szlachta nie ceniła wiedzy, aktywności umysłowej. Wolała krótkie utwory literackie niż naukę i precyzję myślenia, pene-giryki niż zobiektywizowaną analizę. Jak pisał Janusz Tazbir: „Szlachcic powinien mieć głowę wolną od balastu zbytecznych wiadomości oraz stronić od abstrakcyjnych rozważań”. Nie oznacza to oczywiście, że nie rozprawiano chętnie o korzyściach płynących z wykształcenia czy znajomości języków. Atrybuty te miały jednak służyć doraźnym, utylitarnym celom, czyli karierze politycznej, sprawniejszemu poruszaniu się w labiryntach sejmikowania. W cenie była sztuka oratorska.

Oprócz tego szlachta koncentrowała się na podtrzymywaniu swojego statusu społecznego, poziomu życia, konsumpcji. Dlatego też „przespała” wiele zjawisk, które miały miejsce w XVII-wiecznej Europie. Mam tu na myśli ówczesny ferment, który zmieniał kulturę naszego kontynentu. Na Zachodzie rosło zaintere-

sowanie naukami przyrodniczymi, potrafiąco analizować świat w ich kategoriach. Na dworach królewskich powstawały ośrodki myślenia, osobne instytucje poświęcone nauce. U nas to wszystko było w powijkach.

Skąd wynikał aintelektualizm szlachty?

Jak wspominałem, w tej grupie nie ceniono wartości umysłowych, a jak się czegoś nie ceni, to rzuca się to w kąt. Gołym okiem widoczna była niechęć do posługiwania się bardziej zobiektywizowanymi kategoriami myślenia, w których wykorzystywane są liczby, miary, kalkulacja. Długo odwoływano się do niesprawdzonych źródeł, magii, czarów i tym podobnych praktyk.

Przyczyniła się do tego w dużej mierze edukacja młodzieży szlacheckiej. Historycy są zgodni, że jezuici, którzy do końca naszej państwowości prowadzili większość polskich szkół, długo posługiwali się przestarzałymi metodami i programami nauczania. Pokazywali teologiczny obraz świata w sprawach, które wyjaśniała nauka.

Co więcej, jezuici przenieśli też w tamtym okresie do Polski wiele elementów mistyki hiszpańskiej. Towarzyszyła jej specyficzna metafizyka – bardzo negatywny obraz ludzkiej natury. Przedstawiający człowieka głęboko skażonego grzechem, słabego, którego należy poddać silnej kurateli i trzymać w ryzach. Dochodził do tego głęboki fatalizm, stanowiący kolejny czynnik ograniczający ludzką aktywność. Zakorzeniały się odczucia, które można scharakteryzować hasłami: „co ma być, to będzie”, „ludzkie wysiłki na nic się nie zdadzą”.

Nie zmieniła tego XVI-wieczna reformacja w sferze religijnej?

Reformacja zaczęła się u nas dość dynamicznie. Wywołała ożywienie religijne i intelektualne. Ale po 1560 r. nastąpił w Polsce zupełny odwrót. Kонтreformacja zapewniła Kościołowi katolickiemu odbudowanie dawnej roli. Nie doszło jednak do podwyższenia poziomu wiedzy religijnej, nie podtrzymano zainteresowania czytaniem Biblii. Religijność stawała się coraz bardziej emocjonalna, wyrażająca się w barwnych ceremoniach.

Kolejną szansą było dla nas oświecenie...

Historycy są raczej zgodni, że pierwiastki oświeceniowe w polskich masach szlacheckich zakorzeniły się generalnie dość słabo. Szlachta nie odczuwała, że musi się wysilać umysłowo w jakimkolwiek celu. Już wcześniej uzyskiwała dominującą pozycję w społeczeństwie, miała w rękach wszystkie instrumenty władzy, co gwarantowało jej utrzymywanie ciągłości swojego statusu. Obsmiewano tych, którzy

starali się głębiej kształcić, ponieważ o dostępie do stanowisk publicznych i tak nie decydowały względy merytoryczne.

Spółczeństwu trudno było podźwignąć się intelektualnie po epoce saskiej. Jeden z historyków pisał, że to wówczas „odwył naród od książki, a książka od życia”. Zdaniem Władysława Konopczyńskiego zabrakło nam w tamtym okresie wybitnych osobowości, które byłyby w stanie rozkruszyć „bezmysłną, ocieżałą masę” – „umysłów jasnych”, „serc staropolskich, a głów europejskich”. Bo choć naprawa państwa wymagała twardych głów oraz propagandy rozumu, szlachta miała zamknięte oczy na to, co dzieje się za polskimi granicami.

Po krótkim okresie transformacji religijnej oraz słabo zakorzenionym oświeceniu przyszedł w Polsce czas na znacznie mniej nastawiony na intelektualizm romantyzm...

Romantyzm w pewnym momencie stał się bardzo widoczny i żywotny w całej Europie. Zachodni romantycy nie znosili postępów cywilizacji, kapitalizmu, gospodarki pieniężnej. Uważali je za wylęgarnię wszelkiego zła. Dlatego też w tej części Starego Kontynentu nurt ten był systematycznie eliminowany, czy nawet mówiąc wprost – przeganiany. Jak pisał Marcin Król, zawierał on po prostu zbyt wiele czynników irracjonalnych.

Dzisiejszą umysłowość Polaków w bardzo dużym stopniu ukształtował romantyzm. Wiele cech, które ze sobą przyniósł, były ciosami, które nas powaliły i które nadal – po wielu latach – odczuwamy.

Do Polski natomiast romantyzm dotarł i rozwinął się w swojej najskraj-

niejszej postaci, bardzo głęboko przenikając do świadomości Polaków. Zmarginalizował w naszej mentalności to, co było racjonalne i odwołujące się do wartości zobiektywizowanej analizy. Jego istotą był atak na aktywność ludzkiego rozumu. Wiele cech, które ze sobą przyniósł, były ciosami, które nas powaliły i które nadal – po wielu latach – odczuwamy.

Cóż to za ciosy?

Romantyzm spotęgował u naszych przodków przekonanie, że świat jest nieprzenikniony dla ludzkiego rozumu, pełen tajemniczych metafizycznych sił, które są nieobliczalne: nie ma w nim obiektywnych praw i prawdziwości. Myślenie jest zbyteczne, bo i tak nie mamy wpływu na bieg zdarzeń. Prawdę można odnaleźć tylko w sztuce, przeżyciach, działaniach, w aktach woli wielkich jednostek – wszak to one miały zgłębić wizję prawdy o rzeczywistości, zdobyć rząd dusz i zaprowadzić ład wśród ludu. Nie myśląc oczywiście o nim w kategoriach wspólnoty różnorodności interesów, w której wypracowuje się kompromisy, lecz jako o materiale, któremu można narzucić swoje wielkie idee i dążenia. Romantyzm zakłada bo-

wiem elitaryzm poznawczy, wytwarzający pewnego rodzaju dualizm – lider jest od wielkich czynów, heroizmu, a społeczeństwo od codziennego życia. Zwykły człowiek zrobi najlepiej, jeśli podporządkuje się liderowi.

Nadejście romantyzmu umocniło też w nas aintelektualne podejście przewagi czynu nad myślą – „najpierw działamy, później myślimy”. Polskie społeczeństwo zostało nauczone dążenia do realizacji wielkich przedsięwzięć bez pragmatycznej podbudowy, bez ukazania racjonalnych przesłanek. Nurt ten bardzo dobrze odpowiadał dążeniom narodowym Polaków. Wytworzył, mający kluczowe dla wielu pokoleń znaczenie, etos narodowy opierający się na wierze, że jesteśmy w stanie się zmobilizować i dokonać wielkiego czynu, który odwróci nasz los, spowoduje zmianę. O ile w sferze emocjonalnej mógł to być miód na serce naszych rodaków, o tyle w sferze umysłowej spowodował on katastrofę. Oddalił nas jeszcze bardziej od zachodniej kultury umysłowej.

Romantyczni bohaterowie nie myślą o społeczeństwie w kategoriach wspólnoty różnych interesów, w której wypracowuje się kompromisy, lecz jako o materiale, któremu można narzucić swoje wielkie idee i dążenia.

Wygląda na to, że brakuje nam w Polsce krytycznej analizy romantyzmu. Sam, jako reprezentant młodego pokolenia, przyznaję, że epoka ta przywołuje mi oraz moim rówieśnikom na myśl głównie pozytywne skojarzenia...

W polskiej edukacji przedstawia się romantyzm w bardzo pozytywnym świetle, ponieważ wpisywał się on w nasze cele narodowe, niepodległościowe. Faktycznie niepokojące jest jednak to, że nie wyjaśnia się jednocześnie młodzieży, że wiąże się on również z niebezpieczeństwem, np. niedocenianiem racjonalnego myślenia, pragmatyzmu.

Czy w kolejnych epokach wpływ romantyzmu na kształtowanie polskiej umysłowości nadal był widoczny?

Romantyzm zaszedł nam za skórę bardzo głęboko. Do tego stopnia, że – jak niektórzy twierdzą – nawet pozytywizm był u nas romantyczny. Okres Młodej Polski to *de facto* neoromantyzm i powrót do pojęć romantycznych. Po odzyskaniu niepodległości przynajmniej część polskiej polityki oparta była na tym fundamencie. Józef Piłsudski wprost przyznawał się do inspiracji romantycznych, uznając je za podstawę systemu wartości swojego ruchu politycznego. Formalnie wskazywał, że zasadami polityczne-

W polskiej szkole brakuje krytycznej analizy romantyzmu. Przedstawia się go jedynie w jasnych barwach, nie wskazując na wady związane m.in. z niedocenianiem racjonalnego myślenia, pragmatyzmu.

go działania powinny być „romantyzm celów i pozytywizm środków”. W praktyce jednak ten drugi człon nie był zbyt widoczny, zwłaszcza w ferworze politycznych wojen okresu dwudziestolecia międzywojennego.

A co z tradycją endecką?

To bardzo ciekawy przypadek – endecja podjęła bowiem próbę rozliczenia się z tradycją romantyczną. Z tej krytyki miał wyjść nowoczesny Polak, na wzór chociażby ówczesnych Francuzów, a zrodziło się szaleństwo ideologii Obozu Narodowo-Radykalnego. Roman Dmowski był chyba najsurowszym krytykiem polskiej umysłowości opartej na romantyzmie. U rodaków dostrzegał lenistwo umysłowe, doktrynerstwo oraz brak znajomości pojęć, dzięki którym mogliby zrozumieć otoczenie swojego życia. Jego zdaniem w sferze rozumu Polacy nie dorównywali innym narodom. „Nigdzie nie ma tylu, co u nas nieinteligentnych intelektualistów i tylu estetów bez smaku” – twierdził. Opowiadał się za wytępieniem chwastów umysłowych, które zanieczyszczają polską duszę. W jego opinii brak silnej umysłowości generował powstawanie w Polsce skłonności do mesjanizmu – traktowania siebie samych jako wyjątkowego narodu, istniejącego poza wszelkimi prawami społecznymi, co w ówczesnej konfiguracji geopolitycznej było podejściem bardzo nieodpowiedzialnym.

Cofnijmy się o kilka wieków i poruszmy jeszcze temat folwarku. Często mówi się, że w wielu polskich organizacjach funkcjonuje jego kultura – jest pan, który może wszystko, oraz podwładni, którzy nie mogą nic. Jakie jest tego uzasadnienie historyczne?

Jak wcześniej wspomniałem, kultura umysłowa warunkowana jest wieloma okolicznościami życia. Folwark był sposobem gospodarowania w majątkach ziemskich, a jego tradycja odcisnęła duże piętno na tym, jacy dziś jesteśmy. Wyróżniał się on tym, że tworzył nieprzekraczalne dystanse między szlachtą a pańszczyźnianymi chłopami, którzy byli *de facto* niewolnikami. Nigdzie w Europie nie było takiego podkreślania różnic stanowych. Kiedy na początku XVI wieku zaczęło się u nas zaostrzanie ciężarów narzucanych chłopom, na Zachodzie pozbywano się ich resztek. W Polsce różnice stanowe „pielęgnowane” były jeszcze przez długi czas, a to niszczyło relacje wewnątrzspołeczne. Nawiasem mówiąc, nigdy nie rozliczyliśmy się z tej przeszłości i ciąży ona na nas na różne sposoby po dziś dzień.

Do tego stopnia, że folwark nawet współcześnie pozostaje istotnym symbolem. Wiele firm i instytucji jest jego odzwierciedleniem. Badania pokazują znaczną skalę dystansów między podwładnymi i przełożonymi. Skutkuje to brakiem

zaufania, niechęcią do współpracy, niską skłonnością do podejmowania bardziej ryzykownych i innowacyjnych przedsięwzięć, w których trzeba dzielić odpowiedzialność. Stanowi to kamień u szyi polskiego rozwoju.

Myśląc o wydarzeniach historycznych, które ukształtowały kulturę umysłową Polaków, trudno też nie wspomnieć o II wojnie światowej oraz okresie komunizmu. Wielu badaczy twierdzi, że nasza nieufność, nieumiejętność współpracy, rozumowanie w logice przetrwania, a nie rozwoju, są właśnie ich pokłosiem. Czy podziela pan ten pogląd?

Wojna i komunizm odcisnęły na umysłowości Polaków pewne piętno, lecz jednocześnie należy pamiętać, że były to okresy względnie krótkie. Kluczowe cechy kultury umysłowej powstają w znacznie dłuższym czasie. Stąd też twierdzę, że chociażby sposób organizacji socjalistycznych przedsiębiorstw, których pracownicy podlegali surowemu podporządkowaniu przełożonym, nie został w stu procentach wymyślony przez komunistów, lecz w dużej mierze czerpał z kultury folwarku.

Czy można wskazać jeszcze jakieś procesy oraz wydarzenia z naszej historii, które w bardzo dużym stopniu wpłynęły na kształtowanie się naszej umysłowości?

Istnieje jeszcze co najmniej kilka czynników, które utrudniały rozwój kultury umysłowej w Polsce. Na pierwszym miejscu wymieniałbym słaby rozwój miast. To właśnie tam powstają zwykłe ośrodki nauki i kultury, tam też ludzie najczęściej się spotykają i wymieniają poglądy, następuje cyrkulacja wiedzy oraz informacji. W przeszłości Polacy żyli w dużym rozproszeniu, a dodatkowo poziom urbanizacji był – i nadal jest – wyraźnie niższy niż na Zachodzie. Tym samym nie została na polskich ziemiach stworzona silna kultura mieszczańska. Właśnie w jej obrębie powstawały na Zachodzie zjawiska istotne dla rozwoju nowoczesnej umysłowości. Mam tu na myśli głównie rolę kształcenia zawodowego i wyłaniania się profesjonalistów w wolnych zawodach oraz w zawodach inżynierskich. To oni stawali się symbolami nowoczesności, bo ich rozumowanie kształtowała zobiektywizowana wiedza, a nie romantyczne majaczenie. W tym samym czasie nasze nie tak liczne mieszczaństwo miało skłonność do kopiowania wzorów szlacheckich i sarmackich.

Barierą rozwoju kultury umysłowej było także wspomniane wcześniej rozbitcie społeczeństwa, i to nie tylko za sprawą podziałów stanowych. Jeszcze przed rozbiorami Polacy nie tworzyli w miarę spójnej wspólnoty. Mówiło się raczej, że Polska jest bardziej federacją sąsiedztw, folwarków niż jednolitym państwem. W naszej

historii nie było momentu oświeconego absolutyzmu, w którym władca – pokonując opór dbającej o swoje regionalne interesy arystokracji – stałby się symbolem

Mamy w Polsce do czynienia z tzw. próżnią socjologiczną, czyli brakiem bądź też słabością relacji wykraczających poza więzy rodzinne, nieosiągających jednak poziomu relacji właściwych dla narodu.

jedności państwa. Nie było momentu, w którym ludność przenosiłaby swoją lojalność wobec księcia na państwo. Szlachta nie dopuściła do powstania jednolitego, silnego państwa,

w obawie, że pomniejszyłoby to przestrzeń jej wolności. Przedkładano wolność nad państwo. Tym samym nie koncentrowano się prawie wcale na myśleniu wokół problemów publicznych.

Kulturę umysłową osłabiała u nas zawsze także specyficzna struktura relacji społecznych. Żyjemy zazwyczaj w małych grupach rodzinno-koleżeńskich i to jest dla nas najważniejsze. Nasi socjologowie mówią o tzw. próżni socjologicznej, czyli braku bądź też słabości relacji wykraczających poza więzy rodzinne, nieosiągających jednak poziomu relacji właściwych dla narodu. Jak pisał Piotr Glišński, polskie społeczeństwo ma charakter silnie enklawowy, składa się z „mozaiki wielu enklaw”. Ich specyfiką jest to, że brakuje w nich stymulacji umysłowej. W mikrogrupach rozmowy dotyczą bowiem zwykle wzmacniania poczucia wzajemnej przynależności, zapewniania o lojalności, wspierania się w swoich osądach. Julian Ochorowicz pisał, że jako naród mamy skłonność do tworzenia „kółek wzajemnej adoracji”. Ich członkowie raczej prawią sobie komplementy, niż konfrontują swoje poglądy i ścierają się intelektualnie.

W jakim stopniu wzorce kultury umysłowej mogą wpływać na rozwój społeczno-gospodarczy państwa?

Moim zdaniem związek ten jest bardzo silny. Zazwyczaj jest bowiem tak, że działamy tak, jak myślimy. Jeśli mamy do czynienia z zanikiem skłonności do głębszej analizy, to rośnie prawdopodobieństwo niepowodzenia w podejmowa-

Nasza kultura umysłowa jest kulturą nie do końca dopasowaną do wyzwań współczesności.

nym działaniu. Realizuje się strategię nieprzemyślaną. Nie dostrzega się ry-

zyk, potencjalnych konsekwencji. Przypomina mi się znakomity historyk kultury, Konrad Górski, który oceniał, że w XVIII wieku Polska upadła nie tylko z powodu braku dyscypliny moralnej, ale także intelektualnej. Nie rozumieliśmy otoczenia, w którym przyszło nam żyć.

Romantyczna natura Polaków nie wróży dobrze naszemu rozwojowi?

Choć nasza kultura umysłowa jest kulturą nie do końca dopasowaną do wyzwań współczesności, to jak na razie radzimy sobie dość dobrze jako społeczeństwo

będące na poziomie średniego dochodu. Z posiadanymi przez nas zasobami umysłowości trudno może być nam jednak przebić się na wyższy poziom. Dlatego też sądzę, że warto byłoby przekonfigurować pewne elementy naszej tożsamości. Zacząłbym od głębokiego przemyślenia różnych wątków obecnych w naszej kulturze. Przeanalizujemy, jakie są nasze aktywa w zmaganiu o rozwój, a jakie pasywa, które nas cofają, spychają na margines. Dotyczy to każdego z nas. Zadajmy sobie pytanie, ile jest w nas cech nowoczesnej osobowości, a ile blokujących nas pierwiastków irracjonalnych.

Rozumiem, że naszym celem powinno być zatem wytworzenie nowoczesnej zbiorowości Polaków. Ale właśnie – nowoczesnej, czyli jakiej?

Określiłbym ją jako wspólnotę ludzi otwartych na analizę, poszukujących nowych argumentów, aby stale uwiarygadniać swoje poglądy, skorych do weryfikowania swoich stanowisk i wiedzy oraz zdolnych do przyznawania się do błędów. Wykazujących pokorę wobec złożoności rzeczy oraz zjawisk. Analizujących je w oparciu o określone reguły rozumowania, z których zdają sobie sprawę. Dostrzegających poziom meta oraz mechanizmy przyczynowo-skutkowe. Niepodatnych na stereotypy i uproszczenia. Pytających o wiarygodność swojej wiedzy i stanowisk, które zajmują. Zdających sobie sprawę z konsekwencji wynikających z określonych poglądów. Wspólnotę, którą tworzą osoby ciekawe, stawiające pytania, na które nie ma jeszcze odpowiedzi. Niestygmatyzujące tych, którzy popełniają błędy. Niemające pretensji, że ktoś myśli inaczej, lecz zadające sobie pytania: „Co powoduje, że on tak myśli? Jakie ma argumenty?”. Wspólnotę obywateli najpierw chcących coś zrozumieć, a dopiero później działać.

Nowoczesna zbiorowość, gotowa podejmować wyzwania rozwojowe, to taka, w której ludzie nie mają pretensji, że ktoś myśli inaczej, lecz zadają sobie pytania: „Co powoduje, że on tak myśli? Jakie ma argumenty?”. To wspólnota obywateli najpierw chcących coś zrozumieć, a dopiero później działać.

Rozmawiał Marcin Wandałowski

Komentarze



Marcin Skrzypek

działacz społeczno-kulturalny w Lublinie,
TNN Ośrodek Brama Grodzka.

Wnioski z historii mogą prowadzić do poczucia bezradności. Skoro bowiem ukształtowały nas wieki – i nawet socjalizm był głównie skutkiem, a nie przyczyną naszej obecnej kondycji intelektualnej – to w jaki sposób może nam pomóc przemyślenie tej kwestii? Nie wyciągniemy się z bagna jak baron Münchhausen za własne włosy. Tym bardziej, że jest jeszcze jeden bardzo ważny czynnik, który ukształtował naszą obecną umysłowość, jakim było biologiczne wyniszczenie lub fizyczne wyparcie na emigrację polskiej inteligencji. Paradoksalnie można przekuć go w pozytywną siłę, próbując odtworzyć w jakiś sposób etos polskiej kultury umysłowej, wskazując właśnie na jej „bohaterów”.

I może odpowiedzią na pytanie o to, co robić, jest poszukiwanie pozytywów w romantyzmie. Można byłoby wskazać jego pragmatyczne plusy. Na przykład – czy polski mesjanizm polegający na „cierpieniu za miliony” nie jest bardziej humanitarny niż „mesjanizmy” innych narodów: kolonialnych, Niemców, Rosjan czy nawet ostatnio Stanów Zjednoczonych? Według mnie warto zauważyć, że nasz polski romantyzm, z jego upodobaniem do historii, krajobrazu, przyrody i wsi doskonale współgra też ze współczesnymi potrzebami wrażliwości na ekologię, zrównoważony rozwój czy społeczną spójność. Bądźmy pragmatyczni do końca.



Beata Jamka

freelance profesor, doktor habilitowany w dziedzinie nauk ekonomicznych, Szkoła Główna Handlowa, Uczelnia Łazarskiego.

Dojrzałość to gotowość do wzięcia odpowiedzialności za swoje życie i za konsekwencje swoich czynów. Rdzeniem dojrzałości jest samosterowność, wynikająca z rozumienia siebie i komunikatów wysyłanych przez otoczenie. Problem polega na tym, że – jak dowodzi dorobek neuronauk – myślenie świadome, racjonalne włącza się rzadko: wtedy, gdy myślenie „szybkie”, oparte na zakodowanych genetycznie oraz ukształtowanych świadomie i nieświadomie automatyzmach, nie zna odpowiedzi na zadane pytanie. Na co dzień funkcjonujemy więc w oparciu o myślenie „szybkie”, bo jest po prostu mniej energochłonne i łatwiejsze, gdyż opiera się na odpowiedziach „gotowych”.

Jak wykazał Richard Nisbett, wpływ kultury społecznej jest rzeczywiście tak silny, że ma moc zmieniania procesów poznawczych; np. badani Amerykanie pochodzenia azjatyckiego inaczej postrzegali i rozumieli sytuację, a w konsekwencji reagowali w sposób bardziej „wschodni” lub „zachodni” w zależności od tego, czy uprzednio zostali ukierunkowani na swoją azjatycką bądź amerykańską tożsamość. Tak więc nasza polska historia: nasze powstania, „z szabelką na czołgi”, romantyzm, pielęgnowanie kultury folwarcznej itd. bez wątpienia stanowią bazę „myślenia szybkiego” statystycznego Polaka. Są w nas zakodowane, ale nie jest to wytłumaczeniem dla naszych współczesnych decyzji.

Zdecydowanie nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że zrozumienie przeszłości jest kluczem do teraźniejszości i przyszłości. Teoretycznie to prawda, bo wiedzy nigdy nie za dużo, tyle że wbrew rozpowszechnionym przekonaniom rzadko myślimy refleksyjnie, świadomie. Dlatego tym, co faktycznie blokuje rozwój, są bieżące komunikaty, formujące współczesne automatyzmy myślowe Polaków. Zamiast inspirować częstym przypominaniem przeszłych, konstruktywnych wspólnych dokonań (np. imponującą budową nowoczesnego miasta i portu na miejscu małej rybackiej wsi Gdynia), wolimy kłócić się o przeszłość, rzucając nowe światło na większości nieznane fakty i honorować Wielkie Jednostki. Sekunduje w tym mający istotny wpływ na polską współczesność Kościół katolicki, który woli podkreślać męczeństwo świętego Maksymiliana Kolbego niż fakt, iż był inspiratorem i realizatorem świetnej, nowoczesnej, ogromnej i wydajnej fabryki (drukarni). Podobnie więcej słychać o św.

Faustynie (bo mistyczka) niż o pasji i poświęceniu w krzewieniu wiedzy św. Urszuli Ledóchowskiej.

Dlatego też naukowcy mogą (i powinni) zgłębiać historię i rozumieć ją coraz lepiej, ale to programy szkolne (politycy) i media (znów politycy?) zdecydują, jakie jej wybrane „odłamki” zostaną rzucone „masom” – najpewniej na umożliwiającym „pogłębioną” relację twitterze czy pasku pod wiadomościami na ekranie telewizora – kształtując nieświadome automatyzmy myślowe odbiorców. Albowiem każdy komunikat, niezależnie od miarodajności (!) wpływa w taki sam sposób na system skojarzeniowy (chyba że zostanie odrzucony natychmiast jako kłamstwo).

Żeby coś zrozumieć, trzeba to najpierw wiedzieć, a statystyczny Polak wiedzę historyczną ma szczątkową, do tego sprowadzoną do wybranych jednostek oraz walk o władzę (bitwy, wojny, powstania itd.). To buduje zafałszowane postrzeganie świata wyłącznie jako areny walki mocarzy, czego rewersem jest silny wątek martyrologiczny, bo skoro walka, to i śmierć. Tymczasem punkt widzenia „zwykłego” człowieka jest diametralnie inny, osadzony w rutynie dnia codziennego, w której liczy się przedsiębiorczość, systematyczność i wytrwałość – oraz przeżycie. Przekaz „heroiczny” osłabia samosterowność Polaków: kreuje niedoścignione wzory Wybitnych Przodków i wzmacnia poczucie oderwania od Naprawdę Ważnych Spraw Dziejowych. Dlatego takie podejście generuje więcej szkody niż pożytku, gdyż wzmacnia przekonanie o nieuchronności i niezbywalności balastu historycznego.

Historia, ta już rozpoznana, ma różne oblicza. To, w jaki sposób o niej myślimy, jest funkcją doboru i eksponowania rozpowszechnianych komunikatów, bo to one kształtują pozaświadome automatyzmy myślowe. Dlatego to na nich trzeba się skupić, by przeprogramować mentalność Polaków, by nie tracić energii i uwagi, oglądając się wciąż do tyłu. Przeszłość nie jest usprawiedliwieniem: może być balastem lub wsparciem, ucieczką od trudu konstruktywnych działań lub inspiracją – więcej zależy od tego, co o niej wiemy, niż jaka ona w szczegółach była. To kształtowane współcześnie i na bieżąco nieświadome automatyzmy myślowe (komunikaty władzy/mediów, narracje wydarzeń, tzw. mity miejskie itd.) odgrywają kluczową rolę i spowalniają nasz rozwój, kierując naszą uwagę nie na to, co ten rozwój wspiera. Ale to można (i trzeba) zmienić.



Michał Drozdek

socjolog zarządzania, filozof społeczny, prezes Fundacji SPES, pracuje w Najwyższej Izbie Kontroli.

Przytoczony w omawianym tekście obraz Polaków jest dość jednostronny. Koncentruje się na słabościach, nie ma w nim wytłumaczenia fenomenu Włodkowica, Goślickiego, Modrzewskiego, Konarskiego i innych twórców myśli owocującej Konstytucją 3 Maja. Nie ma Mochnackiego, Norwida, Cegielskiego, Prusa-Głowackiego, Paderewskiego, Witosa, Brzozowskiego, Kwiatkowskiego, Sikorskiego, Wyszyńskiego, Wojtyły. Oni wszyscy, stanowiący rdzeń głównego nurtu polskiej myśli politycznej, nijak nie pasują do przedstawionej analizy, a wychowali się przecież w Polsce.

Czy zatem fragment prawdy jest prawdą? Choćby w swej prawdziwości był bardzo prawdziwy? Przed wojną, w dawnej Polsce, zachowywaliśmy pewną równowagę między wadami, które opisują przytoczeni w tekście autorzy, a świetną, czasami na światowym poziomie, myślą polityczną, społeczną, gospodarczą, wpływającą z dobrej tradycji polskiego myślenia umiającego nie tylko naśladować świat, ale czasem go wyprzedzać. Teraz ta równowaga została zachwiana i trzeba ją powoli odbudowywać. Łatwiej coś w kulturze budować, sięgając do dobrych przykładów.

Diagnoza przedstawiająca tylko złe strony naszej kultury umysłowej przynosi dwie szkody: tworzy nieprawdziwe, bo jednostronne, wyobrażenie o stanie faktycznym, a także działa jak samorealizująca się przepowiednia. Ludzie bowiem – co wykazali eksperymentalnie psychologowie społeczni – często stają się tacy, jak sami siebie postrzegają. Dotyczy to także społeczeństw. Najsłabszym elementem naszej obecnej kultury umysłowej jest to, że nie wierzymy w swoje możliwości.

Żeby przezwyciężyć faktycznie istniejące wady, trzeba je oczywiście opisać. Ale wskazując przy tym, że nie definiują nas do końca i nas nie determinują. Jeżeli nie damy nadziei na poprawę, to utrwalimy, a nie przezwyciężymy te wady. A przecież jest z czego czerpać, bo historię, także w aspekcie kultury umysłowej, mamy bardzo bogatą. Zauważenie tylko tej gorszej, patologicznej jej części jest jej zubożeniem i – mimo dobrych chęci – zakłamaniem.



Tadeusz Ślawek

prof. dr hab., poeta, tłumacz, literaturoznawca, wykładowca akademicki, Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN.

Sarmatyzm istotnie stworzył atrakcyjną formułę dla praktykujących go uczestników sceny społecznej, czyli szlachty. Nie tylko zaopatrzył ją w przekonanie o wyraźnej odrębności w stosunku do wszystkich innych aktorów, ale także zapewniał o skutecznym wyborze sposobu gospodarowania, a wreszcie stworzył mit o czcigodnym i zamierczłym rodowodzie tejże grupy. Ta mitologizacja okazała się nader istotna, bowiem była źródłem niezachwianego przeświadczenia, iż jako dysponujący tak zaszczytnym pochodzeniem pozostajemy niewrażliwi na zmiany zachodzące w świecie. Wojciech Dembołęcki, człowiek wykształcony, doktor teologii i kompozytor, kapelan lisowczyków i prowincjał polskich franciszkanów, pisał w 1633 roku, a poprzedził to wywodem językoznawczym udowadniającym, iż język polski był mową raju: „Polacy, czyli Scytowie są narodem wybranym, pierwszym wśród wszystkich narodów świata, do którego ongiś należało panowanie nad światem i do którego niezadługo powróci, a język słowiański – pierwotnym językiem świata”. Tak sformułowany dowód siły pewnej grupy, legitymizowany jej genezą i wzniosłością roli, okazał się, historycznie rzecz ujmując, przyczyną groźnej słabości: wszak kto dysponował gwarancjami transcendentnej potęgi, czuł się zwolniony z obowiązku obserwowania i analizowania świata. Skoro historia została już raz wytyczona, a nasze miejsce w niej pewne, zatem zbędne są wysiłki mające tę historię korygować czy zmieniać.

Polski romantyzm podjął krytykę tego, czego w Polsce w znacznej mierze nie było. Dekonstruowanie ściśle racjonalistycznej kultury miało sens w gruntownie uprzemysłowionej już Anglii, ale w Polsce, właściwie przemysłu na większą skalę pozbawionej, w Polsce zaniedbującej miasta i prawa mieszczańskie, krytyka ta zawisła w próżni. Dlatego warto czytać romantyków angielskich, bowiem oni przemawiają w istocie już z wnętrza naszego świata – świata wielkich miast, gdzie jednostka czuje się anonimowo, przemysłu poddającego człowieka od dziecka wyniszczającej eksploatacji (przeczytajmy wiersze Blake’a o kominiarzyczkach!), polityki służącej głównie interesom ekonomicznym. Stanisław Brzozowski nie bez racji podkreślał, że w Polsce typ mieszczańskiego przemysłowca-inżyniera nigdy nie dobił się społecznego znaczenia. Chodziło więc w tym angielskim romantycznym proteście nie o zrezygnowanie z racjonalistycznych fundamentów kultury, lecz o przywrócenie właściwych proporcji między kalkulacyjnym rozumem, a sferą –

nazwijmy to w skrócie – duchowego rozwoju człowieka. W połowie XX wieku Jan Patočka ujmie to pytaniem: czy nie kwestionując w żadnej mierze osiągnięć matematycznego przyrodoznawstwa, tak niezbędnych nam do życia, możemy jednocześnie przystać na życie oparte wyłącznie na tychże osiągnięciach? Oczywiście, trzeba pamiętać o politycznej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska w wyniku zaborów; sytuacji zawinionej w wielkim stopniu przez sarmacką beztroskę i poczucie wyższości. Czy więc romantyzm polski nie był próbą „dogonienia” Zachodu w warunkach tak radykalnie od zachodnich odmiennych (brak państwowości, niedostatki intelektualne, słaba ekonomia, etc.), „dogonienia” drogą wyłącznie duchowego wysiłku?



TADEUSZ SŁAWEK

prof. dr hab., poeta, tłumacz, literaturoznawca, wykładowca akademicki. Członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Były rektor Uniwersytetu Śląskiego.

Jaki dom dla rozwoju Polski?

Szlachecki dwór był miejscem dość specyficznym. Sielankowość przeplatała się tu z nowoczesnością, a pycha z pokorą. Na każdym kroku dało się odczuć poczucie wyższości – zarówno moralnej, względem Zachodu, jak i materialnej, względem reszty społeczeństwa. Wiele elementów naszej współczesnej mentalności stanowi kalkę tego, z czym mieliśmy do czynienia kilka wieków temu. Na takich wartościach trudno nam będzie jednak stworzyć wspólny polski dom, funkcjonujący w dodatku na świecie nie jako „wyspa”, lecz jako element Wspólnoty Europejskiej. Jaka forma domu jako dobrego bycia-razem jest dziś nam potrzebna? Na jakich wartościach możemy go zbudować?

Czym jest dom?

„Domów dwupiętrowych było w mieście może z tuzin”. Tak znakomity pisarz Sandor Marai zaczyna swe autobiograficzne *Wyznania patrycjusza*. Pozwolę sobie zaczerpnąć to zdanie jako początek mojego eseju z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że trudno sobie wyobrazić rozważania na temat własnego życia bez wspomnienia domu, który w miarę upływu lat przechodził liczne przemiany. Do domu rodzicielskiego po kilku latach dołącza szkoła, miejsca studiów, podróży, pracy, założenie własnej rodziny, czyli ukonstytuowanie się domu dla mających przyjść na świat dzieci. Jednym słowem, nie można mówić o człowieku bez domu; nawet gdy jest bezdomny, bowiem wtedy właśnie dom nabiera szczególnego znaczenia.

Drugi powód jest bardziej prozaiczny: od kilku stuleci dom jest niemal synonimem miasta, bowiem to w miastach toczy się główny nurt naszego życia. Gdy mówimy o domu, myślimy także o mieście jako o sposobie zagospodarowywania przestrzeni fizycznej, ale także duchowej przestrzeni naszego życia. Pytając

o dom, dociekamy nie tylko kształtów naszych miast, ale przede wszystkim sposobów, za pomocą których nadajemy sens naszemu życiu zbiorowemu.

Jest więc „fizyka” i „metafizyka” domu, a jeśli tak, to co możemy rzec o „fizyce” i „metafizyce” domu polskiego? Jaka forma domu jako dobrego bycia-razem jest nam potrzebna?

Jaki dom?

Najpierw powiedzmy, że w głównym trakcie swej historii dom polski nie był domem miejskim. Szlachta do miast żywiła głęboką niechęć, stąd idealne usytuowanie domu znajdowało się poza murami miasta. Bliżej mu było do wsi, ale i do niej utrzymywał

Pastoralność z ostrożną i oszczędną domieszką nowoczesności to cecha wyróżniająca nie tylko „fizykę” domu polskiego, ale także jego „metafizykę”, czyli kulturę z nim związaną.

stosowny dystans. Ekonomiczne podstawy życia polskiego ładu społecznego tkwiły w uprawie ziemi i to jej plony decydowały o dobrostanie zamieszkujących szlachecki dom polski. Nikt nie

uchwycił tego lepiej niż Adam Mickiewicz. Kiedy młody Tadeusz wraca po ukończeniu szkół do rodzinnej siedziby, dom ów usytuowany jest w szczególny sposób:

*Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany...*

Pastoralność (pola, ruczaj, gaj) z ostrożną i oszczędną domieszką nowoczesności (podmurówka pod drewnianą główną bryłą domostwa): to cecha wyróżniająca nie tylko „fizykę” domu polskiego, ale także jego „metafizykę”, czyli kulturę z nim związaną. Obydwie zaś mają ustanowić jego modelowy charakter. To, że dom posadowiony jest „na pagórku niewielkim”, ma znaczenie nie tylko topograficzne. Dom zostaje w ten sposób dodatkowo wyodrębniony (stoi wszak wyżej niż inne siedziby ludzkie) i niejako punktowo oświetlony (znajduje się na wzgórzu, a więc jest lepiej od innych widoczny).

Dom jako wizja Polski w świecie

Jednak, jak się rzekło, nie tylko o topografię tu chodzi. Osobność tego domu i jego szczególna lokalizacja to symboliczny zapis kulturowej wizji Polski i jej miejsca w świecie. Doskonale i zadziwiająco trafnie ujął to Sebastian Klonowic (skądinąd burmistrz i dożywotni rajca Lublina) w swym wydanym w 1595 roku poemacie *Flis*,

w którym ekspansywnej merkantylno-urbanistycznej kulturze Zachodu przeciwstawiał model fizjokratycznej Polski kształtowanej przez dwa procesy: rolniczego trudu oraz dośrodkowego ruchu będącego wynikiem rezygnacji z konkurencyjnych wysiłków względem Zachodu. Odkrywczy Ameryki, i sam Magellan, wspomniani są co prawda z szacunkiem należnym odwadze odkrywców, ale szacunek to podszyty poczuciem wyższości: Polak wycofuje się ze świata przekonany o słuszności swej racji. Mówi Klonowicz, że Hiszpanie, Niemcy, Francuzi i Włosi mogą sobie „wynajdować światy z złotymi płaty” i „perłami ładować okręty”, ale wiąże się to niechybnie z niepokojem i obawą, lub – jak pisze nasz autor – z „igraniem ze szczęściem”. Stąd już krok do konkluzji: „Nam niechaj rodzi uprawiona niwa / Spokojne żniwa”.

W XVI wieku ekspansywnej merkantylno-urbanistycznej kulturze Zachodu przeciwstawiano model fizjokratycznej Polski kształtowanej przez dwa procesy: rolniczego trudu oraz dośrodkowego ruchu będącego wynikiem rezygnacji z konkurencyjnych wysiłków względem Zachodu.

Niespokojnemu domowi Zachodu miotanemu (w przenośni i dosłownie) falami oceanów, który być może nie zasługuje już nawet na miano domu, przeciwstawia się arcyspokojny dom polski, wywyższony, jakby uniesiony („na pagórku niewielkim” Mickiewicza) ponad przyziemne zabiegi handlowe. Kiedy słyszymy dzisiaj wygłaszane tezy o odrębności (czytaj: wyższości) polskiej kultury nad dekadentckim Zachodem, kiedy pouczamy sąsiadów i wypominamy krytykom rzekomy brak zrozumienia naszej historii, przebija z tego podobna skłonność do kulturowego separatyzmu. Wszak, pisze Klonowicz, nawet bajecznie zamożni Fuggerowie nie są tak godni „Jako tu szlachcic o świętym Marcinie / W naszej krainie”.

Niespokojnemu domowi Zachodu miotanemu falami oceanów, który być może nie zasługuje już nawet na miano domu, przeciwstawia się arcyspokojny dom polski, wywyższony, jakby uniesiony.

Eksport wewnętrzny

„Na niewielkim pagórku” – nie daje nam spokoju ta Mickiewiczowska lokalizacja. Wiemy, że wyodrębnia, wyosobnia dom polski, wystawia go na powszechny widok. Wszak to, co podwyższone, nie wtapia się w tło, lecz „rzuca się w oczy”. Wiemy także, że to wywyższenie nie tylko topograficzne, ale i kulturowe (patrzcie, oto co godne uwagi, by nie rzec lepsze). Ale musimy pomyśleć jeszcze o czymś innym: ta odrębność szlacheckiego dworu oddzielała go też od społeczności. Nie bez przyczyny szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie, a „równość” owa była na ogół zaproszeniem do anarchii. „Zagroda” bierze górę nad „powiatem”, osobność

i właściwa jej wola nad wspólnotą i deliberacją niezbędną dla jej funkcjonowania, wyniosłość (szlachcica i jego dworku) nad „spłaszczeniem” więzi ludzkich właściwych demokracji czy republikanizmowi.

Ale, co ciekawe, proklamowana osobność domu polskiego nie wiązała się z jakimś szczególnie aktywnym jej propagowaniem. Była to osobność raczej eksportu wewnętrznego (by posłużyć się terminem z okresu PRL-owskich peweksów) niż zewnętrznego. Gdy ojcowie założyciele Ameryki płyną przez Atlantyk (czynność sama w sobie z perspektywy okna szlacheckiego dworu już podejrzana), czynią

Osobność domu polskiego nie wiązała się z jakimś szczególnie aktywnym jej propagowaniem. Była to osobność raczej eksportu wewnętrznego (by posłużyć się terminem z okresu PRL-owskich peweksów) niż zewnętrznego.

to, jak głosił w swym słynnym kazaniu John Winthrop, by być „miastem na wzgórzu”, które zobaczy cały świat i które dla tego świata powinno być wzorem. Wczesne malarskie wizjerunki pokazują Amerykę jako „plan-

tację”, wyniosły, pański dwór na szczycie wysokiej góry. Mickiewicz trafnie mówi jedynie o „niewielkim pagórku”.

Nieokiełznana pycha i arogancja (faktycznie uprawianej polityki) i chrześcijańska pokora duchowych założeń mająca rzekomo leżeć u podłoża tejże polityki mieszają się z sobą w obu tych przypadkach.

Wyzwania współczesności

Dzisiejsza Polska Anno Domini 2017 na plan pierwszy wysuwa inny problem: jak będziemy myśleli i na jakich podstawach będziemy konstruowali przyszłość polskiego domu. Odpowiedź nie wygląda krzepiąco, bowiem z „niewielkiego pagórka”, z którego deklarujemy naszą wyniosłą odrębność, nasze spojrzenie kieruje się w przeszłość raczej niż w przyszłość. Nie patrzymy wprzód, lecz raczej wstecz; nie bardzo mówimy o niepewnych wyzwaniach przyszłości, zdecydowanie preferując to, co minione. Przewidział to już Klonowic: wszak to nie niebezpieczny w swej nieprzewidywalności ocean był naszą przyszłością, ale powtarzające się cykle pór roku i rolniczej produkcji, po których zasiadamy w domu „przy ogniu sosnowym / Przy trunku zdrowym”. Uprawiana dzisiaj polityka historyczna zmierza do kreowania przyszłości na modłę przeszłego czasu; nie chodzi w niej o konstrukcję (tworzenie nowego), lecz o restytucję (powtarzanie starego), nie o Europę, lecz o Sarmację.

„W tych epokach, w których ludzkość zmuszona jest żyć bez wielkich wspólnych mitów, miniaturowa historia rodzinnego świata staje się szczególnie ważnym źródłem przeżyć”. Myśl, którą podsuwa nam Marai, mogłaby wyglądać następująco:

mamy do czynienia z procesem, w trakcie którego wielka opowieść chrześcijańska słabnie, ustępując miejsca wielkiej opowieści europejskiej polityczności, a gdy i ta traci siłę, pojawia się opowieść domowa, na przykład o narodzie i jego historii. Czy domowa klechda może spełnić rolę wypełnianą przez jej wielkie poprzedniczki? Problemem naszego polskiego domu wydaje się to, że sprawujący władzę politycy nadali domowej opowieści moc, której nie posiada. Dramatyczna historia Powstania Warszawskiego nie będzie w stanie objaśnić współczesnego świata, nie uczyni tego heroizacja żołnierzy wyklętych. To bez wątpienia ważne dzieje, które trzeba znać i rozważać z szacunkiem należnym tym, którzy poświęcali życie (dodajmy: niestety, nie tylko własne), ale zawiodą, gdy powierzymy im rolę modelu dla przyszłości. Pamiętajmy o przestrodze jednego z ojców nowoczesnej Europy Denisa de Rougemonta, iż „ci, którzy twierdzą, że wszystko zawdzięczają swemu Państwu-Narodowi, rzadko stają się jego chlubą”.

Współcześnie nie patrzymy wprzód, lecz raczej wstecz; nie bardzo mówimy o niepewnych wyzwaniach przyszłości, zdecydowanie preferując to, co minione.

Co w tej sytuacji czynić? Zapewne dwie rzeczy. Po pierwsze, dołożyć wszelkich starań, aby przywrócić wyraźnie zaburzoną równowagę między przeszłością (np. przez jej nadmierną i ściśle ideologicznie motywowaną heroizację) a przyszłością (która nie może w całości zależeć od minionych wzorców). W powieści Maxa Frischa bohater przypatruje się zasobnym szwajcarskim miastom, konkludując: “(...) interesuje mnie wyłącznie pytanie, w jaki sposób budowniczy miast szwajcarskich w ogóle odważa się patrzeć w przyszłość, żyjąc wśród narodu, który właściwie, tak mi się przynajmniej zdaje, nie chce przyszłości, lecz przeszłości”. Miasto czy dom, aby się rozwijać, musi zwrócić się ku przyszłości, inaczej stanie się bezładnym składowiskiem artefaktów przeszłości. W obecnym świecie zadanie to staje się palące, i to samorządność i obywatelskość miast i dzielnic mogą i powinny stać się przeciwwagą dla coraz bardziej nacjonalistyczno-nostalgicznej polityki państwowej prowadzonej w imię „narodu”.

Miasto czy dom, aby się rozwijać, musi zwrócić się ku przyszłości, inaczej stanie się bezładnym składowiskiem artefaktów przeszłości

Po drugie, trzeba wypracowywać taką opowieść domową, która wniosłaby swój wkład do odtworzenia wspólnej opowieści europejskiej. Bo nie ulega wątpliwości, że ta – sprowadzona w istocie w ostatnich latach do administracyjnych procedur – wymaga rzetelnej odnowy. Opowieść polskiego domu nie może być historią przedmurzy i murów, lecz drzwi i bram gościnnie otwartych na to, co inne i obce, i nie wzdragającą się przed rozpoznaniem własnych wad i słabości.

Ucieknijmy od lęku

Charakterystyczna dla współczesności kontraktowość relacji owocuje lękiem: przed utratą pracy, rosnącą konkurencyjnością młodszych roczników, brakiem zabezpieczenia emerytalnego. Jest to lęk dojmujący, gdyż jest lękiem powszechnym. W płynnej, jak mówił Zygmunt Bauman, rzeczywistości rozpuściły się wszelkie gwarancje długoterminowego bezpieczeństwa. W tym kontekście trzeba powiedzieć jasno, że odpowiedzialna i oferująca perspektywę dłuższą niż kolejne wybory budowa domu, czyli pewnej formy życia i sposobu nadawania życiu znaczenia, nie może opierać się na obsesyjnie podsycanym lęku, która to obawa ma uprawomocniać rozmaite, wątpliwe prawnie i moralnie, praktyki mające rzekomo służyć

Potrzebna jest nam wspólnota Polaków zdolna do wydobycia jej uczestników z pętli lęku. Strach i nieufność to bowiem bliźniacze uczucia. Nie ufam, więc się lękam, a bojąc się, coraz bardziej staję się nieufny.

bezpieczeństwu domu, a w istocie utwierdza mentalne lenistwo.

Potrzebna jest nam zatem wspólnota Polaków zdolna do wydobycia jej uczestników z pętli lęku, umniejszenia sfery jego oddziaływania, a co za tym idzie do zwiększenia zaufania jako relacji, z której biorą początek dobre poczynania. Strach i nieufność to bliźniacze uczucia. Nie ufam, więc się lękam, a bojąc się, coraz bardziej staję się nieufny.

Zaufanie pobudza do działania; nieufność zatrzymuje i zamraża chęć działania nie tylko u wykazującej się nią jednostki, ale u wszystkich stykających się z nią osób. Jeśli chcemy ocalić bycie-razem, które byłoby czymś więcej niż tylko schematycznym obiegiem towarów i dóbr, musimy odzyskać wyjściowe zaufanie wobec słów i gestów, jakie kierujemy wzajemnie do siebie. Nie stworzymy takiego domu tak długo, jak długo główną taktiką sprawowania i utrzymania władzy pozostanie nieustanne podsycanie wewnętrznych animozji, zazwyczaj dodatkowo sztucznie demonizowanych.

Bibliografia:

- Cioran Emil, *Ćwiartowanie*, przeł. M. Falski, Warszawa 2004.
Frisch Max, *Stiller*, przeł. J. Frühling, Warszawa 1967.
Klonowicz Sebastian, *Flis*, Warszawa 1984.
Marai Sandor, *Wyznania patrycjusza*, przeł. T. Worowska, Warszawa 2002.
Mickiewicz Adam, *Pan Tadeusz*, Rzym 1945.
Rougemont Denis de, *List otwarty do Europejczyków*, przeł. A. Olędzka-Frybesowa (w:) „Literatura na świecie” 1991, nr 10.



WOJCIECH DOMOSŁAWSKI

ukończył studia inżynierskie na Politechnice Warszawskiej oraz fizyczno-matematyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Pracując w dziale rozwoju generalnego dostawcy, był świadkiem procesów pokonywania barier technologicznych, organizacyjnych, decyzyjnych; dostrzegł jak ważne są postawy kulturowo-osobowościowe warunkujące realizację tak dużego i skomplikowanego przedsięwzięcia w Polsce, jakim była budowa EJ Żarnowiec. Po przejściu na emeryturę skierował zainteresowania na procesy polityczno-kulturowe rozgrywające się w Polsce po transformacji ustrojowej 1989 roku. Zwraca szczególną uwagę na konieczność szeroko rozumianej modernizacji Polski oraz politykę wschodnią, w których jest niezbędne przekraczanie granic wyznaczonych polską zbiorową tożsamością.

„Polski grzech pierworodny” i jego wpływ na rozwój cywilizacyjno-kulturowy Polski

„Polskim grzechem pierworodnym” było przyzwolenie na traktowanie chłopów – czyli *de facto* 90% społeczeństwa I Rzeczypospolitej – niemalże jak niewolników. Na przestrzeni wieków ów „grzech” miał skutki antyrozwojowe i pozostawił kulturowe konsekwencje, które współcześnie stanowią poważne bariery modernizacji Polski. Na czym one polegają? Jak je przełamać? Czy da się to zrobić bez krytycznego namysłu nad naszą historią?

„Polski grzech pierworodny” to wewnętrzne niewolnictwo polskiego chłopstwa. Datą sankcjonującą to niewolnictwo jest rok 1542, od kiedy to chłopów można było sprzedawać. Daniel Beauvois w wywiadzie omawiającym jego książkę *Trójkąt ukraiński*¹ stwierdza: „Stosunki polskiego dworu z wsią były tak okrutne jak na amerykańskich plantacjach bawełny czy w Afryce”².

Ten „grzech” na przestrzeni wieków miał skutki antyrozwojowe i pozostawił kulturowe konsekwencje, które współcześnie są poważnymi barierami w modernizacji Polski.

Cywilizacyjny podział Europy

W nowożytnej europejskiej historii miał miejsce ciągły proces wyzwalań się mas ludzkich od niewolnictwa trwający aż do współcześnie istniejącej wolności gwarantowanej konstytucyjnie w oparciu o liberalną koncepcję ustrojową.

.....
¹ Daniel Beauvois, *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793–1914*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2005.

² Wywiad ukazał się w „Gazecie Wyborczej” z 26–27 stycznia 2006 r. pod tytułem *Demokracji szlacheckiej nie było*.

Ów proces wyzwalał się związany był z cywilizacyjnym postępem, o którym decydowała dynamika przemian politycznych, gospodarczych, społecznych, jak również religijnych.

W Europie w XV i XVI wieku zarysowała się wyraźna linia wzdłuż Łaby rozgraniczająca zmiany cywilizacyjne. Na zachód od Łaby feudalizm przekształcał się z pańszczyzny w system pracy opłacanej w pieniądzu, dostrzega się znaczenie kapitału, który jest gromadzony w miastach i którym zarządza nowa, rozwijająca się dynamicznie mieszczańska warstwa społeczna. Powstają kompanie gospodarcze. Holenderskie kompanie zbożowe w XV wieku zainstalują się u ujścia Wisły w Gdańsku, aby kupować polskie zboże.

Na wschód od Łaby znajdują się Prusy i I Rzeczpospolita, która jest największym i najsilniejszym państwem w obszarze Europy Środkowo-Wschodniej, przeżywającym w XVI wieku swój złoty wiek. Wraz z wygaśnięciem dynastii Jagiellonów przekształciło się ono w praktyce politycznej w federację magnackich dominiów działających poprzez niesprawny system demokracji przedstawicielskiej, oparty na stanie szlacheckim.

W XVI wieku w I Rzeczpospolitej silnie zaostrzyło się poddaństwo, które w relacji „pan – chłop” przyjęło formy niewiele ustępujące niewolnictwu. Podlegało mu, bagatela, około 90% społeczeństwa. Zahamowało to nasz rozwój na wieki.

Rosnące na Zachodzie zapotrzebowanie na polskie zboże tworzyło dla magnaterii i szlachty wygodne warunki bogacenia się na sprzedaży zboża kompaniom holenderskim,

a potem hanzeatyckim, które ulokowały się w Gdańsku. Bogacenie się dużych właścicieli ziemskich na zbożu było przyczyną, że w XVI wieku silnie zaostrzyło się poddaństwo, które w relacji „pan – chłop” przyjmuje formy niewiele ustępujące niewolnictwu. Na bazie prawnie usankcjonowanego niewolnictwa polskiego chłopu ugruntuje się gospodarczy system folwarczno-pańszczyźniany I Rzeczpospolitej, a dwór szlachecki stanie się matecznikiem polskości.

Wymienione wyżej różnice doprowadziły do sytuacji, że pod koniec XVI wieku zmiany polityczne, gospodarcze i społeczne na zachód i wschód od Łaby przyjęły odmienny przebieg. Owa odmienność, trwająca wieki, zadecyduje o współczesnych różnicach cywilizacyjnych między Zachodem a Europą Środkowo-Wschodnią. Różnice te w niemałym stopniu będą uwarunkowane „polskim grzechem pierworodnym”.

„Polski grzech pierworodny”, który dla 90% społeczeństwa w I Rzeczpospolitej stworzył warunki egzystencji na granicy upodlenia, zahamował na całe wieki formowanie się nowoczesnego narodu polskiego, bo naród to całość. Wytworzył się oligarchiczny system magnaterii i szlachty degradujący państwowość Rzeczpospolitej Obojga Narodów.

Prusy, leżące między Łabą a Rzeczpospolitą, swe wzorce ustrojowe i gospodarcze zaczerpnęły z Zachodu. Okazało się, że cywilizacyjna różnica w rozwoju Prus i Rzeczpospolitej utrzymująca się niecałe 200 lat pozwoliła Prusom być skutecznym inicjatorem likwidacji państwowości Polski.

Idea polskości po rozbiorach

W XIX wieku trauma po utracie państwowości staje się coraz silniejsza. W kręgach magnaterii rozwija się ideologia przeciwko zaborczej polityce państw ościennych, jednocześnie uniemożliwiając zbiorowej świadomości rozpoznanie wewnętrznych przyczyn upadku państwowości. Tym samym „grzech pierworodny” – będący jednym z fundamentalnych przyczyn upadku Rzeczpospolitej – pozostał przez wiele stuleci skutecznie zamazany.

Rozwijana ideologia wraz z polskim romantyzmem cały tragizm zaborów ukierunkują jako krzywdę wyrządzoną przez państwa zaborcze mające zamiar zniszczenia narodu polskiego, w szczególności szlachty (co było prawdą). Ta myśl ideowa była głównie skierowana wobec Rosji, jako kraju, który zabrał Kresy.

Kresy, będące terenem polskiej kolonizacji i idei szlacheckiego sarmatyzmu, wytworzyły poczucie kulturowej i cywilizacyjnej wyższości wobec ludności etnicznej zniewolonej poprzez folwarczno-pańszczyżniany system, w który wpisany był „polski grzech pierworodny” – co stworzyło zarzewie dla przyszłych konfliktów narodowościowych. Najokrutniej odbiło się to w wydarzeniach na Wołyniu w 1943 i 1944 roku.

W czasach zaborów rozwinęła się w Polsce ideologia szukająca przyczyn narodowego nieszczęścia wyłącznie w zaborczej polityce państw ościennych. Uniemożliwiała ona tym samym dokonanie zbiorowej refleksji, której celem byłoby rozpoznanie wewnętrznych przyczyn upadku państwowości.

Sarmatyzm promował sposób życia kresowej szlachty jako gospodarczą samodzielność folwarku, autonomię życia wiejskiego, odcięcie się od cywilizacji miejskiej, przywiązanie do ziemi i kultury jej uprawy, swojskość i niechęć do cudzoziemszczyzny. Tworzył kulturę samouwielbienia.

Apoteoza sarmatyzmu potęgowała poczucie krzywdy doznanej od zaborców, a głównie Rosji. Pozwoliło to wytworzyć trwający do dnia dzisiejszego mit utraczonego magicznego miejsca, arkadii polskości. Ten mit pozwolił skutecznie, do dnia dzisiejszego, zamaskować „polski grzech pierworodny” i w zbiorowej świadomości utrwalić nieprzezwyciężalną krzywdę wyrządzoną przez Rosję. Stan ten dziś owocuje rusofobią w polskiej polityce wschodniej.

„Polska psychologia” – zamazywanie win i mit cierpiętnictwa

„Polski grzech pierworodny” utrwalił w polskim chłopie poczucie krzywdy i nieufności, kształtując agresywność, brak szacunku dla ustalonych praw i zasad życia zbiorowego, wykształcił w nim prawie zwierzęcą siłę, aby go utrzymać przy życiu. Ten stan najostrzej się przejawiał w Rabacji Galicyjskiej w 1846 roku.

Siła biologicznego trwania polskiego chłopca była główną mocą przetrwania polskości po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Wówczas to terytorium Polski było zaludnione ludnością chłopską mówiącą po polsku, przyzwyczajoną do pracy i wysiłku, ale jednocześnie mającą słabe poczucie przynależności do narodu.

Natomiast ziemiaństwo przekazywało polskości i kształtowało polską kulturę umysłową. Ugruntowało ono „polską psychologię”, starającą się zamazywać wewnętrzne procesy, które w przeszłości prowadziły do przegranej rywalizacji o wpływy z państwami ościennymi. To zamazywanie dotyczyło także „polskiego grzechu pierworodnego”. Dopiero dziś przebija się pojęcie niewolnictwa polskiego chłopca, które to Daniel Beauvois w *Trójkącie ukraińskim* obrazuje w oparciu o dokumenty i pozostawione opisy stosunków dwór – wieś.

W tym procesie upadku „polski grzech pierworodny” odegrał negatywną rolę zarówno w rozwoju siły gospodarczej, jak i formowaniu nowoczesnego narodu polskiego. Bo naród – jak już wspominałem – to całość, a polskość była obecna tylko w stanie szlacheckim. Ten „grzech” praktycznie w procesie formowania się narodu zatrzymał nas na pięć wieków, aż do odzyskania niepodległości w 1918 roku.

Zamazywanie i ukrywanie rzeczywistego biegu spraw, będące istotą „polskiej psychologii”, świadczy o niedojrzałości w kształtowaniu procesów politycznych i społecznych warstw, które zawłaszczyły polskość. O skuteczności tego zawłaszczenia decydowało niewprowadzenie do świadomości narodowej „polskiego grzechu pierworodnego”. Dalszą konsekwencją „polskiej psychologii” było samouwielbienie, wyrażające się w przyjęciu roli ofiary i majestatu cierpienia. Wytworzyło to kulturę zwróconą w przeszłość. W literaturze znalazło to odbicie w słowach „Polak skarby ma w plecaku, wystarczy po nie sięgnąć, aby podążać w przyszłość”.

Współczesne formowanie się narodu

Gdy po 1918 roku zmienia się struktura społeczna i tworzy się zupełnie nowe narodowe jądro, „polska psychologia” rozciąga na wykluwający się naród poczucie krzywd od zaborców wraz z ofiarą z majestatem cierpienia. W tym uwzniośleniu „polski grzech pierworodny” zostaje utopiony. Nie zostaje wprowadzony do krytycznego namysłu nad historią w formującym się narodzie.

Przy słabej kulturze mieszczań-
skiej, którą w Polsce w poważnym
stopniu tworzyła społeczność żydow-
ska, formujące się jądro narodu, głów-
nie w oparciu o ludność wsi, ma tylko
jeden wzorzec wartości narodowych.

Wzorzec wyrastający z tradycji szlacheckiej przekazywanej przez ziemiański dwór.
On to w II Rzeczypospolitej ugruntuje narodową tożsamość określającą polskość.

Mimo różnic społecznych w formowaniu się narodu wszyscy chcą być obecni
w nurcie polskości. W procesie odnajdywania się w polskości bardzo ważną rolę
odegrała twórczość Henryka Sienkiewicza.

Wyzwalające się masy polskie nie są w stanie tworzyć odrębnej kultury umy-
słowej wobec ziemiańskiej. Kulturowym wzorcem staje się wzorzec „Pana”, który
przez wieki w pańszczyźnianych warunkach zaprzętał wyobraźnię chłopą, będąc
nieosiągalnym marzeniem.

W II Rzeczypospolitej społeczność chłopska, wpisując się w naród, tworzy swo-
ją tożsamość „chłopskiego pana”. Nie jest to tożsamość skierowana na rozwój kul-
turowy, umysłowy, ale na dochodzenie do dóbr, które pozwalałyby na okazywanie
wyższości w środowisku, w którym się żyło.

Warto zauważyć, że tam, gdzie miała miejsce Rabacja Galicyjska w 1846 roku,
zrodził się polski chłopski ruch polityczny „PIAST” z Wincentym Witosem jako przy-
wódcą. Ten chłopski ruch w upodmiotowieniu się politycznym i poszukiwaniu swojej
tożsamości mógłby sięgnąć po krzywdy wywodzące się z „polskiego grzechu pierwo-
rodnego”. Byłoby to mocnym nadszarpnięciem ziemiańskiej tożsamości narodowej.

Marginalizowanie chłopskiego ruchu politycznego przez sanację i zamknię-
cie Witosa w więzieniu w Brześciu oraz wszczęcie przeciwko niemu politycznego
procesu pozwoliło ukryć kolejny raz „polski grzech pierworodny”, gdy rozwijał się
proces formowania się nowoczesnego narodu polskiego.

„Polski grzech pierworodny”, który chłopą polskiego uwięził jak niewolni-
ka, wykształcił w nim cechy obronne, takie jak brak ufności, poczucie krzywdy
niosące nienawiść, agresję, tymczasowość, w której trzeba było tylko przeżyć. Te
wszystkie cechy musiały odnaleźć się w tożsamości „chłopskiego pana”. Jest to
tożsamość egoistyczna i zamykająca się, inną być nie mogła.

Po 1945 roku PRL skutki tego „grzechu” starał się niwelować, aby aktywizować
rozwój gospodarczy. Reforma rolna, powszechność wykształcenia, łatwość pracy,
awans zawodowy i społeczny, rozstawanie się z materialnym ubóstwem, masowe
przemieszczanie się ze wsi do miast utworzyły nową społeczność miejską z korze-

*W II Rzeczypospolitej społeczność chłopska, wpisując
się w wykluwający się dopiero naród, tworzyła swoją
tożsamość „chłopskiego pana”, ukierunkowaną
nie na rozwój umysłowy, lecz na dochodzenie do
dóbr pozwalających na okazywanie wyższości
w środowisku, w którym się żyło.*

niami chłopskimi, która ciągnęła za sobą tożsamość „chłopskiego pana”. Ta społeczność nie rozwinęła potrzeby posiadania nowoczesnej kultury umysłowej wywodzącej się z jej losu, która by mogła przeciwstawić się umysłowej kulturze ziemiańskiej, uzupełniając tożsamość narodu wywodzącą się z tradycji szlacheckiej.

Transformacje ustrojowe po 1989 roku, w oczekiwaniach społecznych miały być budową kapitalistycznego państwa dobrobytu połączoną z polityką społecznej równowagi. Modernizacyjny, inteligencki nurt dokonujący transformacji ustrojowej, zauroczony ekonomicznymi teoriami Friedmana, za cel postawił rozwój gospodarczy, lekceważąc klasę robotniczą i politykę społeczną. Wzięło górę inteligenckie myślenie z poczuciem wyższości wobec mas, które zawierzyły nowym inteligenckim elitom. Zapomniały o nieufności ich przodków wobec dawnych panów ich losu. Zapomniały, bo nigdy do polskiej świadomości zbiorowej nie został wprowadzony „grzech pierworodny”.

Masy te stanowiły ogromną społeczną siłę w czasach „Solidarności”, ale bez własnej kulturowej tożsamości, dlatego zawierzyły elitom i łatwo zostały rozbite. Ich społeczny prestiż praktycznie znikł; osoby te szukały godności i dobrobytu, a zostały pariasami.

Nowy ład społeczny

Tworzący się nowy korporacyjny ład gospodarczy po 1989 roku to kolejna przebudowa układu społecznego w Polsce. Lud korporacji w Polsce to nowa specyficzna i ważna grupa społeczna, najbardziej dynamiczna i mentalnie skierowana ku przyszłości.

Po wstąpieniu do Unii i otwarciu się na Zachód „polskiego ludu korporacji” kształtują się dwa ważne nurty. Pierwszy, to nurt przychodzący z Zachodu wraz z inwestycjami, głównie w gospodarce i finansach, drugi – to rozwój polskiego biznesu. Te dwa nurty przenikają się, co jest ważnym i korzystnym procesem. Mijmy pokorę uczenia się, to jest normalność. Tak się dzieje, że w rozwoju cywilizacyjnym pragniemy doganiać Zachód i niech to będzie narodowym wyzwaniem. To wyzwanie wymaga uczenia się.

Za tym wszystkim stoją ludzie, których kultura umysłowa ulega zmianom wraz z formowaniem się nowej tożsamości Polaka. Prawdziwe i oczywiste jest to, że „polski lud korporacyjny” ma korzenie chłopskie i w swej kulturze umysłowej przenosi cechy „chłopskiego pana” do tak ważnej sfery jak rozwój kapitału, nowe rozdanie majątku narodowego po PRL-u i powstanie nowych właścicieli.

Stąd nie należy się dziwić, że sfera publiczna zapełniła się brakiem ufności, nienawiścią, arogancją z agresywnością, brakiem wzajemnego szanowania się,

z niską oceną wartości kompromisu, postrzeganiem autokratycznego działania jako pozytywnej metody rozwiązywania problemów, tymczasowością zamiast długotrwałych strategii, życiem teraźniejszością bez pasji i wyzwań wobec przyszłości... Sporo tego mamy w naszym życiu publicznym. W tym wszystkim transponowany przez stulecia „polski grzech pierworodny” wobec polskiego chłopca ma znaczący udział. Można nawet powiedzieć, że jest aktem założycielskim tych wszystkich negatywnych cech transponowanych do współczesności.

Dziś, na początku 2017 roku, ponownie pojawia się pytanie: kto jest polskim narodem? Lech Wałęsa, przemawiając w Kongresie USA, swoje wystąpienie rozpoczął słowami „My, naród, ...”. Wierzył, że po 1989 roku zawiązała się wspólnota narodowa.

W przeszłości narodem była nikła ludnościowo grupa szlachty i magnaterii, która wywoływała powstania. Obecnie może narodem jest inteligencka post-Solidarność i lud korporacyjny, który w swej wzniosłości nie uniknął spauperyzowania klasy robotniczej, tworząc rzesze wykluczonych, których politycznie zagospodarował narodowo-katolicki nurt wyrosły z tradycji szlacheckiej – i może on jest narodem? Tak współcześnie przetransponował się „polski grzech pierworodny”. Tak więc nie potwierdza się wiara Lecha Wałęsy – proces budowy nowoczesnego narodu przed nami.

Współczesne wyzwanie – nie bądźmy narodem-gapiem

Wówczas gdy rodził się „grzech pierworodny”, jego twórcy lekceważyli zmiany cywilizacyjne u naszych sąsiadów, które dały im siłę, że nas rozebrali. Od tego czasu tak się dzieje, że procesy globalne nigdy nie są neutralne dla Polski. Ale Polska myśl polityczna świat postrzega jako tło dla samej siebie. To wynik wyniosłości i tymczasowości, które nosimy w sobie. Obecnie kończy się porządek polityczny ukształtowany po II wojnie światowej, kiedy to zwycięzcy w tej wojnie wyznaczyli ramy polskiej państwowości. Z początkiem 2017 roku sami musimy poszukać rozwojowych ram swego miejsca w procesie rozgrywających się globalnych zmian. Zadajmy pytanie, czy ten współcześnie przetransponowany „grzech pierworodny” nie zaowocuje tym, że przejmujemy pozycję narodu-gapia?

Trauma rozbiorców powinna być dla Polski nauczka, że wobec procesów globalnych nigdy nie powinniśmy być neutralni, a już na pewno – nie wolno nam ich ignorować.

Ale ironią polskiej historii będzie, jeśli „polski lud korporacyjny” mający chłopskie korzenie wykształci „polską burżuazję narodową”, która dokończy proces modernizacji Polski rozpoczęty w PRL-u i proces kształtowania narodu rozpoczęty w 1918 roku.



TOMASZ ZARYCKI

socjolog, geograf społeczny, dr hab., profesor w Instytucie Studiów Społecznych im. Profesora Roberta B. Zajonca Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się socjologią polityki i kultury, geografią polityczną oraz analizą dyskursu. Autor książek, m.in.: *Nowa przestrzeń społeczno-polityczna Polski* (1997), *Region jako kontekst zachowań politycznych* (2002), *Kapitał kulturowy. Inteligencja w Polsce i Rosji* (2008), *Peryferie. Nowe ujęcie zależności centro-peryferijnych* (2009), *Ideologies of Eastness in Central and Eastern Europe* (2014).

Dominacja elit kulturowych pod postacią inteligencji

Rozmowa z Tomaszem Zaryckim

Polska gospodarka stoi dziś przed wyzwaniem przejścia z peryferii do centrum. W tym procesie niezwykle istotna będzie rola elit. Jaka obecnie jest ich kondycja? Burzliwe doświadczenia historyczne nie pozwoliły na wykształcenie się nad Wisłą rozpoznawalnych globalnie wielopokoleniowych firm, ani też na stworzenie silnej klasy politycznej. Jedyną grupą, która przez lata zaborów, wojen i komunizmu potrafiła zachować pewną ciągłość, była inteligencja. Dominuje dziś ona nad elitami ekonomicznymi oraz politycznymi. W efekcie, bardziej niż na budowie nowoczesnej gospodarki czy sprawnego państwa wysiłki elit koncentrują się w Polsce na kwestiach kulturowo-tożsamościowych. Czy skupiając się na nich, uda nam się jednak zmienić dotychczasowy model gospodarczy?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor thinklettera Kongresu Obywatelskiego

Jak dziś wygląda struktura elit w Polsce?

Uważam, że w naszym kraju – co jest chyba dość rzadkim przypadkiem w skali świata – mamy do czynienia z dominacją elit kulturowych. Występują one pod postacią inteligencji, znanej również w niektórych krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Od elit kulturowych krajów spoza tej części Europy wyróżnia ją to, że jest ona ewidentnie klasą społeczną. Inteligencja to rodziny wielopokoleniowe i środowiska przyjacielskie, dzięki którym status ten ma pewną ciągłość, jest dziedziczony. Stanowi to jeden z głównych aspektów siły inteligencji. Jest to bowiem część elity, dla której kapitał kulturowy, rozumiany zarówno jako wykształcenie, jak i nieformalna wiedza, wychowanie, znajomość języków czy kontakty, jest najważniejszym zasobem społecznym. Atutem inteligentów jest zdolność do

pełnienia wielu ról społecznych i zawodowych naraz i płynnego przechodzenia od jednych do drugich. Ze względu na swoje umiejętności i zasoby mogą oni okresowo wchodzić do biznesu i polityki, ale robić tego nie muszą. Utrata stanowiska politycznego czy znacznej części majątku nie oznacza dla takich osób – w przeciwieństwie do reprezentantów elit ekonomicznych i politycznych – utraty statusu społecznego. Pozwala to inteligencji przetrwać w bardzo niestabilnych warunkach

W Polsce mamy do czynienia z dominacją elit kulturowych występujących pod postacią inteligencji. Jest to część elity, dla której kapitał kulturowy jest najważniejszym zasobem społecznym.

instytucjonalnych i gospodarczych, z jakimi mamy do czynienia w tej części Europy. Przykładowo – przechodzi nowa władza i zabiera elicie ekonomicznej jej zasoby materialne

i finansowe. Polityków się wygania, bo następuje rewolucja czy zmiana ustroju, i rozwiązuje się partię. A cieszący się wysokim statusem inteligent? Zawsze będzie istniał, bo jeśli rozwiążą mu partię – pójdzie do biznesu. Jak zamkną biznes – przejdzie do sektora kultury czy organizacji pozarządowych. Gdy i tu mu się nie powiedzie – zostanie naukowcem albo bibliotekarzem, bądź też po trochu pełnić będzie kilka z tych ról. Gdzieś tam się „zachowa” i będzie inwestował w to, żeby dobrze wykształcić swoje dzieci. Tak, by kolejne pokolenie odziedziczyło jego pozycję. Dominacja inteligencji ma swoje źródło również w słabości pozostałych typów polskich elit. Nie ma w Polsce – tak jak np. w Niemczech – silnych wielopokoleniowych firm, wokół których zakorzenić by się mogły elity ekonomiczne, ani też utrzymujących się przez dziesiątki lat partii czy środowisk politycznych. Partie, a za nimi ich elity, dzielą się i upadają z zadziwiającą regularnością. Stabilny nie jest też najwyższy korpus urzędniczy.

Skąd w Polsce wzięła się taka konfiguracja?

Od drugiej połowy XIX wieku aż do wybuchu I wojny światowej na polskich ziemiach tworzyła się powoli elita ekonomiczna w klasycznym tego słowa znaczeniu. Sprzyjał temu ówczesny *boom* gospodarczy. Część szlachty oraz ziemiaństwo – w szczególności w Królestwie Kongresowym – próbowało się przekształcić w burżuazję, czego wyrazistym przykładem było powstanie Banku Handlowego Kronenberga. Podobnych inicjatyw było zresztą więcej. Większość z nich zawałała się lub znacząco podupadła wraz z nadejściem I wojny światowej oraz wybuchem rewolucji bolszewickiej. Wskutek załamania się rosyjskiego rynku burżuazja straciła znaczną część rynków i kapitału. Z kolei II Rzeczpospolita wywłaszczyła ziemiaństwo ze znacznej części jego majątków, a wiele z pozostałych zaczęło podupadać. Zarówno młoda (burżuazyjna), jak i stara (ziemiańsko-szlachecka) elita ekono-

miczna zostały zdominowane przez inteligencję, której hegemonia została przypieczętowana wraz z powstaniem II Rzeczypospolitej w 1918 roku. Doszedł do tego globalny kryzys ekonomiczny, który na przełomie lat 20. i 30. zaatakował nasz kraj szczególnie

dotkliwie i jeszcze bardziej podciął skrzydła polskim przedsiębiorcom. Po II wojnie światowej przyszedł natomiast komunizm, który zlikwidował elity ekonomiczne. Ich powolny renesans rozpoczął się dopiero pod koniec lat 80.

Historia Polski nie sprzyjała również powstaniu silnych elit politycznych. W okresie zaborów funkcjonowały one bądź to w ramach obcych imperiów, które z czasem upadły, bądź to w ramach organizacji nielegalnych czy nie w pełni formalnych. Natomiast II Rzeczypospolita była krótkim przerywnikiem, w którego drugiej połowie próbowano tworzyć zwartą elitę państwowo-polityczną pod słynnym hasłem „sanacji”. Okazało się to jednak eksperymentem dość krótkotrwałym, po którym nadszedł PRL. Nawet wówczas polskim komunistom nie udało się jednak stworzyć – na wzór Związku Radzieckiego – nomenklatury z prawdziwego zdarzenia, a więc reprodukującej się wielopokoleniowo elity politycznej.

Dominacja inteligencji ma swoje źródło m.in. w słabości pozostałych typów polskich elit. Przez wzgląd na naszą historię nie ma w Polsce silnych wielopokoleniowych firm, wokół których zakorzenieć by się mogły elity ekonomiczne, ani też funkcjonujących przez dziesiątki lat partii czy środowisk politycznych.

Bolesne doświadczenia historyczne naszego kraju dotknęły jednak też przecież polską inteligencję...

Grupa ta wykształciła się w Polsce w drugiej połowie XIX wieku. Wyrastała z różnych korzeni – przede wszystkim ze szlachty, w pierwszej kolejności jej mniej zamożnej czy biedniejszej części, ale także z bogatszej klasy chłopskiej oraz mieszczaństwa. Jak już wspominałem, szczególnie silną pozycję uzyskała w okresie międzywojennym. Można powiedzieć, że II Rzeczypospolita była krajem zdominowanym przez inteligencję, której służyły najważniejsze państwowe struktury. To pod kątem jej wartości kształtowano historyczne mity i wartości obywatelskie. Wkrótce nadeszła jednak II wojna światowa. Z jednej strony nie sposób nie przyznać, że okupanci potraktowali inteligencję szczególnie brutalnie. Niemcy w dalszej perspektywie myśleli nawet o jej całkowitej eksterminacji, komuniści mordowali i wywozili na zesłanie jej najwyżej stojących w hierarchii patriotycznych przedstawicieli. Z drugiej jednak strony można też stwierdzić, że okres wojny i komunizmu paradoksalnie wzmocnił pozycję inteligencji jako grupy.

Wiele osób nie zgadza się zdecydowanie z taką interpretacją, twierdząc wręcz, że po wojnie, w której wymordowano znaczną część tradycyjnej elity, trudno już mówić o istnieniu prawdziwej polskiej inteligencji. Moje ujęcie opiera się jednak nie na trady-

cyjnej perspektywie „etosowej”, ale strukturalnej. Zwracam bowiem uwagę, że wojna, a następnie wczesne lata komunizmu wyeliminowały całkowicie z gry elitarnej polską burżuazję, ziemiaństwo oraz dawne elity polityczne. Inteligencja zaś, choć ucierpiała znacząco w kategoriach ilościowych i w odniesieniu do bardziej konserwatywnej jej części, utrzymała strukturalną ciągłość i przewagę w polu władzy, gdyż nie pozbawiono jej, jako środowiska, kluczowych zasobów czyli kapitału kulturowego.

W okresie komunistycznym, pomimo radykalnych czystek, a nawet politycznych mordów, szeroko rozumianej inteligencji nie wyrósł znaczący przeciwnik, a jej kulturowe kompetencje zostały często docenione, choć oczywiście dostęp do elit politycznych zamknięty był dla osób niedeklarujących lojalności wobec władz komunistycznych. Znaczną część elity partyjnej stanowili jednak inteligenści, choć zwykle z innych środowisk niż te, które dominowały przed wojną. To oni w dużym stopniu przyczynili się do „zreprodukowania” tej grupy również przez asymilację do niej awansujących robotników czy chłopów. Lansowane było pojęcie inteligencji pracującej, będącej *de facto* krytyką starej, konserwatywnej inteligencji. Niemniej ideał inteligenta jako idealnego obywatela pozostał kluczowym punktem odniesienia dla całego okresu powojennego i w takim też duchu kształcono awansującą młodzież w okresie komunistycznym. Inteligenckie wartości propagowały również państwowe media i szkoły, niezależnie od tego, że miały oczywiście często wyrazistą orientację ideologiczną. Co szczególnie ciekawe, większa część dzieci elity komunistycznej idąca na elitarnie wówczas, z racji

Szczególnie silną pozycję inteligencja uzyskała w Polsce za czasów II Rzeczypospolitej. Jej ponowny rozkwit nastąpił – paradoksalnie – w okresie komunizmu.

małej skali szkolnictwa wyższego, studia, przyjmowała zwykle inteligenckie, a nie „nomenklaturowe” czy urzędnicze tożsamości. W następstwie tego procesu duża część z nich przerodziła

się w inteligencję antykomunistyczną. Nieco później, w latach 70., nastąpiła wyraźna konsolidacja bardzo szerokiego obozu inteligenckiego, składającego się zarówno ze zbuntowanych dzieci ówczesnej nomenklatury, jak i z konserwatystów zrzeszonych wokół Kościoła katolickiego. Symbolem tego procesu było powstanie Komitetu Obrony Robotników, a kolejnym etapem – powstanie NSZZ „Solidarność”. Można powiedzieć, że główną siłą i na pewno ważnym beneficjentem tego ogromnego ruchu społecznego była właśnie elita inteligencka.

O sile polskiej inteligencji świadczy zatem to, że jako jedyna spośród elit przetrwała?

Uważam, że zdolność do reprodukcji jest podstawowym wyznacznikiem siły danej elity. Śmiem twierdzić, że większa część współczesnych elit – nie tylko w Pol-

sce – dziedziczy swój status społeczny. Kwestia ta bywa dziś bardzo kontrowersyjna; żyjemy przecież w społeczeństwach demokratycznych, które opierają się na ideałach otwartości, równości w dostępie do wyższych pozycji społecznych oraz merytokracji. Zamykanie się elit wyłącznie na „swoich” nie wpisuje się w ten etos. Zresztą to zamknięcie nigdzie nie jest pełne, nawet w elitach, które otwarcie je deklarują, jak np. tradycyjna arystokracja. Chodzi tu raczej o proporcję pomiędzy częścią elit pochodzącą z reprodukcji i tą z awansu społecznego.

Czy ciągłość inteligencji to jednak nie zbyt mało, by móc powiedzieć, że grupa ta zdominowała polskie elity ekonomiczne i polityczne?

Jeżeli chodzi o decyzje podejmowane w mniejszej skali, rola biznesu i polityków jest faktycznie bardzo istotna. Natomiast w kwestii spraw makrostrukturalnych, kluczowych dla rozwoju Polski, najważniejszy głos mają, moim zdaniem, inteligenci. Na tym poziomie wszelkie działania zachodzą w dużej mierze pod ich wpływem. Są oni w stanie bardzo skutecznie narzucić innym typom elit swoje normy, jako pewien punkt odniesienia.

W kwestii kluczowych dla rozwoju Polski spraw makrostrukturalnych najważniejszy głos mają inteligenci. Są oni w stanie bardzo skutecznie narzucić innym typom elit swoje normy, jako pewien punkt odniesienia.

Czy można wskazać na to jakieś przykłady?

Dobrym przykładem na to, jak ważną rolę odgrywa w naszym kraju inteligencja, było według mnie zablokowanie możliwości uwłaszczenia się na szerszą skalę nomenklatury na przełomie XX i XXI wieku. Pod koniec lat 90. środowiska postkomunistyczne podjęły, jak się wydaje, próbę konsolidacji swojej władzy i stworzenia aliansu z częścią krajowych elit ekonomicznych. Miało to się odbywać w ramach szerszego projektu wykorzystania mechanizmów państwa na rzecz uruchomienia na większą skalę akumulacji zasobów ekonomicznych. Byłby to być może początek budowy polskiej oligarchii, porównywalnej np. do tej, która wykształciła się na Ukrainie. Próba ta została wielowymiarowo zablokowana przez środowiska, które można określić jako w dużym stopniu inteligenckie. Wyszły one zwycięsko chociażby z afery Rywina, będącej jedną z osi tego sporu. Uniemożliwiło to skonsolidowanie się krajowej elicie politycznej i ekonomicznej oraz przyspieszyło otwarcie polskiej gospodarki na ścieżkę prywatyzacji z udziałem zachodnich inwestorów.

Pod koniec lat 90. środowiska postkomunistyczne podjęły próbę konsolidacji swojej władzy i stworzenia aliansu z krajowymi elitami ekonomicznymi. Próba ta została wielowymiarowo zablokowana, głównie za sprawą inteligencji.

Do czego dążą dziś polskie elity?

Dominacja inteligencji sprawia, że polskie elity są skupione głównie na kwestiach kulturowych, tożsamościowych. Symbolem tego jest w naszym kraju rozwój muzealnictwa. Budowane nad Wisłą muzea powstań, historii itp. są swoistymi inteligenckimi „twierdzami”, widocznymi dowodami na hegemonię tej grupy.

Brak zasobów pozwalających zbudować nowoczesną gospodarkę, czy też silne państwo, implikuje przyjęcie strategii swoistej kompensacji kulturowej, która objawia się m.in. w tendencji do udowadniania światu, że Polska jest krajem cywilizowanym.

Inteligencja ma bowiem genetyczną skłonność do mówienia o Polsce przede wszystkim w kategoriach kulturowych – dumy narodowej, historii kraju, jego martyrologii rozumianej jako dowód na siłę ducha czy też tra-

dycji „postępowych” lub modernizacyjnych, niezmiennie jednak definiowanych w kategoriach kulturowych, a nie gospodarczych czy instytucjonalnych. Można chyba powiedzieć, że brak zasobów pozwalających zbudować nowoczesną gospodarkę czy też silne państwo, jak również ogromna nieciągłość instytucji państwowych i gospodarczych, implikują przyjęcie strategii swoistej kompensacji kulturowej. Objawia się ona m.in. w tendencji do udowadniania światu, że jesteśmy być może nie tak zasobni jak kraje zachodniego rdzenia, ale równie jak one cywilizowani. Przy czym owo ucywilizowanie ma w Polsce dwa warianty – konserwatywny, który pokazuje, że Polacy są wierni tradycji chrześcijańskiej, oraz liberalny, mówiący o tym, że jesteśmy wykształceni, otwarci, nowocześni i w sensie kulturowym nie różnimy się niczym od społeczeństw zachodnioeuropejskich, a być może jesteśmy nawet od nich lepsi.

A jak wygląda układ elit w świecie zachodnim?

W zasobnych społeczeństwach kapitalistycznych, na czele ze Stanami Zjednoczonymi, zauważalna jest zwykle dominacja elit ekonomicznych. W największym stopniu wpływają one na podejmowane w kraju decyzje o kluczowym znaczeniu.

W nowoczesnych społeczeństwach kapitalistycznych, na czele ze Stanami Zjednoczonymi, zauważalna jest dominacja elit ekonomicznych. Blisko nich są też elity polityczne.

Blisko nich są też elity polityczne. Na drugim biegunie znajdują się natomiast podporządkowane im zazwyczaj elity kulturalne, do których zalicza się przede wszystkim intelek-

tualistów oraz pracowników umysłowych instytucji publicznych i prywatnych, jak choćby uczelni. Nie mają oni zazwyczaj dużego wpływu na główny bieg wydarzeń, stąd też np. w USA popularne są wśród nich postawy krytyczne wobec państwa czy nawet kapitalizmu samego w sobie.

Nie podejmują oni jednak pewnych prób, by strącić biznes z piedestału?

Podejmują, lecz tak naprawdę niewiele są w stanie wskórać. Dobrym tego przykładem była akcja *Occupy Wall Street* z 2011 r., zorganizowana w dużym stopniu przez amerykańskie elity kulturowe, w szczególności lewicowe. Zmobilizowały się one, aby wprowadzić do dyskursu publicznego kwestię nadmiernej koncentracji bogactwa znajdującego się ich zdaniem w rękach elit ekonomicznych. Uczestnicy tej akcji nazywali siebie „99 procentami społeczeństwa”. Protesty i demonstracje trwały rok czy dwa, po czym akcja ta umarła śmiercią naturalną i wszyscy rozeszli się do domów. Pomimo przekonania pikietujących, że wręcz bohatersko zmieniają niewłaściwy ład panujący w kraju, niczego nie zdziałali. Z kolei elity ekonomiczne, nie idąc praktycznie na żadne ustępstwa, bez problemu zachowały swoją pozycję. Przykład ten w dobry sposób ukazuje ich hegemonię w USA. Być może wpisać w ten mechanizm można również wybór przedsiębiorcy Donalda Trumpa na stanowisko prezydenta USA, co czyni dominującą rolę elity ekonomicznej jeszcze bardziej widoczną. Można jednak zwrócić też uwagę, że już wcześniej na wysokie stanowiska w administracji Stanów Zjednoczonych trafiali często przedstawiciele biznesu, a dużo rzadziej profesorowie uniwersyteccy, co jest natomiast zjawiskiem dość powszechnym w Polsce. Wielu poprzednich prezydentów USA, z Bushami na czele, wywodziło się też bezpośrednio ze znanych klanów amerykańskiej oligarchii ekonomicznej.

W których krajach dominującą pozycję mają natomiast elity polityczne?

Przed wszystkim w państwach autokratycznych, np. w Chinach czy Rosji. Elicie politycznej są tam podporządkowane zarówno elity kulturowe, jak i ekonomiczne, co doskonale ilustruje chociażby sprawa Chodorkowskiego. Cechą charakterystyczną, a zarazem wielkim atutem dominujących rosyjskich elit jest to, że są one zdolne do reprodukcji. W dzisiejszych strukturach państwowych znajduje się wielu potomków sowieckiej nomenklatury. Swoje miejsce odnajdą w nich zapewne również dzieci obecnych wysokich urzędników. Ciekawym przykładem państwa, w którym elita polityczna ma szczególnie silną pozycję, jest też Francja. Tak wysoki status klasy urzędniczo-politycznej wynika z bardzo silnych tradycji państwowości w tym kraju. Francuska elita reprodukuje się za sprawą kilku superelitarnych szkół (*grandes écoles*). Dostęp do nich – choć formalnie jest otwarty dla wszystkich, którzy zdadzą bardzo wymagające egzaminy – mają w praktyce głównie potomkowie wysokich urzędników piastujących te funkcje

Dominacja elit politycznych charakteryzuje przede wszystkim państwa autokratyczne, np. Rosję, choć silną pozycję mają one też m.in. we Francji.

w przeszłości. To właśnie ta grupa, nazywana niekiedy „szlachtą państwową”, w największym stopniu rządzi państwem, choć niemalże na równej jej pozycji znajdują się – blisko z nią współpracujące – elity ekonomiczne. Ich dobre relacje najlepiej obrazuje płynny przepływ pracowników pomiędzy najważniejszymi stanowiskami państwowymi a szczyblem zarządczym francuskich korporacji kontrolowanych przez Skarb Państwa, jak np. Orange.

Jaka kompozycja elit wydaje się być najbardziej pożądana z perspektywy rozwoju gospodarczego państw oraz budowania dobrobytu ich społeczeństw?

Nie mam jasnego przekonania, jaka struktura elit jest optymalna. Tę kwestię oceniać można bowiem na podstawie bardzo różnych kryteriów i punktów widzenia, z których każdy będzie obarczony silną normatywnością. Trudno sugerować, że jedna konfiguracja jest lepsza od innej. Wszystko zależy od specyficznych uwarunkowań poszczególnych państw. Dana struktura elit nie bierze się nagle znikąd – jest ona zwykle efektem kilkusetletniej ewolucji społeczeństwa, pewnym dopasowaniem do historycznego kontekstu kraju. Jest też rezultatem toczonych przez pokolenia walk pomiędzy poszczególnymi frakcjami elit.

Czy myśląc o budowie silnej i nowoczesnej polskiej gospodarki, powinniśmy – idąc za przykładem najbardziej rozwiniętych państw zachodnich – skupić się przede wszystkim na budowie elit ekonomicznych?

Sensem kapitalizmu jest akumulowanie kapitału, a następnie zarabianie na pożyczaniu go oraz eksporcie do innych krajów świata, w których „pracuje” on na rzecz kredytodawcy. Większość znanych nam z historii prób modernizacyjnych Polski było opartych na kapitale pożyczonym z zewnątrz albo na nadzwyczajnej mobilizacji etatystycznej, jak np. w okresie stalinizmu. W momencie gdy kończył się zewnętrzny dopływ gotówki, bądź też polityczna możliwość uwalniania rezerw, hamował też

Trudno sugerować, że dana konfiguracja elit jest lepsza od innej. Wszystko zależy od specyficznych uwarunkowań poszczególnych państw.

wzrost gospodarczy. Siła zachodnich, najbardziej rozwiniętych gospodarek tkwi w tym, że mają one duże rezerwy kapitałowe i w momencie, gdy kończy

się jeden model gospodarczy, kapitał ten można przenieść do innego, bardziej nowoczesnego. Polskie rezerwy kapitałowe są natomiast bardzo ograniczone. Wyczerpuje nam się jeden model wzrostu i czekamy na pomoc z zewnątrz. Według mnie jest to zasadnicza słabość naszej gospodarki. Budowa elit ekonomicznych, zdolnych do akumulowania kapitału, wydaje mi się więc sensowną drogą do realizowania interesu rozwojowego Polski. Trudniejsza pozostaje natomiast kwestia, jak tego dokonać.

Jakie mamy opcje?

Jest to poważny dylemat polityczny czy też szerzej – strategiczny. Z jednej strony w pierwotnej akumulacji kapitału w gospodarce pomóc może państwo, co jest jednak drogą ku oligarchii, z czego może wynikać później wiele negatywnych procesów. W latach 90. pomysłem takim postawiono w Polsce zresztą, jak już wspominałem, tamę – nie stworzyliśmy klasy oligarchów, co wielu uważa za nasz wielki sukces. Alternatywą jest pójście drogą rynkową. Tu jednak problemem jest to, że polskie firmy zazwyczaj nie mają szans w starciu z zachodnimi gigantami, którzy na rynku funkcjonują od dziesięcioleci i zdążyli już ugruntować swoją pozycję. Sytuacja ta przypomina nieco błędne koło, choć chyba jest do wyobrażenia jakaś ścieżka łącząca synergicznie elementy różnych strategii i prowadząca do powolnej konsolidacji polskich elit ekonomicznych. Obawiam się jednak, że poza dobrymi chęciami i rozsądnym planem przydałaby nam się też sprzyjająca koniunktura geopolityczna oraz kilka innych szczęśliwych zbiegów okoliczności, jakie zwykle trafiały się krajom, które odniosły spektakularne sukcesy gospodarcze.

Z jednej strony w pierwotnej akumulacji kapitału w gospodarce pomóc może państwo, co jest de facto drogą ku oligarchii. Alternatywą jest pójście drogą rynkową. Tu jednak problemem jest to, że polskie firmy zazwyczaj nie mają szans w starciu z zachodnimi gigantami.

Powolna konsolidacja polskich elit ekonomicznych oznaczałaby istotną zmianę azymutu – w ostatnich latach nasz rozwój wynikał w dużej mierze z pojawiania się w Polsce wielu firm zachodnich, które zdążyły sobie przez ten czas ugruntować nad Wisłą bardzo silną pozycję...

Dotykamy tu drażliwego tematu. Z jednej strony zagraniczne inwestycje w ostatnich dwóch dekadach znacznie przyczyniły się do rozwoju gospodarczego naszego kraju. Z drugiej jednak strony, mam wrażenie, że sektor ekspercki, związany z obsługą biznesu, został w Polsce ustawiony w taki sposób, że intuicyjnie analizuje i ocenia wiele zjawisk oraz procesów bardziej z punktu widzenia interesów dużych korporacji zachodnich, niż polskich przedsiębiorstw. Jestem oczywiście daleko od piętnowania kogokolwiek, chodzi raczej o problem strukturalny, który nie dotyczy wyłącznie naszego kraju, a co najmniej większości państw postkomunistycznych. Pisał o tym niejednokrotnie w swoich analizach roli kapitału zagranicznego w rozwoju naszej części świata m.in. Jan Drahokoupil. Chciałbym więc przede wszystkim zwrócić uwagę na to, by być ostrożnym przy definiowaniu ścieżek rozwojowych dla Polski wyłącznie w oparciu o diagnozy ekonomiczne tworzone na bazie wiedzy pochodzącej z podmiotów globalnych czy też nastawionych

przede wszystkim na obsługę ich interesów. Nie chodzi tu o ich nierzetelność, ale m.in. o sposób definicji różnego typu mierników i kryteriów oceny procesów gospodarczych czy sfery otoczenia biznesu, jak również o milczące przyjmowanie pewnych normatywnych założeń oraz perspektywy, która mogłaby być w wielu przypadkach znacząco odmienna, gdyby określali ją przedstawiciele polskich podmiotów gospodarczych.

Temat ten jest tak „miękki”, że niełatwo byłoby chyba wytyczyć tu granicę...

Jeżeli jest się krajem peryferyjnym o niewielkich rezerwach kapitałowych, trudno określić, gdzie leży optymalna granica pomiędzy otwarciem się na kapitał zewnętrzny i zagraniczne podmioty, a broniением interesu polskich firm. Widać to obecnie na naszej scenie politycznej, gdzie coraz wyraźniej rysuje się podział na euroentuzjastów

Jeżeli jest się krajem peryferyjnym o niewielkich rezerwach kapitałowych, trudno określić, gdzie leży optymalna granica pomiędzy otwarciem się na kapitał zewnętrzny i zagraniczne podmioty, a broniением interesu polskich firm.

i eurosceptyków. Moim zdaniem spór ten w wielu momentach niefortunnie dramatyzuje dyskusje w obszarach, w których należałoby dyskutować pragmatycznie, bez niepotrzebnych emocji. Skuteczniej jest oczywiście bronić polskiego interesu przez sprawną dyplomację, niż upolityczniać go, ale tak jak wspomniałem – nie mam tu sam żadnych prostych recept na zdefiniowanie właściwej granicy pomiędzy uzasadnioną asertywnością a racjonalnym otwarciem na kompromis z najsilniejszymi aktorami globalnej gospodarki i polityki. Obawiam się, że długo jeszcze nie uda nam się osiągnąć tu łatwych kompromisów.

Rozmawiał Marcin Wandałowski



ANTONI DUDEK

profesor zwyczajny na Wydziale Nauk Historycznych i Społecznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Członek oraz ostatni przewodniczący Rady Instytutu Pamięci Narodowej (2011–2016). Autor i współautor kilkunastu książek z zakresu historii Polski w XX wieku oraz dziejów polskiej myśli politycznej. Najważniejsze prace w jego dorobku dotyczą dziejów Polski pod rządami komunistycznymi, transformacji ustrojowej oraz przemian systemu politycznego współczesnej Polski. Wśród dzieł tych wyróżnić można m.in. takie tytuły jak *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990*, *PRL bez makijażu*, czy *Historia polityczna Polski 1989–2015*.

III Rzeczpospolita – skok materialny, ale nie kulturowo-mentalny

Nie ulega wątpliwości, że po 1989 r. nasz kraj dokonał znaczącego skoku cywilizacyjnego, a nasze położenie międzynarodowe pozostaje bez porównania lepsze niż w II Rzeczpospolitej. Ostatnie niemal trzy dekady przyniosły jednak za sobą także szereg problemów, z którymi trudno nam było i nadal jest się uporać. Brak zdolności kolejnych ekip rządowych do kontynuowania projektów zainicjowanych przez poprzedników czy też wielka niechęć polskiego społeczeństwa do własnej klasy politycznej oraz do instytucji publicznych to tylko jedne z przykładów. Receptą na rozwiązanie wielu z nich jest zwiększenie poziomu zaufania społecznego.

Ponad dwadzieścia pięć lat, które minęły od upadku rządów komunistycznych, oraz zasadnicza zmiana na scenie politycznej, która dokonała się za sprawą podwójnych wyborów w 2015 r., to dobry moment na dokonanie krótkiego podsumowania sukcesów i porażek minionego ćwierćwiecza. Z racji moich kompetencji oraz rozmiarów niniejszego tekstu ograniczę się do wymienienia kilku najistotniejszych – w moim odczuciu – dokonań oraz najpoważniejszych błędów państwa polskiego w tym okresie.

Sukcesy ćwierćwiecza

Nie ulega wątpliwości, że po 1989 r. nasz kraj dokonał znaczącego skoku cywilizacyjnego. W 2014 r. polska gospodarka zajmowała 25. miejsce w skali świata i szóste wśród krajów Unii Europejskiej. PKB *per capita* Polski porównywany według parytetu siły nabywczej do średniej dla całej Unii wzrósł z poziomu 49,8% w 2005 r. do

68,9% w roku 2014, co wskazuje, że stopniowe redukowanie ekonomicznej przepaści dzielącej nas od Europy Zachodniej stało się faktem.

Większość analiz wskazuje na spadek poziomu korupcji w naszym kraju. Wedle badań Transparency International, Polska uplasowała się w 2015 r. na 30. miejscu liczącej 175 pozycji listy najmniej skorumpowanych państw świata. W 2009 r. byliśmy w tym rankingu na 49. miejscu. Jeszcze bardziej spektakularny był nasz skok w rankingu krajów najbardziej przyjaznych biznesowi „Doing Business”, przygotowanym przez Bank Światowy. O ile jeszcze w 2009 r. znajdowaliśmy się w nim na 76. miejscu, to w ubiegłym roku już na 24.

Po wejściu do UE bardzo znacząco wydłużyły się drogi ekspresowe i autostrady, powstały też liczne nowe obiekty użyteczności publicznej. Znacząco, bo o blisko dziesięć lat, wzrosła też po upadku PRL średnia długość życia. Odsetek studiującej młodzieży zwiększył się czterokrotnie, w efekcie czego liczba Polaków z wyższym wykształceniem wzrosła z niespełna 2 milionów w 1989 r. do ponad

Nie ulega wątpliwości, że po 1989 r. nasz kraj dokonał znaczącego skoku cywilizacyjnego, a nasze położenie międzynarodowe pozostaje bez porównania lepsze niż w II Rzeczpospolitej. To jednak tylko jedna strona medalu.

8 milionów w 2015 r., choć poziom tego wykształcenia często pozostawia wiele do życzenia. O blisko 20% wzrosła powierzchnia przeciętnego polskiego mieszkania. Oczywiście,

trudno uznać to za dowód zaspokojenia potrzeb społecznych w tym zakresie, ale jest to jednak potwierdzenie rosnącej zamożności Polaków, podobnie jak zwiększający się odsetek naszych rodaków spędzających urlopy za granicą. W międzynarodowym rankingu jakości życia, przygotowanym przez jedną z agend ONZ, Polska zajmowała w 2014 r. 35. miejsce, co oznaczało – w porównaniu z 1998 r. – awans o dziewięć miejsc. Polacy, jak wynika z badań socjologicznych, są też coraz bardziej zadowoleni z życia. O ile w 1991 r. wyrażało je jedynie 58% respondentów, to w 2015 r. ich odsetek wzrósł do 81%.

Rozwijającej się nieprzerwanie od 1993 r. gospodarce towarzyszył dość stabilny system polityczny, w którym kilkakrotnie dochodziło do pokojowego przejmowania władzy przez pochodzące z demokratycznych wyborów ekipy partyjne. Mimo dzielących je różnic oraz coraz ostrzejszego języka używanego przez polityków w mediach, nie dochodziło (poza nielicznymi incydentami) do stosowania przemocy w życiu politycznym. Stosunkowo szerokiej akceptacji dla elementarnych reguł konstytucyjnych i wyborczych towarzyszył konsensus dotyczący podstawowych założeń polityki zagranicznej RP. Zakładały one związanie Polski z głównymi strukturami wojskowymi, politycznymi i gospodarczymi świata zachodniego (NATO i UE). Mimo pogorszenia w 2014 r. – za sprawą rosyjskiej agresji na Ukra-

inie oraz nasilenia kryzysu UE – położenia międzynarodowego Polski, pozostaje ono bez porównania lepsze niż w którymkolwiek roku istnienia II Rzeczypospolitej.

Gdyby w tym miejscu przerwać ten wywód, mielibyśmy gotowy wstęp do folderu promującego osiągnięcia III RP za granicą. Gdyby uznać go za pełny obraz stanu naszego państwa i społeczeństwa, to głośna teza byłego prezydenta RP Bronisława Komorowskiego o minionym ćwierćwieczu jako „złotym wieku” w dziejach Polski byłaby w pełni uprawniona. Jest to jednak oczywiście jedynie awers krótkiej diagnozy stanu polskich spraw w końcu drugiej dekady XXI wieku. Teraz pora na jej rewers.

Lista mankamentów

Zacznę od sprawy najtrudniejszej do naprawienia, choć na co dzień wciąż jeszcze słabo rzucającej się w oczy. Jest nią dramatyczna luka demograficzna wywołana przez utrzymujący się w całym okresie istnienia III Rzeczypospolitej gwałtowny spadek przyrostu naturalnego. Wedle szacunków GUS, w Polsce po 2030 r. corocznie ubywać będzie po około 150 tys. obywateli, co doprowadzi do zmniejszenia się liczby jej mieszkańców do około 34 mln w 2050 r. (spadek o 12%). Towarzyszyć temu będą niekorzystne zmiany w strukturze wiekowej społeczeństwa. Osoby w wieku powyżej 65 lat będą wówczas stanowiły prawie jedną trzecią populacji, co zdemoluje dotychczasowy system emerytalny oraz przebuduje nasze życie społeczne i polityczne w zasadniczy sposób. Nie wiadomo, w jakim stopniu zapoczątkowany w 2016 r. przez rząd PiS program „Rodzina 500+”, stanowiący największe przedsięwzięcie w zakresie polityki pronatalistycznej w dotychczasowej historii III RP, wpłynie na odwrócenie tej tendencji, tym bardziej że znacząco zmniejszyła się już liczba Polek w wieku rozrodczym. Nie ulega jednak wątpliwości, że za politykę prorodzinną zabrano się o dwie dekady za późno.

Brak polityki prorodzinnej nie wynikał wyłącznie ze zdominowania świadomości elity politycznej przez dość prymitywnie pojmowaną doktrynę liberalizmu gospodarczego, wedle której każda polityka społeczna państwa była podejrzana. Istotne znaczenie miała tu również fundamentalna słabość III RP, czyli niezdolność kolejnych ekip rządowych do kontynuowania projektów zainicjowanych przez poprzedników, nawet jeśli trudno było zakwestionować ich racjonalność. Zdarzały się oczywiście wyjątki od tej destrukcyjnej reguły, czego bodaj najbardziej spektakularnym dowodem jest otwarty w ubiegłym roku gazoport w Świnoujściu. Z inicjatywą jego budowy wystąpił jeszcze w 2006 r. rząd Jarosława Kaczyńskiego, ale inwestycję kontynuowano podczas dwóch kadencji rządów PO-PSL. Niestety znacznie więcej mamy odmiennych przykładów. Trzymając się tematu

suwerenności energetycznej Polski, warto w tym kontekście wspomnieć o zawartym we wrześniu 2001 r. przez rząd Jerzego Buzka porozumieniu o dostawach gazu z Norwegii. Przewidywało ono budowę gazociągu, który miał zostać otwarty w 2008 r., ale umowę wkrótce po wygranych przez SLD wyborach zerwał rząd Leszka Millera, argumentując, że norweski gaz byłby droższy od rosyjskiego. Nie trzeba dużej wyobraźni, aby się domyślić, że budowa takiego gazociągu postawiłaby pod znakiem zapytania projekt Nordstream, o którego budowie zdecydowano dopiero w 2005 roku.

Symbolem braku ciągłości i niekonsekwencji działania w obszarze energetyki są też ciągnące się od lat bez jednoznacznej konkluzji dyskusje i analizy dotyczące budowy elektrowni jądrowej. Z kolei kto wie, czy nie największym zaniechaniem w obszarze badań naukowych był brak finansowania przez państwo na wielką skalę badań nad technologią czystego węgla już od połowy lat 90., gdy stało się jasne, że w UE, do której wówczas aspirowaliśmy, coraz większego znaczenia nabiera problem wysokiej emisji CO₂.

Podobne przykłady zaniechań i ewidentnych błędów można niestety znaleźć w większości innych obszarów funkcjonowania państwa. Dla przykładu, w służbie zdrowia nie zdołano wprowadzić w życie takich zapowiadanych od lat projektów, jak choćby elektroniczna karta ubezpieczenia zdrowotnego, nad którą prace

Fundamentalna słabość III RP wynika z niezdolności kolejnych ekip rządowych do kontynuowania projektów zainicjowanych przez poprzedników, nawet jeśli trudno zakwestionować ich racjonalność.

trwają od 1998 r., a którą rząd Tuska planował początkowo połączyć z nowym dowodem osobistym. W NFZ szacowano roczne oszczędności z tytułu wprowadzenia takich kart na co

najmniej 650 mln złotych, na Śląsku takie karty funkcjonują z dobrym skutkiem już od czasów rządu Jerzego Buzka. Jest to zresztą pamiątka po systemie kas chorych, które rząd Millera zlikwidował zanim na dobre można było ocenić, czy sprawdzają się jako mechanizm zarządzania publiczną służbą zdrowia. Trafna wydaje się gorzka opinia sformułowana przez prof. Andrzeja W. Koźmińskiego, który oceniając dotychczasową politykę kolejnych ekip rządowych, stwierdził: „Zabrakło długofalowego programowania warunków przyszłego rozwoju, poczynając od gospodarki wodnej poprzez energetykę, infrastrukturę drogową, kolejową, teleinformatyczną. Działania we wszystkich tych kluczowych obszarach mają charakter doraźny”. Nie inaczej niestety było w służbie zdrowia, wymiarze sprawiedliwości, szkolnictwie, wojsku czy policji i służbach specjalnych.

Daleko posunięta niechęć do kontynuowania przedsięwzięć poprzedników oraz podejmowanie działań w horyzoncie obliczonym na kolejne wybory (niezależnie

od tworzonych w celach propagandowych rozmaitych planów i strategii) mają różne przyczyny. Jedną z nich jest niespójność władzy wykonawczej, zapoczątkowana jeszcze w 1990 r., gdy w rodzący się w Polsce system parlamentarno-gabinetowy wbudowano urząd prezydenta wybieranego w wyborach powszechnych. Będąca tego rezultatem tzw. pęknięta egzekutywa, utrwalona w konstytucji z 1997 r., zapoczątkowała pasmo konfliktów kolejnych prezydentów z kolejnymi rządami. Wprawdzie od 2010 r. udaje nam się unikać burzliwych kohabitacji, ale nie sposób przewidzieć, jak długo ten stan potrwa. Jakie mogą być jej konsekwencje, uświadamia np. skuteczne weto prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego wobec uchwalonej przez Sejm w styczniu 2001 r., po dziesięciu latach dyskusji i sporów, ustawy o reprivatyzacji. Przewidywała ona, że byli właściciele (a raczej w większości przypadków ich spadkobiercy) będą otrzymywali zwrot – w formie bonów lub w naturze – połowy mienia utraconego wskutek przeprowadzonej przez komunistów nacjonalizacji. Znamienny wydaje się fakt, że od tamtego czasu tego problemu nie próbował rozwiązać żaden następny rząd RP. Doczekaliśmy się natomiast, wskutek tego zaniechania, wielkiej afery dotyczącej warszawskich nieruchomości. Niestety, również działania na tym polu podejmowane przez obecną większość sejmową (projekt Komisji Weryfikacyjnej) znakomicie wpisują się w dotychczasową logikę, w której nie tyle chodzi o całościowe rozwiązanie problemu, ile o rozliczenie poprzedników.

Podłożem toczącej nasz aparat państwowy choroby jest niski poziom naszej klasy politycznej oraz potęgujący go proces negatywnej selekcji do zawodu polityka.

Tocząca nasz aparat państwowy choroba, której kwintesencję stanowiła katastrofa smoleńska, ma swoje źródła ukryte znacznie głębiej niż tylko w wadach ustrojowych, czy nawet fatalnym poziomie działania różnych służb państwowych, który ujawnił się bezpośrednio po 10 kwietnia 2010 roku. Jej podłożem jest bowiem znacznie trudniejszy do zmiany niski poziom naszej klasy politycznej oraz potęgujący go proces negatywnej selekcji do zawodu polityka. Nie przez przypadek w kolejnych rankingach prestiżu zawodów ostatnie miejsca niezmiennie zajmują działacz partii politycznej i poseł na Sejm, zaś minister jest w nich daleko za górnikami, pielęgniarką, a nawet robotnikiem niewykwalifikowanym. Wysokie funkcje publiczne, których piastowanie w wielu krajach uchodzi za ukoronowanie życiowej kariery, u nas są traktowane z lekceważeniem, niechęcią i podejrzliwością. Nie wynika to wyłącznie z historycznych zaszłości. Wciąż bowiem zbyt wielu polskich polityków dostarcza kolejnych argumentów zwolennikom tezy sprowadzającej życie publiczne do walki o miejsce przy przysłowiowym korycie.

Potrzeba zaufania społecznego

Wyjście z tego błędnego koła będzie wymagało długiego czasu, bo jak wiadomo, kulturę polityczną znacznie szybciej się psuje, niż naprawia. Będzie to tym trudniejsze, że niebagatelną rolę w utrwalaniu stereotypu polityków jako ludzi gruntownie zdemoralizowanych mają media. Wprawdzie po wybuchu afery Rywina, która zachwiała dominacją środowiska „Gazety Wyborczej” w przestrzeni medialnej, środki masowego przekazu stały się bardziej pluralistyczne, ale zbiegło się to w czasie z procesem ich stale postępującej tabloidyzacji. Dwuznaczną rolę odegrał też rozwój internetu, który stał się wprawdzie szansą dla różnych marginalizowanych dotąd środowisk oraz relatywnie bezpiecznym narzędziem rozładowywania społecznych frustracji, ale widoczne w nim kolejne fale hejtu czynią spustoszenie szczególnie w głowach najmłodszych Polaków, z których socjalizacją kompletnie nie poradziło sobie nasze szkolnictwo wszystkich szczebli.

Niechęć polskiego społeczeństwa do własnej klasy politycznej oraz do instytucji publicznych ma oczywiście swoje głębokie historyczne uzasadnienie – najpierw w erozji Rzeczypospolitej szlacheckiej i ponad stu latach bez własnego państwa, a później w skrajnie demoralizujących realiach PRL. To wtedy powstał wciąż utrzymujący się stan bardzo niskiego poziomu zaufania społecznego. Przez chwilę, w krótkim okresie solidarnościowej rewolucji lat 1980–1981 wydawało się, że można go przezwyciężyć z pomocą masowego ruchu społecznego.

Dziś widać wyraźnie, że nie da się trwających przez stulecia procesów odwrócić w tak krótkim czasie. Nie jest zatem sprawą przypadku, że w prowadzonych w całej Europie badaniach poziomu zaufania społecznego prym wiodą kraje skandynawskie, na czele z Danią, a także Holandia i Szwajcaria. Polska wraz ze Słowacją i Bułgarią znajduje się, niestety, na dole tego rankingu. To jest rezultat historycznych, religijnych i kulturowych uwarunkowań, sięgających kilkaset lat wstecz, których nie można było usunąć w ciągu zaledwie ćwierćwiecza. Można było jednak zrobić na tym polu znacznie więcej, niż uczyniono.

Jestem przekonany, że bez zwiększenia poziomu zaufania społecznego nie uda się w sposób trwały poprawić poziomu klasy politycznej, co z kolei warunkuje efektywne porządkowanie kolejnych dziedzin funkcjonowania państwa. Dlatego nie kryję sceptycyzmu wobec sporej części działań podejmowanych przez obecny obóz rządzący, choć uważam też jego posunięcia na rzecz zmniejszenia poziomu rozwarstwienia majątkowego Polaków za uzasadnione i niezbędne dla poprawy kondycji całego narodu. W tym rozwarstwieniu, a także narosłej, zwłaszcza w ostatniej dekadzie, frustracji sporej części Polaków, którzy uznali, że nie było

im dane skorzystać z opisanych na wstępie tego tekstu sukcesów, szukać należy zresztą przyczyn głębokiego zwrotu politycznego, który dokonał się w 2015 roku.

Zakwestionowanie przez nowe władze niektórych fundamentów demokracji liberalnej, w tym zwłaszcza bardzo silnej pozycji ustrojowej sądownictwa, pozwala przypuszczać, że temperatura wewnętrznego konfliktu politycznego w Polsce będzie dalej rosła. W takich zaś warunkach należy się spodziewać dalszego obniżania poziomu zaufania społecznego oraz przeniesienia sporu politycznego z parlamentu na ulice, czego pierwsze zwiastuny mogliśmy obserwować w 2016 roku. Jeśli złączą temu towarzyszyć akty przemocy wobec politycznych przeciwników, a międzynarodowe położenie Polski ulegnie dalszemu pogorszeniu, wówczas możemy ponownie znaleźć się na fatalnej ścieżce, na którą już raz trafiliśmy na początku XVIII wieku. Taki czarny scenariusz nie musi się oczywiście zmaterializować, ale – patrząc na obecny stan kultury politycznej oraz sytuację geopolityczną Polski – trudno go też wykluczyć.

*Bez zwiększenia poziomu zaufania społecznego
nie uda się w sposób trwały poprawić poziomu
klasy politycznej, co z kolei warunkuje
efektywne porządkowanie kolejnych dziedzin
funkcjonowania państwa.*

**Drogi budowania dojrzałego
społeczeństwa i państwa**



PIOTR K. OLEŚ

prof. dr hab. nauk humanistycznych, specjalizuje się w psychologii osobowości. Kierownik Katedry Psychologii Osobowości w Instytucie Psychologii w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II oraz Katedry Diagnozy Psychologicznej w Uniwersytecie Humanistycznospołecznym SWPS. Przewodniczący Komitetu Psychologii PAN (2011–2015). Laureat programu "MISTRZ" Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej – subsydium profesorskie „Dialogowe funkcje ja” (2006–2010). Autor m.in. *Wprowadzenia do psychologii osobowości* (2003, 2009), *Psychologii człowieka dorosłego* (2011), *Psychologii przełomu połowy życia* (2000, 2013) oraz licznych artykułów naukowych opublikowanych w kraju i za granicą. Popularne artykuły w „Charakterach”. Specjalista psycholog kliniczny, międzynarodowy konsultant Self-Confrontation.

Poszanowanie prawdy i godności człowieka drogą do porozumienia Polaków i rozwoju Polski

Transformacja ustrojowa pokazała wielką dojrzałość Polaków. Ratowanie kraju okazało się ważniejsze od chęci zemsty i potrzeby rewanżu, a dobro wspólne przeważało nad osobistymi i grupowymi interesami. Skoro wówczas potrafiliśmy się ze sobą porozumieć, to co stoi na przeszkodzie, by dokonać tego ponownie w dzisiejszej, podzielonej Polsce? W jaki sposób zbudować państwo, w którym ludzie będą czuli się dobrze i będą skłonni współdziałać w imię wspólnych wartości?

Nauka proponuje kilka zbieżnych wzajemnie koncepcji dojrzałości. Wszystkie one w ten czy inny sposób dotykają kwestii aksjologii i etyki. W życiu osobistym, podobnie jak społecznym, konieczne jest odniesienie do wartości, by cele były godziwe, a prowadzące do nich środki – właściwe. Świadomość uniwersum świata wartości daje nie tylko konieczne punkty odniesienia, ale pozwala też rozumieć, ustalać lub negocjować priorytety rozumiane jako rodzaj aplikacji wartości do konkretnych problemów.

Dobro Polski ponad rewanżyzmem

Upraszczając, był kiedyś świat, w którym nazwy (wartości) znaczyły w praktyce coś odwrotnego. Rewolucja „Solidarności”, a jeszcze bardziej słowa Jana Pawła II, przywracały właściwe znaczenie słów; tak mówiliśmy i pisaliśmy w latach 1979–1981. Porozumienie Okrągłego Stołu i wybory 4 czerwca 1989 budowane były na tym samym etosie prawdy, co znalazło wyraz w prowadzonej wówczas kampanii wyborczej. Obowiązywały w niej zasady mówiące o tym, że nie moż-

na ludzi okłamywać ani oszukiwać, nie wolno składać obietnic bez pokrycia. Nie wolno też wreszcie nikogo poniżać, niezależnie od tego, jaka jest jego przeszłość. Aby zbudować wolny kraj, w którym ludzie będą czuli się dobrze i będą skłonni współdziałać w imię wspólnego dobra, trzeba koniecznie szanować godność każdego człowieka.

Z psychologicznego punktu widzenia taki program oznaczał transgresję, to jest przekroczenie tego, co znane i typowe w relacjach społecznych. W istocie był

Aby zbudować wolny kraj, w którym ludzie będą czuli się dobrze i będą skłonni współdziałać w imię wspólnego dobra, trzeba koniecznie szanować godność każdego człowieka.

on przejawem czegoś więcej – dążenia do transcendencji, ponieważ jego istotą było przekroczenie uwarunkowań psychologiczno-społecznych w postaci chęci rewanżu, potrzeby

zemsty, a nawet zawieszenia lub odroczenia sprawiedliwości polegającej na wyrównaniu krzywd i ukaraniu winnych – w imię ratowania kraju.

Jak udało nam się tego dokonać? Takie rzeczy są możliwe w obliczu potencjalnej katastrofy rozumianej jako realna groźba rewolty społecznej, ze wszelkimi jej krwawymi skutkami, w przypadku nieuzyskania porozumienia, a także w sytuacjach nadzwyczajnych, krytycznych. Sytuacja gospodarcza Polski z pewnością wówczas taką była. Czynnikiem, które wsparły ówczesną transgresję, były korzystna w sumie koniunktura międzynarodowa, wielka narracja ewangelii głoszona światu – szczególnie zaś intensywnie Polakom – przez Jana Pawła II, a także dojrzałość elit ówczesnej opozycji w połączeniu z interesem władz tracących grunt pod nogami.

Zjawisko polskiego porozumienia po stanie wojennym było i jest tak niezwykle, że do tej pory wywołuje rozmaite interpretacje, których autorzy doszukują się ukrytych intencji, układów, spisków. Zdrowy rozsadek nie pozwala wykluczyć, że i na tym poziomie też coś się działo, ale to był raczej margines niż rdzeń.

Wnioski z porozumienia '89

Odwołuję się do tamtych doświadczeń z trzech powodów. Pierwszy jest optymistyczny. Nasze polskie doświadczenia pokazały bowiem, że nawet ludzie operujący dwoma różnymi sposobami myślenia, pojmowania świata, odmiennymi priorytetami, potrafią uzgodnić pewien sposób rozumienia wartości i wokół nich konstruować wspólnotę znaczeń i interesów. Jeśli oni wówczas rozumieli język, którym do siebie mówili, który – w konkretnych zapisach – miał być nośnikiem porozumienia, to i teraz jest to możliwe. Nawet w sytuacji takiej jak dzisiaj, gdy te

same wartości, na przykład wolność czy niepodległość, bywają diametralnie różnie interpretowane.

Drugi, ważniejszy powód przywoływania zasadniczej zmiany Polski opartej na porozumieniu dotyka sposobu pojmowania dobra wspólnego jako czegoś ponad osobistymi i grupowymi interesami. Jest to możliwe, gdy ludzie przyjmują, że panteon wartości znajduje się ponad nimi i nikt nie ma monopolu na właściwą ich interpretację. Odwrotnie – wszyscy się jej nieustannie uczą. Tak jak można i warto uczyć się wolności, odpowiedzialności, szacunku dla prawdy, odkrywania i kontemplacji piękna, kultywowania i ochraniać, promowania dobra, respektowania świętości. Jeśli człowiek stawia się ponad wartościami, nigdy nic dobrego z tego nie wynika. Rodzi natomiast pokusę dowolnej interpretacji wartości, zakłamywania świata i ludzkich działań, na przykład poprzez przewrotne używanie nazw (wartości) – to jest odwrotne względem ich autentycznego znaczenia. Na krótką metę można ludzi oszukać, a nawet zniewolnić. Na dłuższą prowadzi to natomiast do erozji społecznego zaufania, do cynizmu, egoizmu, nihilizmu lub wewnętrznej emigracji.

Doświadczenia polskiej transformacji pokazały, że nawet ludzie operujący dwoma różnymi sposobami myślenia, pojmowania świata, odmiennymi priorytetami, potrafią uzgodnić pewien sposób rozumienia wartości i wokół nich konstruować wspólnotę znaczeń i interesów.

Trzeci powód wiąże się z tym, że – mam wrażenie – znów doszliśmy do ściany, i znów potrzeba sięgnąć do właściwego znaczenia słów. Zmanipulowany język, również w wersji religijnej, staje się przede wszystkim narzędziem agresji, a nie środkiem porozumienia.

Trzy mierniki dojrzałości

Miernikiem dojrzałego stosunku człowieka do wartości jest to, czy motywują go one do samoograniczenia w imię wyższych racji, właśnie owych wartości, czy też odwrotnie – używane są jako oręż w walce z oponentami.

Miernikiem dojrzałego stosunku człowieka do zadań życiowych, celów osobistych i społecznych jest z kolei respektowanie zasady prymatu celów długoterminowych nad doraźnymi korzyściami. Są cele i zasady niezbywalne, co nie znaczy, że sztywne lub zawsze słuszne, jak kiedyś przewodnia rola partii.

Miernikiem dojrzałego stosunku do drugiego człowieka jest natomiast sposób, w jaki go traktujemy. Z jednej strony dojrzałość polega na zdolności do dawania emocjonalnego oparcia, a nie szukaniu go dla siebie u innych; ten wątek ma wiele wspólnego z odpornością na krytykę (choć zdecydowanie nie polega na jej

odrzucań lub zaprzeczaniu). Z drugiej – wyraża się poszanowaniem godności człowieka, co widać w prostych sprawach: gotowości do kontaktu, ciekawości przekonań, poglądów i postaw drugiego, umiejętności słuchania, jasnego argumentowania własnego zdania, gotowości do dialogu, otwartej partnerskiej dyskusji, poszukiwania uzgodnień, i przekonaniu, że razem można więcej.

U podłoża tych wszystkich właściwości leży podstawowe zaufanie do drugiego człowieka jako osoby. Godność osoby poniewiera nie tylko pomówienie, etykietowanie czy szkalowanie, ale też okłamywanie, manipulowanie czy traktowanie instrumentalne. Traktowanie człowieka serio polega w pierwszej mierze na mówieniu prawdy, na tolerancji i otwartości. Na postawie dialogu.

Tylko ciągłość da nam rozwój

Takie postępowanie daje szansę ciągłości – nie zaczynania wciąż od nowa, jak w czasach rewolucji, ale kontynuowania ważnych i potrzebnych spraw zarówno

Postawa dialogu daje szansę ciągłości – nie zaczynania wciąż od nowa, jak w czasach rewolucji, ale kontynuowania ważnych i potrzebnych spraw na wielu płaszczyznach. Ciągłość nie wyklucza przy tym zmian, korekt, ani doskonalenia istniejących projektów oraz wprowadzania nowych.

na poziomie polityki społecznej, krajowej i międzynarodowej, jak i konkretnych inicjatyw i aktywności w różnych dziedzinach życia. Ciągłość nie wyklucza zmian, korekt i doskonalenia istniejących projektów

oraz wprowadzania nowych, ponieważ połączenie ciągłości ze stosowną zmianą gwarantuje postęp i rozwój. Takie postępowanie stwarza szansę budowania społecznego zaufania, innymi słowy – kapitału społecznego, który jest konieczny do pracy na rzecz kraju, społeczeństwa i państwa w czasach pokoju.



JERZY STELMACH

prawnik, filozof, profesor zwyczajny, kierownik Katedry Filozofii Prawa i Etyki Prawniczej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor około 200 publikacji, w tym 20 książek.

Postępowanie zgodne z regułami jako warunek zrównoważonego rozwoju

Aby móc mówić o funkcjonowaniu autonomicznej wspólnoty wolnych ludzi, konieczne jest przestrzeganie przez jej członków reguł stanowiących pewne etyczne minimum. Reguły te nie zawsze spisane są w kodeksach – ich kryterium nie jest bowiem legalność, lecz godziwość. W Polsce zasady te bywają niestety przez wielu lekceważone. Miejmy świadomość, że konsekwencją braku szacunku do reguł podstawowych są ostatecznie brak szacunku do innego człowieka i erozja wspólnoty.

Pojęciem „reguła” będę posługiwał się w najszerszym z możliwych znaczeń. Równocześnie nie zamierzam jednak wkleść się w żadne filozoficzne i semantyczne spory na temat możliwych definicji tego pojęcia. Przyjmuję po prostu, że regułą jest każda taka wypowiedź, która ustanawia w sposób stanowczy pewien wzorzec powinnego zachowania¹.

Reguły podstawowe budulcem wspólnoty

Bez akceptowanego przez większość systemu reguł, wszelkiego rodzaju: zarówno tych moralnych, jak i prawnych, obyczajowych i zwyczajowych, funkcjonowanie wspólnoty – jako autonomicznej wspólnoty wolnych ludzi – nie byłoby możliwe. Chodzi w pierwszej kolejności o tak zwane reguły podstawowe, czyli

.....
1 Uważam, że regułami są wyłącznie dyrektywy stanowcze, o czym decyduje rodzaj operatora normatywnego, którym jest zwykle nakaz lub zakaz, rzadziej tzw. silne dozwoleństwo. Regułami nie są więc w szczególności wszelkiego rodzaju dyrektywy niestawowe, na przykład prośby, zalecenia, życzenia czy rekomendacje.

reguły powszechnie ważne, wyznaczające „etyczne minimum” umożliwiające samodzielne funkcjonowanie każdej zbiorowości. Należy równocześnie podkreślić, że nie istnieją żadne zamknięte katalogi takich reguł, są one bowiem, w zależności od potrzeb, wciąż modyfikowane lub uzupełniane. Reguły, o których tu mowa, nie mają również jednego źródła. Nie jest nim ani wyłącznie moralność, ani prawo pozytywne (stanowione), jest nim natomiast cały szeroko rozumiany dyskurs praktyczny².

Z jakichś powodów nieustannie się spieramy o kryteria rozpoznawania reguł powszechnie ważnych (podstawowych). Sądzę, że dla niektórych porządną rekonstrukcja systemu reguł podstawowych oznacza wprowadzenie, co jest zresztą prawdą, licznych ograniczeń w sferę wolności indywidualnej, wolą więc oni założenie o obiektywnym istnieniu tego typu systemu po prostu kwestionować. Tymczasem bez akceptacji określonego porządku normatywnego, a w tym przypadku

Fundamentem funkcjonowania autonomicznej wspólnoty wolnych ludzi jest przestrzeganie tzw. reguł podstawowych – reguł wyznaczających pewne etyczne minimum.

systemu reguł rozpoznawanych jako powszechnie ważne, nie tylko nie jesteśmy w stanie określić treści praw podstawowych, a zwłaszcza wszelkich praw wolnościowych, lecz również

zasad postępowania w przypadku naruszenia tych praw. Nie jest również prawdą, że nie posiadamy racjonalnych mechanizmów pozwalających nam na rozpoznawanie i wybór reguł podstawowych. Przede wszystkim jesteśmy – myślę zarówno o Polsce, jak i Europie – wspólnotą tych samych wartości podstawowych. Dlatego wskazanie i wybór właściwych reguł podstawowych nie może przedstawiać większych trudności. Problemy mogą pojawić się dopiero wówczas, gdy dochodzi do kolizji pomiędzy dwiema regułami (lub większą ich liczbą) uznawanymi jako podstawowe. Ale i wówczas mamy do dyspozycji co najmniej dwa różne sposoby postępowania. Możemy albo odwołać się do uprzednio przyjętej hierarchii w systemie reguł podstawowych, albo – w przypadku gdy założenie o hierarchii odrzucamy, uznając niewspółmierność reguł podstawowych – możemy się posłużyć tak zwaną procedurą ważenia³.

.....
2 Przyjmuję, podobnie jak Habermas i Alexy, że istnieją dwa rodzaje dyskursu: teoretyczny i praktyczny (normatywny), i to właśnie w ramach tego drugiego formułowane są reguły uznawane później przez określoną „wspólnotę komunikacyjną” jako podstawowe. Por. R. Alexy, *Theorie der juristischen Argumentation. Die Theorie des rationalen Diskurses als Theorie der juristischen Begründung*, II wyd., Suhrkamp 1991, s. 221 i n.; J. Habermas, *Teoria działania komunikacyjnego*, t. 1–2, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2002.

3 O procedurze „ważenia” niewspółmiernych względem siebie wartości podstawowych pisał między innymi Isaiah Berlin.

W świetle powyższych uwag „zrównoważony rozwój” rozumiem jako każdy taki proces społeczny, polityczny lub ekonomiczny, który jest oparty na akceptowanym przez większość, i rozpoznawanym jako powszechnie ważny, systemie reguł⁴. Nie może być mowy o zrównoważonym, mówiąc inaczej: dojrzałym rozwoju, który byłby niezgodny z regułami podstawowymi, to znaczy z pewnym normatywnym (etycznym) minimum zapewniającym przetrwanie określonej wspólnoty lub zbiorowości. Nie respektując wypowiedzianej tu zasady, rezygnujemy w istocie ze zrównoważonego rozwoju i kierujemy się w stronę niebezpiecznych skrajności, autorytaryzmu, totalitaryzmu lub anarchizmu, czyli wszelkich tych rozwiązań politycznych i ekonomicznych, które kwestionują właśnie istnienie powszechnie ważnych reguł podstawowych.

Sześć grzechów głównych

W tym miejscu pojawia się kluczowe dla prowadzonych tu rozważań pytanie: dlaczego Polacy w tak wysokim stopniu nie akceptują, a w konsekwencji nie postępują zgodnie z wieloma, gdzie indziej rozpoznawanymi jako obowiązujące, regułami podstawowymi? Skąd bierze się ta „normatywna niedojrzałość” lub jak kto woli „normatywna dysfunkcja” części społeczeństwa polskiego? Chciałbym uważnie się przyjrzeć kilku przynajmniej przyczynom tego stanu rzeczy.

Pierwszą z nich jest brak akceptacji dla pewnych reguł, które wedle przekonania przynajmniej niektórych członków społeczeństwa polskiego, prowadzą do ograniczenia wolności, na co zresztą zwracałem już wcześniej uwagę. Mamy tu zgoda do czynienia z czymś, co określiłbym mianem historycznie ukształtowanej nieufności wobec reguł podstawowych. Kolejno były przecież zabory, okupacja, wreszcie komunizm. Reguły, również te podstawowe, były nierzadko pojmowane jako zewnętrzne (narzucone), po prostu obce, a ich nieprzestrzeganie było wyrazem patriotyzmu, biernego oporu przeciw nieakceptowanemu systemowi władzy. Nawet zresztą dzisiaj pravicowi politycy usiłują grać na tego typu „historyczno-narodowych emocjach”. Nie raz już słyszeliśmy o zagrożeniach, jakie niesie ze sobą przynależność Polski do Wspólnoty Europejskiej, o ograniczeniach wolności i suwerenności wprowadzanych przez reguły prawa europejskiego. Dla „myślących inaczej” reguły te, w 13 lat po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej, wciąż są „ich”, a nie „nasze”.

.....
⁴ Przyjmuję, że pojęcie dojrzałego rozwoju jest synonimem pojęcia zrównoważonego rozwoju.

Drugą przyczyną jest oportunizm, dający się zresztą powiązać z pierwszą z omawianych tu przyczyn. Większość z nas wciąż opowiada się za wyborem najłatwiejszych i najbardziej opłacalnych rozwiązań, kierując się motywacjami wyłącznie interesownymi, a nie zasadniczymi, których właśnie dotyczą reguły podstawowe. Jeśli przestrzegamy pewnych reguł, to czynimy to albo ze strachu przed sankcją, albo z czystego wyrachowania, że ich przestrzeganie w pewnych konkretnych sytuacjach nam się po prostu opłaca. Najczęściej etyczna godziwość, wyrażająca się w postępowaniu zgodnym z regułami podstawowymi, zastępowana jest zachowaniem, które ma spełnić wyłącznie kryterium „legalności”⁵. Oportuniści kierują się szczególną logiką, której istotę zdaje się najlepiej wyrażać stwierdzenie: „niech się dzieje co chce, moja chata z kraja”.

Trzecią z przyczyn jest zwykłe nieuctwo. Chodzi zwłaszcza o niedocenywanie, z braku wiedzy, znaczenia reguł podstawowych, a w konsekwencji niedostrzeganie zagrożeń wynikających z naruszania tych reguł. Większość polskiego społeczeństwa, po 26 latach istnienia ustroju demokratycznego, nie widzi nic szczególnego w łamaniu konstytucyjnych zasad państwa prawnego oraz dewastacji Trybunału Konstytucyjnego. A przecież nieuctwo nie usprawiedliwia! Warto przypomnieć, że ten rodzaj myślenia o regułach został już ugruntowany w prawie rzymskim, które znało przecież zasadę *ignorantia iuris non excusat*⁶.

Czwartą przyczyną jest nieliczenie się z uprawnieniami innych członków wspólnoty. Nierespektowanie cudzych praw to nic innego, jak właśnie lekceważenie reguł podstawowych. W Polsce wciąż mamy do czynienia z niezliczonymi naruszeniami uprawnień innych, zarówno jednostek, jak i zbiorowości. Zaczyna się od drobniejszych deliktów, kończy zaś na lekceważeniu praw podstawowych innych członków wspólnoty, zwłaszcza tych dotyczących wolności i własności. Konsekwencją braku szacunku do reguł podstawowych jest ostatecznie brak szacunku do innego człowieka. W naszym kraju zbyt często arogancja jest uznawana za rodzaj sprytu, przejaw zdolności adaptacyjnych, zdolności przetrwania w coraz bardziej skomplikowanym otoczeniu. Niestety!

Piątą przyczyną jest resentyment. Nienawidzimy, zazdrościmy, pielęgnujemy niezliczone urazy, w szczególności postawę niższości wobec „innych” („obcych”), tych wszystkich, którzy są bardziej zaradni życiowo, którym się nieco lepiej powiodło.

.....

5 Już prawu rzymskiemu znana była zasada *non omne quod licet honestum est*, co znaczy: nie wszystko, co dozwolone (legalne) jest godziwe, Paulus (w:) *Digesta Iustiniani* 50, 14, 177.

6 *Ignorantia iuris non excusat* lub *ignorantia iuris nocet*, czyli niezajomość prawa nie usprawiedliwia, Paulus (w:) *Digesta Iustiniani* 22, 6, 9.

W rezultacie nie są akceptowane „ich” podstawowe reguły i wartości. Mieszkańcy świata emocji negatywnych kierują się w stronę „własnych” regulacji, które posiadają najczęściej silny rys plemienny. Taki sposób myślenia o regułach jest obecny we wszelkiego typu ideologiach nacjonalistycznych oraz pewnych subkulturach⁷.

Nierespektowanie cudzych praw, to nic innego, jak właśnie lekceważenie reguł podstawowych.

Konsekwencją braku szacunku do reguł podstawowych jest natomiast ostatecznie brak szacunku do innego człowieka.

Wreszcie ostatnią, szóstą przyczyną jest przeregulowanie systemu. Ciągłe dążenie do poddania kontroli prawnej coraz większych obszarów życia jednostek i zbiorowości prowadzi zwykle do odwrotnego niż zakładany rezultatu (skutku), a mianowicie do swoistego buntu przeciwko regułom. Formułowanie nadmiernych wymogów normatywnych, nierzadko ze sobą sprzecznych, może prowadzić bowiem do „kryzysu systemu wartości”, co może grozić nie tylko „obywatelskim nieposłuszeństwem”, lecz nawet stanem długotrwałej anarchii. Ostatecznie chodzić więc będzie o przestrzeganie tylko tych reguł podstawowych, które wyznaczają pewne etyczne i prawne minimum niezbędne dla autonomicznego istnienia określonej wspólnoty⁸.

.....
⁷ Zwłaszcza w subkulturach przestępczych, chociażby w stosunkowo dobrze znanej nam subkulturze kibolskiej.

⁸ Pamiętajmy, że tylko niektóre spośród reguł formułowanych w dyskursie praktycznym uzyskują z czasem status reguł podstawowych.



ŁUKASZ KAMIŃSKI

historyk z tytułem doktora, specjalizuje się w dziejach oporu wobec systemu komunistycznego w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej. Adiunkt w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. W latach 2000–2016 w Instytucie Pamięci Narodowej, 2011–2016 prezes IPN. Autor i współautor kilkuset publikacji naukowych i popularnonaukowych.

Potrzebujemy wielkich debat, by ożywić nasze wspólnotowe myślenie

Znajomość własnej historii może być receptą na lepszą przyszłość. Umiejętność wyciągania wniosków ze straconych oraz wykorzystanych w przeszłości szans sprzyja wcześniejszej diagnozie zagrożeń oraz skutecznemu wykorzystywaniu sprzyjających okoliczności. W tym kontekście zdolność do krytycznej debaty na temat własnych doświadczeń historycznych urasta do miana prawdziwej miary narodowej dojrzałości. Jak pod tym kątem prezentujemy się my – Polacy?

*Bo się kochamy – w sobie!
Nie pragnąc – siebie – znać!*
Jacek Kaczmarski

W maju ubiegłego roku w Sejmie RP odbył się finał II Turnieju Debat Historycznych, zorganizowanego przez Instytut Pamięci Narodowej. Młodzi uczestnicy konkursu wywarli na słuchaczach wielkie wrażenie. Jeden ze znanych polityków stwierdził nawet, że parlamentarzyści mogliby się wiele od licealistów nauczyć. Polityk ów miał na myśli przede wszystkim kulturę i merytoryczny poziom dyskusji, jednak jego wypowiedzi można nadać bardziej uniwersalny charakter. Dobrze byłoby, abyśmy wszyscy wzięli przykład z uczestników debat oksfordzkich i przeprowadzili kilka poważnych dyskusji nad kluczowymi zagadnieniami naszej przeszłości.

Deficyt debaty

Polacy w coraz większym stopniu doceniają historię. Do zbiorowej pamięci przywracani są zapomniani bohaterowie, różne formy ich upamiętniania zyskują coraz większą popularność. W przeszłości poszukujemy źródeł naszej tożsamości, a także trwałych wartości, tak potrzebnych w coraz szybciej zmieniającej się i niepewnej rzeczywistości. Znacznie rzadziej wykorzystujemy jednak wiedzę płynącą z badań historycznych, by zrozumieć korzenie współczesności. Najbardziej zapomnianym obszarem jest sfera wielkich debat historycznych.

Nie ulega wątpliwości, że w polskim życiu publicznym występuje generalny deficyt debaty, nie tylko w odniesieniu do przeszłości. Wskazać można także ważniejsze kwestie, które powinny stać się tematem ogólnonarodowych dysku-

Umiejętność dostrzeżenia w historii straconych (oraz wykorzystanych) szans, czynników, które doprowadziły do określonych skutków, długotrwałych tendencji rozwojowych itp. sprzyja analizie współczesności, wcześniejszej diagnozie zagrożeń, wykorzystywaniu pojawiających się korzystnych okoliczności.

sji – chociażby problem wspólnych celów, do jakich powinniśmy dążyć po osiągnięciu członkostwa w NATO i UE. Nie znaczy to jednak, by wielkie debaty historyczne były zbędnym luksusem, którego możemy sobie oszczędzić. Ich sensem jest nie tylko

zrozumienie przeszłości (a przez to także i teraźniejszości). Są one także jednym z najlepszych sposobów kształtowania myślenia o dobru wspólnym. Umiejętność dostrzeżenia w historii straconych (oraz wykorzystanych) szans, czynników, które doprowadziły do określonych skutków, długotrwałych tendencji rozwojowych itp. sprzyja analizie współczesności, wcześniejszej diagnozie zagrożeń, wykorzystywaniu pojawiających się korzystnych okoliczności.

W dotychczasowej historii mieliśmy jedną tego typu debatę, która do dziś wpływa na nasz sposób myślenia. Był to wielki, trwający przez kilka dekad XIX wieku spór o przyczyny upadku Rzeczypospolitej. Starły się w nim dwie wielkie szkoły historiograficzne – krakowska i warszawska. W dużym uproszczeniu, pierwsza z nich poszukiwała genezy rozbiorów w wadach narodowych Polaków, druga zaś wskazywała, że słabości te przezwyciężano w ostatnich latach I RP, a decydująca dla wieloletniej niewoli była agresywna polityka sąsiadów. Dyskusja ta nie zawężyła się tylko do samych historyków, swoje zdanie w tej kwestii wyrażały bez mała całe ówczesne polskie elity. Jej echa możemy dostrzec nie tylko w ówczesnej myśli politycznej, lecz także w dziełach kultury. Refleksja nad przeszłością służyła przyszłości – przede wszystkim rozważaniom nad szansami odzyskania niepodległości.

O czym nie rozmawialiśmy?

Kolejnym tematem, który mógł stać się kanwą dla wielkiej debaty, był bilans 123 lat niewoli i jej skutki dla narodowej kondycji Polaków. Do dyskusji takiej nigdy jednak nie doszło. Przyczyny były oczywiste – dwadzieścia lat niepodległości nie dało wystarczającej perspektywy dla takiej debaty, zbyt mało było także czasu na badania, które mogły stać się podstawą sporu. Z innych przyczyn nie odbyła się nigdy pogłębiona debata o bilansie dziejów II Rzeczypospolitej. Zważywszy na temperaturę pierwszych prób rozliczania winnych klęski wrześniowej, podejmowanych w pierwszych latach wojny, mógł to być wiodący temat debat publicznych po jej zakończeniu. Objęcie przez komunistów władzy z sowieckiego nadania zaablokowało jednak realny spór. Zastąpiła go zmasowana propaganda podważająca wszelkie dokonania z czasów II niepodległości. Mimo zmian w jej natężeniu przetrwała ona do końca PRL. Naturalną reakcją w tej sytuacji była postępująca gloryfikacja i mitologizacja dwudziestolecia niepodległości.

Komunistyczna dyktatura uniemożliwiła także debatę o skutkach II wojny światowej dla Polski przekraczającą kwestię bilansu ofiar i strat (a nawet i w tej kwestii wciąż dalecy jesteśmy od precyzyjnych ustaleń). Tymczasem, mimo iż był to stosunkowo krótki (w tysiącletniej perspektywie) okres w naszych dziejach, przyniósł on najgłębsze zmiany w całej historii, których skutki będziemy odczuwali jeszcze bardzo długo. Prawdziwej debaty o polskim doświadczeniu II wojny światowej nie zastąpił intensywny, acz stosunkowo krótkotrwały i wąski tematycznie spór wokół zbrodni w Jedwabnem.

Gdybyśmy zapoczątkowali wcześniej uczciwą debatę o sukcesach i porażkach III RP, być może łatwiej byłoby nam dziś ze sobą rozmawiać i uzgodnić przynajmniej podstawowe elementy diagnozy sytuacji, w jakiej dziś się znajdujemy.

Podobnie prowadzona w połowie lat 90. ubiegłego wieku dyskusja historyków koncentrująca się wokół pytania o totalitarny charakter PRL była tylko namiastką prawdziwej debaty nad skutkami półwiecza komunistycznej dyktatury dla Polski i Polaków. Mimo że poszczególne tematy (np. współpraca z SB) wzbudzały w ostatnich latach wielkie emocje, dalecy jesteśmy od choćby próby zrozumienia istoty i skutków tego okresu.

Wreszcie ostatnia z naszych nieodbytych debat – o bilansie pierwszego ćwierćwiecza III RP. W ostatnich latach ścierają się dwie legendy tej nieodległej przeszłości – czarna i biała. W przestrzeni publicznej funkcjonuje wiele argumentów za i przeciw, niestety czasem noszących znamiona mitu. Tymczasem, gdybyśmy w 2014 r. zapoczątkowali uczciwą debatę o sukcesach i porażkach tego okresu, być może łatwiej byłoby nam dziś ze sobą rozmawiać i uzgodnić przynajmniej podstawowe elementy diagnozy sytuacji, w jakiej dziś się znajdujemy.

Nie tracmy już więcej czasu

Nie jesteśmy w stanie nadrobić straconego czasu i w najbliższych latach przeprowadzić wszystkich zaległych debat – o zaborach, II i III RP, wojnie i PRL. Warto jednak, abyśmy wykorzystali szansę, jaką nam daje zbliżający się rok stulecia *Miarą narodowej dojrzałości jest zdolność do debaty i krytycznego spojrzenia w przeszłość.* niepodległości. Już dziś przygotowywanych jest wiele rocznicowych inicjatyw. Powstaną nowe muzea, wzniesione zostaną pomniki, odbędą się tysiące różnej rangi przedsięwzięć naukowych i kulturalnych, nie będzie szkoły bez uroczystego apelu. To wszystko jest potrzebne i ważne, jednak nie wystarczające. Miarą naszej narodowej dojrzałości jest też zdolność do debaty i krytycznego spojrzenia w przeszłość. Podejmijmy dyskusję nad bilansem drugiej niepodległości po to, aby zrozumieć historię, a przez to samych siebie, po to, aby ożywić debatę publiczną, znaleźć wspólny język i ożywić nasze wspólnotowe myślenie. To wielkie wyzwanie, w którym odnaleźć się mogą nie tylko historycy i przedstawiciele innych dziedzin nauki, lecz także dziennikarze, ludzie kultury i politycy.

Weźmy przykład z młodych uczestników debat oksfordzkich. Nauczmy się rozmawiać o przeszłości. Może wówczas uda nam się nawiązać dialog o teraźniejszości i wspólnie stawić czoła wyzwaniom przyszłości.



STANISŁAW MAZUR

doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Kierownik Katedry Gospodarki i Administracji tego Uniwersytetu. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierunek nauki polityczne. Dyrektor Małopolskiej Szkoły Administracji Publicznej Akademii Ekonomicznej w Krakowie w latach 1997–2004. Kierownik Centrum Studiów nad Gospodarką i Administracją Publiczną Akademii Ekonomicznej w Krakowie w latach 1996–1997. Prezes Fundacji Gospodarki i Administracji Publicznej w latach 2008–2009. Członek Rady Służby Cywilnej przy Prezesie Rady Ministrów (od 2009). Redaktor naczelny kwartalnika „Zarządzanie Publiczne”.

Wiedza uwspólnotowiona jako lekarstwo na niedojrzałość instytucjonalną

Bez dojrzałych instytucji nie sposób prowadzić trwałych procesów modernizacji państwa. Prostej recepty na budowanie takich instytucji nie można w sposób uniwersalny sformułować i zadekretować. Pierwszoplanowe znaczenie w tym procesie wydaje się jednak mieć ukształtowanie zdolności wytwarzania wiedzy uwspólnionej. Służy ona uzgadnianiu przez elity państwa jego celów, reguł ich osiągania oraz ustanawiania zasad koordynacji działań zbiorowych wspierających procesy modernizacyjne. Bez tego rodzaju wiedzy nie sposób kształtować dojrzałych instytucji, sprzyjających budowaniu państwa demokratycznego, zamożnego, stabilnego.

Kategoria niedojrzałości instytucjonalnej

W ostatnich stuleciach Polska kilkakrotnie podejmowała tytaniczny wysiłek modernizacyjny, służący wejściu do grona państw zamożnych, mądrze zarządzanych oraz dobrze rządzonych. Nigdy jednak w pełni nie udało się nam tego dokonać. Ten dotkliwy problem dzisiaj uporczywie powraca, w cieniu złowrogiej opowieści o pułapce średniego dochodu, która – jak się wydaje – staje się częścią naszego doświadczenia.

Nie sposób oprzeć się pokusie postawienia pytania o mechanizmy tak bardzo blokujące wychodzenie naszego państwa z peryferyjności. Odpowiedzi, wskazujące na fatalistyczny determinizm dziejowy, niekorzystne położenie geopolityczne czy też niekorzystny wpływ globalizacji, wydają się tylko częściowo to objaśniać. Zasadniczych powodów tego stanu rzeczy jestem skłonny raczej upatrywać w jakości naszych instytucji, a rzecz dokładnie ujmując – w niedojrzałości instytucjonalnej.

Instytucje niedojrzałe utrudniają współpracę, zwiększają koszty interakcji społecznych, podnoszą niepewność, utrudniają koordynację działań zbiorowych oraz ograniczają zdolność racjonalnej adaptacji do zmian. Kategorię niedojrzałości instytucjonalnej uznaję za ważną dla zrozumienia, w szerszej perspektywie, zarówno naszych bezsprzecznych dokonań, jak i oczywistych niepowodzeń modernizacyjnych.

Nedojrzałość instytucjonalna implikuje spętanie potencjału rozwojowego, wiedzie do państwa słabego, źle urządzonego i ułomnego, niezdolnego do podmiotowego kształtowania własnych zamiarów rozwojowych i ich realizacji. Nawet jeśli państwo jest w stanie poprzez wielkie nakłady (np. infrastrukturalne) nadać impuls modernizacyjny, to niedojrzałe instytucje osłabiają ten impet i nie podtrzymują jego dynamiki, w istocie prowadząc do jego wygaszenia. Nedojrzałe instytucje powodują, że państwo staje się zewnątrzsterowne, podatne na kaprysy egocentrycznych awanturników politycznych i zdane na łaskę państw ościennych.

Polska w rankingu dojrzałości instytucjonalnej (jeśli takowy by istniał), na przestrzeni ostatnich stuleci, sytuowałaby się raczej na niskich pozycjach. I nawet

Nedojrzałe instytucje powodują, że państwo staje się zewnątrzsterowne, podatne na kaprysy egocentrycznych awanturników politycznych i zdane na łaskę państw ościennych.

jeśli procesy modernizacyjne cechowały się wysoką dynamiką i impetem, tworząc nadzieje na uwolnienie się od peryferyjności, to po jakimś czasie zastygały lub radykalnie zmie-

niały swoje trajektorie. Owe niebezpieczne zwroty zwiastowały dotkliwie klęski, blokując na wiele dziesięcioleci działania modernizacyjne, a nawet prowadziły do dramatycznego upadku państwowości.

Polaków zmagania z instytucjami

Zrozumienie powodów niedojrzałości instytucji wymaga odwołania się do natury ich kształtowania, do tego, jak są wykorzystywane, oraz do rekonstrukcji specyficznego sposobu ich postrzegania przez elity polityczne. Bez tego nie sposób zrozumieć źródeł ich niskiej jakości oraz znaleźć recepty na wyrwanie się z zakłętego kręgu niemożności, w którym występuje dramatyczna asymetria między wielkimi ambicjami, rozbudzonymi aspiracjami i śmiałymi zamiarami a możliwościami ich urzeczywistnienia. Kluczem do tego są dojrzałe instytucje.

Jeśli kusić się o wytypowanie prymarnych atrybutów kształtowania instytucji w naszym kraju, to zasadne wydaje się wskazanie na: nieadaptowalność, niekompletność, projekcyjność, instrumentalizację, intuicyjność. Wyróżniki te nie są specyficzne dla polskiego porządku instytucjonalnego. Kiedy jednak właściwości te

występują z tak wysoką częstotliwością i charakteryzują się tak intensywną współzależnością, jak działo się to w polskiej historii, prowadzą do dewastacji instytucji. Stopień destrukcji instytucji jest pochodną stopnia kumulacji wymienionych wcześniej atrybutów. Dlatego sadzę, że w tym warto upatrywać źródeł problemu niedojrzałości instytucjonalnej, tak dotkliwie doświadczanej w historii naszej państwowości w ostatnich trzech stuleciach.

Nieadaptowalność pojmuję jako sytuację, w której instytucja obiektywnie traci społeczną ważność z powodów radykalnej zmiany kontekstu jej oddziaływania, zarazem jednak nie zanika siła jej kulturowego wpływu na postawy i wzorce zachowań społecznych. Instytucja zatem formalnie zanika, w praktyce jednak wciąż wywiera przemożny wpływ na kształtowanie siatek kognitywnych i strategii postępowania. Ta nieadaptowalność objawia się także bardzo często nieprzystawalnością wewnętrznej struktury instytucji do struktury problemów zewnętrznych, jakie powinna owa instytucja rozwiązywać.

Jeśli poszukiwać egzemplifikacji tego zjawiska, to należałoby wskazać na często przywoływane przykłady, takie jak folwark feudalny, pańszczyzna czy też ekstensywny typ gospodarki. Wpływ tych historycznych instytucji, jak mogłoby się wydawać, jest wciąż przemożny. Przejawia się w typie relacji dominującej w kulturze organizacyjnej wielu polskich przedsiębiorstw, uprzedmiotawiającej pracownika, dystansie między podwładnymi i przełożonymi, braku zaufania i niskiej skłonności do współdziałania z obydwu stron. Wspomnę również o niechęci do podejmowania innowacyjnych przedsięwzięć gospodarczych, preferowaniu ekstensywnego modelu gospodarczego, opartego na eksploatacji taniej siły roboczej, elementarnej imitacji oraz zapożyczonych technologii.

Historia instytucji uczy, że kiedy ludzie mierzą się z nowymi problemami, a stare interpretacje nie są zdolne do ich objaśnienia i nie ułatwiają adaptacji, instytucje są kwestionowane i zanikają lub są poddawane radykalnej transformacji. W naszym porządku instytucjonalnym nie zawsze znajduje to zastosowanie.

Niekompletność rozumiem jako stan, w którym tylko wybrane składowe instytucji ulegają rzeczywistej społecznej internalizacji, a pozostałe są jedynie pozornie przyswajane. W praktyce oznacza to, że tylko określone elementy instytucji wywierają wpływ na poglądy, postawy i zachowania. O tym, jakie są to elementy, zasadniczo rozstrzygają elity polityczne lub inni wpływowi aktorzy, posiadający zdolność narzucania sposobu kształtowania oraz interpretowania dominujących rozwiązań instytucjonalnych. Rozstrzygnięcia te w większej mierze służą interesom partykularnym (partyjnym, grup interesu i prywatnym) niż dobru publicznemu.

Historia Polski jest bogata w ilustracje obrazujące problem niekompletności instytucji ustrojowych. Ich inwentarz jest niezwykle przepastny, mieszczą się w nim zarówno rządy państwa prawa, ład konstytucyjny, etos służby publicznej, apolityczny i profesjonalny korpus służby cywilnej, jak i samorząd czy też niezawisłe sądy. Instytucje te stanowią podwaliny istnienia państw zamożnych i dobrze rządzonych, a więc tych, do których chcemy się zaliczać. Zasadniczo wszystkie te instytucje występują w Polsce i – ogólnie rzecz ujmując – odpowiadają wzorcowi instytucjonalnemu właściwemu dla świata Zachodu. Mają też swoje umocowanie ustrojowe. W praktyce jednakże wykorzystuje się tylko ich określone elementy lub stosuje się je w sposób odległy od zamysłu, który leży u podstaw ich kreacji. Wymownym tego przykładem są koleje służby cywilnej czy też sądu konstytucyjnego, dowodzące, jak wielką rolę ma nie tylko osadzenie instytucji w ramach prawnych państwa, ale także tradycja i stabilność ustrojowa, tworzące podstawę kompletności instytucji w praktycznym działaniu.

Projekcyjność wiąże się ze sposobem, w jaki są tworzone i zmieniane instytucje. Oznacza radykalny charakter przekształceń instytucjonalnych polegający na zerwaniu instytucjonalnej ciągłości. Dzieje instytucji w Polsce, zwłaszcza w ostatnim stuleciu, są zasadniczo zdominowane przez projekcyjność. Ten model zmian radykalnych wiąże się z całościową przebudową rzeczywistości społecznej lub jej znacznego fragmentu. Zmiana projekcyjna, w pewnych okolicznościach nieuchronna, często wywołuje jednak kosztowne społecznie i ekonomicznie efekty niezamierzone.

Historia uczy, że państwa, które miały komfort bardziej ewolucyjnego niż projekcyjnego kształtowania porządku instytucjonalnego, cieszą się dojrzałymi instytucjami, służącymi tak jakości demokracji, jak i zamożności obywateli. Zauważyć jednak należy, że nie wszystkie kraje miały taką możliwość i z pewnością do tej grupy

Zwaśnione plemiona instytucje pojmują jako narzędzia do realizacji własnych celów. Konsekwencją tego jest traktowanie ich jako oręża walki politycznej i narzędzia władzy, służącego opanowaniu i podporządkowaniu państwa. Państwo ujmowane jest wtedy statycznie, jako coś, co się urządza według przyjętego przez siebie wzorca.

przynależy Polska. Nasza historia jest bogata, za sprawą dramatycznych okresów w naszej państwowości; obfituje też w ilustracje radykalnych zmian instytucjonalnych. Wystarczy chociażby wspomnieć o skrajnej etatyzacji gospodarki w okresie stalinowskim lub o industrializacji gier-

kowskiej mającej miejsce w latach 70. XX wieku. Znamiennym przykładem tej radykalnej i projekcyjnej zmiany instytucjonalnej jest budowa II Rzeczypospolitej czy też transformacja ustrojowa lat 90. XX wieku, ze wszystkimi ich pozytywnymi

mi (które zdecydowanie przeważają) oraz niekorzystnymi skutkami (dotkliwymi dla określonych grup społecznych). Instytucjonalnym sukcesom, zwłaszcza jeśli instytucje są tworzone i zmieniane w sposób projekcyjny, towarzyszą w sposób nieuchronny instytucjonalne porażki. Owa obiektywna dokuczliwość mocno nam doskwiera i utrudnia budowanie dojrzałego ładu instytucjonalnego.

Instrumentalizacja polega na podporządkowaniu instytucji doraźnym, stronnictwom racjom i partykularnym korzyściom kosztem tego, co intuicyjnie nazywamy dobrem wspólnym. Instrumentalizacja to również wyraz myślenia w kategoriach zwaśnionych plemion, w których mniemaniu instytucje nie służą ograniczaniu niepewności, promowaniu współdziałania i dzieleniu odpowiedzialności za sprawy publiczne, ale stanowią przede wszystkim instrument urządzania świata według rzeczywistości pojmowanej na modłę monistyczną. Owe zwaśnione plemiona instytucje pojmują przede wszystkim jako narzędzia do realizacji własnych celów. Konsekwencją tego jest traktowanie instytucji jako oręża walki politycznej i narzędzia władzy, służącego opanowaniu i podporządkowaniu państwa. Państwo ujmowane jest wtedy statycznie, jako coś, co się urządza według przyjętego przez siebie wzorca i nadaje mu się tym samym cechy doskonałego instrumentu rządzenia. To rozumienie prowadzi do niebezpiecznej absolutyzacji władzy, której celem jest możliwie najdłuższe trwanie u władzy, gwarantującej petryfikację porządku wpływów i podziału dóbr (tak materialnych, jak i symbolicznych).

Podłożem instrumentalizacji instytucji jest słabo ukształtowane inkluzyjne poczucie wspólnoty narodowej i wspólnego dobra. To dziedzictwo historii, wynikające po części z tradycji demokracji szlacheckiej (*liberum veto*), po części zaś wypływające ze słabego wpływu oświeconego absolutyzmu na naszą państwowość (rachityczna tradycja podporządkowania korzyści partykularnych interesowi państwa). Trwaniu mentalnemu w instrumentalizacji instytucji sprzyjały także długie okresy braku niepodległości, budujące postawy opozycyjne wobec struktur obcych państw, nadających przecież formę i ramy prawne instytucji.

Intuicyjność wiąże się ze specyficznym antyintelektualizmem i antyempiryzmem, które objawiają się w niedocenianiu możliwości wykorzystania wiedzy, empirycznie ugruntowanej argumentacji i racjonalnego rozumowania dla budowania i modyfikacji instytucji. O wiele większe znaczenie mają w polskiej prakty-

W polskich rozważaniach o poprawianiu instytucji naukowe racje i empiryczne dowody są słabo eksponowane. Przeważa spersonalizowane i zideologizowane myślenie o państwie, społeczeństwie czy gospodarce. Dlatego też tak często podejmujemy zamiary modernizacyjne bez solidnych podstaw analitycznych, bez określenia racjonalnych przesłanek.

ce instytucjonalnej intuicji silnie warunkowane ideologicznie oraz przekonanie o „woli mocy politycznej”, zdolnej do niemal nieograniczonego przekształcania rzeczywistości na modłę „jedynego, słusznego” projektu politycznego. To myślenie jest, jak się wydaje, na wskroś przednowoczesne, gloryfikujące siłę polityczną, najczęściej pojmowaną w sposób spersonalizowany, a zarazem postponujące znaczenie instytucji i struktur.

Wciąż słabo eksponowane są w rozważaniach o poprawianiu instytucji naukowe racje i empiryczne dowody, a przeważa spersonalizowane i zideologizowane myślenie o państwie, społeczeństwie czy gospodarce. Dlatego też tak często podejmujemy zamiary modernizacyjne bez solidnych podstaw analitycznych, bez określenia racjonalnych przesłanek, uzgodnienia warunków ich realizacji oraz zapewnienia zasobów niezbędnych do ich przeprowadzenia. Nierzadko towarzyszy temu brak strategicznej wyobraźni co do konsekwencji, wynikających z realizacji tych zamiarów. Nieumiejętność antycypacji idzie bowiem bardzo często w parze z intuicyjnością i antyracjonalnością postrzegania instytucji oraz ich roli.

Wiedza uwspólniona

Bez dojrzałych instytucji nie sposób prowadzić trwałych procesów modernizacji państwa. Prostej recepty na budowanie takich instytucji nie można w sposób uniwersalny sformułować i zadekretować. Z pewnością można jednak określić pewne warunki brzegowe konieczne do spełnienia, czerpiąc z bogatego dorobku instytucjonalistów. Nie sposób jednak, w tak krótkiej wypowiedzi, szerzej zagadnienie

Wiedza uwspólniona służy uzgadnianiu przez elity państwa jego celów, reguł ich osiągnięcia oraz ustanawiania zasad koordynacji działań zbiorowych wspierających procesy modernizacyjne. Bez tego rodzaju wiedzy nie sposób kształtować dojrzałych instytucji, sprzyjających budowaniu państwa demokratycznego, zamożnego, stabilnego.

to potraktować. Odniosę się zatem jedynie do tego, co wydaje się mieć znaczenie pierwszoplanowe.

Mowa o ukształtowaniu zdolności wytwarzania wiedzy uwspólnionej, którą pojmuję jako wiedzę intersubiektywną, stanowiącą kluczowy element politycznego uczenia się i jed-

nocześnie sprzyjającą unikaniu przez państwo błędów systemowych, a zarazem zwiększającą prawdopodobieństwo osiągnięcia zamiarów modernizacyjnych.

Wiedza uwspólniona służy uzgadnianiu przez elity państwa jego celów, reguł ich osiągnięcia oraz ustanawiania zasad koordynacji działań zbiorowych wspierających procesy modernizacyjne. Bez tego rodzaju wiedzy nie sposób kształtować dojrzałych instytucji, sprzyjających budowaniu państwa demokratycznego,

zamożnego, stabilnego. W państwach o niskiej zdolności wytwarzania wiedzy uwspólnionej procesy politycznego uczenia się są ułomne; w konsekwencji kraje takie po wielokroć popełniają te same błędy, na ogół niezwykle kosztowne.

Wiedza uwspólniona służy uzgadnianiu przez elity państwa jego celów, reguł ich osiągania oraz ustanawiania zasad koordynacji działań zbiorowych wspierających procesy modernizacyjne. Bez tego rodzaju wiedzy nie sposób kształtować dojrzałych instytucji, sprzyjających budowaniu państwa demokratycznego, zamożnego, stabilnego.



RAFAŁ MATYJA

doktor habilitowany; politolog i publicysta, wykładowca Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. W latach 80. uczestnik opozycyjnego Ruchu Młodej Polski, autor hasła budowy IV Rzeczypospolitej.

Rzeczpospolita dla dorosłych

W latach 90. mieliśmy jeszcze prawo do naiwności. Do oczekiwania, że państwo wypełni etyczny ideał Solidarności, że zostanie uszyte na miarę narodu, który długo czekał na niepodległość, prawo do samostanowienia, przywrócenie więzi z zachodnią Europą. Dziś, po ponad 25 latach, nie da się myśleć w kategoriach „zaczynania od zera”. To, czego się o sobie dowiedzieliśmy, to cenny kapitał, nawet jeżeli ta wiedza nie zawsze jest przyjemna. Nie zbudujemy utopijnej, idealnej republiki. Potrzebujemy natomiast lepszego ładu instytucjonalnego niż obecny.

Ostatnie lata były okresem zaniechań. W pewnym momencie opiniotwórcze elity i szerokie kręgi społeczne uznały, że państwo „takie, jakie jest” w zasadzie już nam w zupełności wystarczy. Daje poczucie bezpieczeństwa, zapewnia funkcjonowanie większości usług publicznych. Sprawdza się jako dystrybutor środków europejskich, nie jest za bardzo natrętne w relacjach z obywatelami. Dysfunkcji – w sferze opieki zdrowotnej, edukacji, szkolnictwa wyższego – nie postrzegano jako efektów błędów systemowych, ale jako odrębne problemy, które można naprawiać oddzielnie, każdy z osobna.

Matura z instytucji

Dziś, kiedy tak dużo mówimy o innowacjach, reformie nauki, wskoczeniu na wyższą trajektorię rozwojową, zachowujemy się jak ktoś, kto zapisuje się na zajęcia na uczelni, mimo że nie zdał matury. Nie opanowaliśmy sztuki tworzenia i naprawiania instytucji. Ciągle wierzymy, że problemem jest to, że wydajemy na coś

za mało środków. Szukamy rozwiązań w tworzeniu Narodowych Strategii, wytyczaniu ambitnych celów, a nie w odpowiedzi na pytania, jak zbudować sprawnie działające ministerstwa, jak wyposażać rząd w silne centrum analiz programowania, jak wykorzystywać pamięć instytucjonalną – doświadczenie byłych polityków i ekspertów, ucząc się na popełnionych błędach, a nie powtarzając je przy niemal każdej zmianie rządzącej ekipy.

Naiwna byłaby przy tym wiara, że w przypadku instytucji takich jak rząd wystarczy zmiana prawa. Dobrze funkcjonujące instytucje buduje się także przez przykład, jaki dają rządzący. Zaufanie do procedur rodzi się wtedy, gdy kolejne ekipy przestrzegają ich nawet wtedy, gdy są dla nich niewygodne. Jeżeli wzmacniają „logikę stosowności” uznawanych przez poszczególnych aktorów reguł chroniących interes publiczny. Te reguły i zasady stosowności były przez ostatnie ekipy zbyt często naruszane, by można było milczeć o długotrwałych skutkach.

Budowanie instytucji nie może polegać na nadmiernej wierze w cnoty obywatelskie Polaków, ale nie powinno też się ich budować na pesymizmie i total-

Dobrze funkcjonujące instytucje buduje się także przez przykład, jaki dają rządzący. Zaufanie do procedur rodzi się wtedy, gdy kolejne ekipy przestrzegają ich nawet wtedy, gdy są dla nich niewygodne.

nej nieufności. To ostatnie bowiem skutkuje przeregulowaniem wielu sfer życia. Szkolnictwo wyższe, na przykład, nigdy nie było skrzepowane tyloma formalizmami jak dziś. Nawet

końcówka PRL była w tej mierze bardziej liberalna. Mamy więc obecnie do czynienia z brakiem zaufania państwa do ludzi oraz z przekonaniem o konieczności maksymalnego formalizowania sfer, nad którymi chce się mieć kontrolę.

To samo dotyczy samorządu. Nieufność wobec niego zawsze żywiły pewne segmenty administracji centralnej, ale – poza niewielkimi wyjątkami – nie dotyczyła ona rządzących polityków. Dziś ta sytuacja uległa diametralnej zmianie. Oczywiście może to się wiązać z faktem, że władzę w licznych jednostkach samorządu terytorialnego sprawują politycy opozycji, a gra na dyskredytację instytucji jest tylko elementem nieznającej barier rywalizacji politycznej. Ale może też skutkować trwałym ograniczeniem uprawnień samorządów.

Nie zdamy matury z instytucji, jeżeli rząd będzie kierował się duchem nieufności. Jeżeli jedyną receptą zapisywaną na wszelkie bolączki państwa będzie wzmacnianie kontroli i ręcznego sterowania. Zastępowanie niepewnych ludzi „dawnej ekipy” własnymi. To stworzy zamknięty krąg „czystek”, podejrzliwości, eliminowania tego, co w maszynierii każdego państwa powinno być stałe i wyłączone z rywalizacji politycznej.

Kryzys...

Jesteśmy świadkami polityki, w imię której przekraczane są kolejne granice w tworzeniu partyjnej sieci wpływów w państwie. Polityki, która w coraz większym stopniu usprawiedliwia nadużywanie władzy nad mediami, ograniczanie praw opozycji i redukowanie do minimum debaty parlamentarnej. Wybory 2015 roku nie przyniosły zapowiadanego odrodzenia – a wiele problemów tylko pogłębiły. Pokazały też, na jak kruchych przesłankach opierała swoje poczucie sukcesu część elit. Droga do obecnego kryzysu była dłuższa niż ostatnie miesiące. Podziały, które stały się jego owocem, były natomiast głębsze i trudniejsze do przezwyciężenia, niż się spodziewaliśmy.

Tego kryzysu nie rozwiąże się poprzez kolejne przejścia władzy, poprzez silniejszą za każdym razem potrzebę rewanżu, ale przez jakieś odrodzenie realności Rzeczypospolitej jako wspólnego punktu odniesienia. To, co było na początku tylko grą partii, stało się trwałym podziałem, dla coraz większej grupy ludzi ważniejszym niż państwo. Dla wielu państwo i jego instytucje są już tylko instrumentem służącym upokarzaniu i pogrążaniu przeciwników. Jeżeli nie ustawą, to choćby medialnym oskarżeniem. Pytanie, jakie muszą sobie postawić w takiej sytuacji dorośli obywatele, sprowadza się do jednego: czy problem ten może ulec rozwiązaniu wraz ze zmianą władzy? Można wierzyć, że dla kogoś będzie mniej dotkliwy, że będzie się inaczej wyrażał. Ale trudno uwierzyć, że kolejny zwycięzca ustanowi nowe prawo – równe dla wszystkich, że odbuduje poczucie wspólnoty politycznej, silniejszej niż partyjno-plemienne podziały.

To, co było na początku tylko grą partii, stało się trwałym podziałem, dla coraz większej grupy ludzi ważniejszym niż państwo. Dla wielu państwo i jego instytucje są już tylko instrumentem służącym upokarzaniu i pogrążaniu przeciwników.

... i odrodzenie

Odrodzenie nie przyjdzie z dzisiejszej sceny politycznej, nie będzie dziełem obecnych elit parlamentarnych. To jeden z pewników w świecie dojrzałych obywateli. Mogą go przynieść pewne zmiany pokoleniowe, otwarcie nowych kanałów rekrutacji w polityce, dziennikarstwie, świecie akademickim i eksperckim. Mogą go przynieść procesy decentralizacyjne włączające do debaty także tych, którzy w niej nie uczestniczyli na równych prawach.

By jednak zmiana pokoleniowa była zmianą jakościową i pozytywną, musi wiązać się z przywróceniem pewnych ideałów życia publicznego – rozumianych

bez naiwności, ale też bez zgorzkniałego pesymizmu. Niezmiernie ciekawe byłoby odczytanie przez tych, którzy urodzili się już w III Rzeczypospolitej – dziedzictwa pierwszej Solidarności. Odczytanie nie przez pryzmat sporów o zasługi i zdrady, ale przede wszystkim nadzieje, jakie wzbudził ten ruch, i odrodzenie – na co zwracał niezwykle przenikliwie uwagę Mirosław Dzielski – poczucia odpowiedzialności za losy całej wspólnoty obywatelskiej. To stało się w roku 1980, potem na mniejszą skalę wracało w okresach obywatelskiego ożywienia po roku 1989, ale było niezwykle skutecznie gaszone przez elity polityczne, którym z obywatelami jest raczej niewygodnie. Które nie chcą, by o czymkolwiek istotnym decydowały referenda lub obywatelskie projekty ustaw. Które – właśnie w tym wymiarze najbardziej sprzeniewierzyły się duchowi pierwszej Solidarności.

Być może ten błąd, który był udziałem niemal wszystkich nurtów politycznych, nie musi być grzechem dziedziczonym przez kolejne pokolenia. Przesłanki takiej

Jeżeli dzisiejsze młode pokolenie nie zachoruje na cynizm i nie wejdzie – jak czyni część rówieśników – w koleiny mechanizmów partyjno-klientelistycznych, być może zachowa szansę na to, by dokonać naprawy instytucji i obyczajów. Być może nie całościowej, ale wzmacniającej siłę Rzeczypospolitej, jej szansę na przetrwanie i stanie się dobrym państwem.

nadziei są dziś nikłe, ale istnieją. I nie warto zabijać ich sceptycyzmem czy pogardliwym traktowaniem. Przeciwnie, należy je „rozdmuchiwać” niczym żarzące się w ognisku węgielki. Budzić i podtrzymywać apetyt na dobre państwo. Szansą Rzeczypospolitej nie jest porządek instytucjonalny

oparty na podejrzliwości i maniach prześladowczych rządzących, ale na uczciwym rachunku z ostatniego ćwierćwiecza. Jego dojrzałość polega na tym, że nie popada w infantylne i utrzymane w konwencji szkolnej akademii akty samozachwytu. Ale nie przybiera też póz zacerpniętych z nastoletniego buntu przeciwko światu dorosłych, jako zepsutemu i zakłamanemu.

Jak tego dokonać? Duże nadzieje pokładam w młodym pokoleniu. Jeżeli nie zachoruje na cynizm i nie wejdzie – jak czyni część rówieśników – w koleiny mechanizmów partyjno-klientelistycznych, być może zachowa szansę na to, by dokonać naprawy instytucji i obyczajów. Nie całościowej, nie załatwiającej sprawę raz na zawsze. Ale wzmacniającej siłę Rzeczypospolitej, jej szansę na przetrwanie i stanie się dobrym państwem. Lepszym niż to, które odziedziczyli, dojrzałym nie poprzez metrykę poszczególnych osób, ale przez przekazane następcom doświadczenie i logikę funkcjonowania dobrych instytucji.



MICHAŁ TARAS

od 2015 r. w PD Co. – najpierw jako doradca zarządu, obecnie jako wiceprezes. Poprzednio – w 2014 r. – pełnił funkcję prezesa zarządu Kompanii Węglowej S.A. Wcześniej od 2013 r. prezes zarządu Lubelskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej. W latach 2001–2012 w spółce Lubelski Węgiel Bogdanka S.A., gdzie od 2008 r. pełnił funkcję prezesa zarządu. Absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, Szkoły Controllingu w Katowicach oraz studiów podyplomowych w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie.

Czas wyjść z naszych jaskiń i ucywilizować nasze zachowania – perspektywa biznesu

Rozmowa z Mirosławem Tarasem

Polacy są trochę jak jaskiniowcy. Nieufni, niechętni do współpracy, dbający tylko o siebie siedzimy zamknięci w swoich jaskiniach. Prowadzimy tam swoje drobne jaskiniowe interesiki – jednym razem ściągniemy na egzaminie, innym razem wepchniemy się bez pardonu w kolejkę. Choć trzymamy się kurczowo swoich kryjówek, tak naprawdę nasza jaskiniowość często przeszkadza nam w codziennym życiu. Załatwienie sprawy w urzędzie, kupno samochodu czy dokonanie transakcji biznesowej wiąza się z ogromnymi kosztami weryfikacji uczciwości drugiej strony. Tracimy swój czas, pieniądze i nerwy. Gdybyśmy wyszli z naszych jaskiń, bez wątpienia żyłoby nam się lepiej. Tylko jak tego dokonać?

Rozmowę prowadzi Marcin Wandałowski – redaktor thinklettera Kongresu Obywatelskiego

Trudna historia naszego kraju ukształtowała w Polakach szereg specyficznych zachowań. Jak mi pan kiedyś wyjaśniał, stawiając za każdym razem na pierwszym miejscu własny interes stworzyliśmy świat, w którym większość z nas żyje w swoich jaskiniach. Czy podtrzymuje pan to zdanie?

W mojej opinii nadal tak jest. Teoretycznie mogłoby się wydawać, że w polskim społeczeństwie – tak mocno naznaczonym przecież bolesnymi doświadczeniami historycznymi – powinien nareszcie wykiełkować pewien gen współdzielenia, jednoczenia się wokół wspólnych interesów. Moje pokolenie potrafiło tego dokonać w okresie komunizmu, pokolenie moich rodziców – za czasów wojny, a pradiadków – w okresie rozbiorów. Jako naród robiliśmy coś wspólnie, zapominając o różnicach ideologicznych. Razem tworzyliśmy coś ponadczasowego. Aż w końcu na-

stała wolność i dobrobyt – może nie dla każdego, ale z pewnością dla dużej części Polaków. Choć nie wszyscy skorzystali na przemianach gospodarczych, to wszystkim raczej żyje się dziś dużo lepiej. I w takich oto, wydawałoby się ciepłarnianych warunkach, to co było naszą siłą w trudnych czasach, obumarło.

Dlaczego tak się stało?

Gdy jako państwo wieki temu utraciliśmy swoją niezależność, cechy takie jak nieufność, podejrzliwość, umiejętność kombinowania, a nawet cwaniactwo, pozwalały nam przetrwać w warunkach konspiracji, pod piętnem nieprzyjacielskiej władzy. Dziś, w realiach gospodarki rynkowej, stały się one kulą u nogi. Zamiast spojrzeć na nasze szanse i myśleć w kategoriach rozwoju, czujemy się bezpiecznie, zamknięci w swoich jaski-

W czasach niepewności cechy takie jak nieufność, podejrzliwość, umiejętność kombinowania, a nawet cwaniactwo, pozwalały Polakom przetrwać. Dziś, w realiach gospodarki rynkowej, stały się one kulą u nogi.

niach. Broniący swoich – na opak rozumianych – interesów, skupiający się na przetrwaniu, obawiający się, że ktoś może nam coś zabrać, przełamać mniej lub bardziej dla nas korzystne *status quo*.

Cały czas myślimy w logice „ja”, a nie „my”. To w nas tkwi. Indywidualizm zupełnie zdominował myślenie o dobru wspólnym. Widać to doskonale w biznesie. Jeśli jestem prezesem firmy, to nie dość, że nie ma mądrzejszego ode mnie, to jeszcze robię wszystko, by do swojego przedsiębiorstwa nie dopuścić zbyt blisko partnera biznesowego, a broń Boże konkurenta. W żaden sposób nie potrafię się otworzyć na innych.

Ten problem ma też jednak wymiar społeczny. Niech pan spyta pierwszą napotkaną osobę o dowolną sprawę. Albo niemiło nam odburknie, bo przecież obcy to potencjalne zagrożenie, albo też będzie nam udowadniała, że jej pogląd jest najbardziej słuszny. My, Polacy, lubimy bowiem wiedzieć najlepiej i wstyd nam często przyznać się do błędu czy niewiedzy. Dlatego też sądzę, że bez problemu znalazłby pan na ulicy czy w autobusie dziesiątki ekspertów od podkuwania koni oraz lotów na Księżyc.

To, o czym mówię, doskonale obrazuje również polska polityka. Gdy jedna opcja była przy władzy, to opozycję nazywała nieudacznikami. Przyszły wybory i role się odwróciły. Rządzący – niezależnie od opcji politycznej – wiedzą najlepiej, więc opozycji nie można dopuścić ani do sprawowania władzy, ani choćby nawet do krytyki. Te przejawy neandertalizmu widać niestety w Polsce na każdym kroku.

Jakie koszty generuje nasza polska jaskiniowość?

Nieufność prowadzi do tego, że wszyscy ponosimy ogromne koszty weryfikacji uczciwości drugiej strony. Czymś normalnym jest przecież dla nas to, że nie ufamy sprzedawcy używanego auta. W naszej głowie zawsze kiełkuje myśl, że skoro sprzedaje

samochód, to musi być z nim coś nie tak. Z pewnością chce nas oszukać. Zamiast więc dokonać transakcji i rozejść się w swoje strony, jedziemy razem ze sprzedawcą do warsztatu i płacimy za przegląd. Tracimy nie tylko swoje pieniądze i czas, lecz również nerwy. Identycznie wygląda to w biznesie – nieufność zwiększa koszty funkcjonowania firmy. Ileż czasu i pieniędzy zaoszczędzilibyśmy, gdyby nie trzeba było dokładnie audytować każdej transakcji, po stokroć sprawdzać wiarygodności każdego partnera. Przenieśmy się też wreszcie do polskiego urzędu, w którym zanim urzędnik wyda decyzję, sto razy musi sprawdzić obywatela i zażądać od niego stosu papierów – po drodze odsyłając go kilka razy do innego okienka. Załatwianie nieskomplikowanych spraw, dotyczących np. wydania decyzji dotyczącej budowy domu czy położenia kawałka chodnika, urasta w Polsce do rangi muru nie do przebicia. Są to koszty, jakie ponosi zamknięte społeczeństwo, koszty naszej jaskiniowości.

Nasza nieufność prowadzi do tego, że wszyscy ponosimy ogromne koszty weryfikacji uczciwości drugiej strony.

Z tego, co pan mówi – Polak Polakowi wilkiem. Sami z siebie kreujemy problemy, które przeszkadzają nam później w codziennym życiu...

Dam panu jeden przykład ze Szwajcarii. Mieszka tam mój brat. Zgubił on ostatnio dowód rejestracyjny swojego samochodu. Zdał sobie z tego sprawę, przebywając akurat w Polsce. Bez tego dokumentu nie mógłby przekroczyć z powrotem granicy i wrócić do domu. Zadzwoił z Lublina do szwajcarskiego urzędu i przedstawił problem. Urzędnik spytał go, czy jest ktoś w Szwajcarii, kto mógłby podejść i potwierdzić jego tożsamość. Tak się złożyło, że na miejscu była jego żona, która następnego dnia zjawiła się w urzędzie i zaraz po tym odebrała nowo wyrobiony dowód. Proszę spróbować załatwić to samo w Polsce – idę o zakład, że będzie pan czekał rok albo aresztują pana za próbę wyłudzenia dokumentów. To tylko jeden z bardzo wielu przykładów mogących zobrazować różnice między nami a społeczeństwami otwartymi, w których znacznie łatwiej buduje się relacje i nie ponosi się tak wielkich kosztów związanych z kontrolą oraz weryfikowaniem uczciwości drugiej strony.

Wydaje się jednak, że nasza nieufność jest często wręcz naturalną postawą, dostosowaną do środowiska, w którym żyjemy. Często słyszymy przecież – nie tylko z mediów, ale i od rodziny i znajomych – o nieuczciwych sprzedawcach, o wyłudzeniu VAT-u przez firmy itd. Nie ma chyba nic dziwnego w tym, że chcemy zawsze wszystko dobrze sprawdzić, by nie zostać oszukanymi...

Owszem, z punktu widzenia przystosowania nasza zapobiegliwość jest jak najbardziej uzasadniona. Przecież – choć zabrzmi to niemiło – wielu z nas również

czasem oszukuje. Nie mam tu na myśli żadnych przestępstw, lecz drobne przewinienia, brak elementarnej uczciwości w błahych sprawach, z którymi mamy

Cwaniactwo i oszukaństwo to cechy, które zbyt często traktuje się w Polsce jako normalne, a czasem wręcz nawet jako pożądane. Osoby, które wypychają się do kolejki czy ściągają na egzaminach, częściej spotyka uznanie niż ostracyzm.

styczność w codziennym życiu. Cwaniactwo i oszukaństwo to cechy, które zbyt często traktuje się w Polsce jako normalne, a czasem wręcz nawet jako pożądane. Osoby, które wypychają się

do kolejki czy ściągają na egzaminach, częściej spotyka uznanie niż ostracyzm. A przecież jest to zwykła nieuczciwość. Społeczeństwo, które takich zachowań nie tępi, nie ma szans na normalne funkcjonowanie. Człowiek uczciwy, przyzwoity stoi pokornie w kolejce niezależnie od tego, czy jest biedny czy bogaty, czy jest profesorem czy grabiącym liście w parku. Jeśli tego nie zrozumiemy, naszej jaskiniowości nie uda nam się przełamać.

Zamknięci, nieufni, niezdolni do współpracy, a często również nieuczciwi – tak rysuje się przedstawiany przez pana, nieco przejaskrawiony, obraz Polaków. Czy w naszej jaskiniowości jest w ogóle coś pozytywnego?

Tak – zdarza się, że nasz indywidualizm bywa zaletą. Polacy, jak chyba nikt inny na świecie, mają umiejętność poruszania się bez schematów i instrukcji. Potrafimy być nieszablonowi, sprytni i elastyczni. Polak został wyćwiczony w konieczności błyskawicznego podejmowania decyzji bez przygotowania, w oparciu o swoje własne doświadczenia, intuicje. Polak *ad hoc* potrafi wymyślać dobre rozwiązania, wyjścia z dynamicznej sytuacji – tego inne nacje nie potrafią. To pozytywny skutek naszej jaskiniowości.

Z pańskiej diagnozy wynika jednak jednoznacznie, że przeważają negatywy. W jaki sposób moglibyśmy dokonać swoistej zmiany mentalnej, dzięki której ucywilizowalibyśmy relacje pomiędzy Polakami?

Taka zmiana na pewno nie byłaby łatwa i na pewno nie zaszłaby szybko. Gdybyśmy się jednak jej podjęli, to powinniśmy rozpocząć od edukacji. Ważne jest przygotowywanie naszych dzieci na wyzwania jutra, a nie na „wczorajszą” konieczność przetrwania. Pozwalanie im na samodzielne myślenie oraz niestawianie na piedestale – jak dotychczas – indywidualizmu, lecz współpracy, pracy w zespole, otwartości na innych. Zaszczepianie w nich uczciwości oraz negowanie cwaniactwa i nieuczciwości. Nie wpajamy młodym ludziom złych postaw, a sami z siebie nie będą w taki sposób postępowali. To samo odnosi się do wychowywania w domach, rodzinach. Rola rodziców oraz bliskich w kształtowaniu odpowiedniej postawy życiowej młodych jest przecież absolutnie kluczowa.

Czy nie jest jednak tak, że oprócz zmiany oddolnej – w polskich szkołach oraz domach – fundamentalny mógłby być też dobry przykład idący z góry?

Zdecydowanie tak. Dobrze by społeczeństwo widziało zmianę zachodzącą na szczytach władzy, wśród polskich elit. Powinny one wyjść z jaskiń i dawać pozytywny przykład. Jeżeli natomiast nadal nie będą potrafiły być otwarte na krytykę i nie będą szanowały drugiej strony, tkwiąc w swoich jaskiniach, to nic dobrego nas nie czeka. To wszystko nie zrzuca jednak w żadnym wypadku odpowiedzialności z nas samych jako obywateli. Zastanówmy się, co sami możemy zrobić, aby wypełznąć z naszych jaskiń, aby stać się bardziej otwartymi na wymianę zdań, doświadczeń, na komunikowanie się między sobą z szacunkiem. Czy będziemy w stanie zapomnieć przez chwilę o zapobiegawczości i zaufać drugiemu człowiekowi? Odłożyć na bok logikę przetrwania? Wyrwać się z tej polsko-polskiej wojny podjazdowej? Dołożyć swoją cegiełkę do rozwoju całego społeczeństwa?

Zastanówmy się, co sami możemy zrobić, aby wypełznąć z naszych jaskiń, aby stać się bardziej otwartymi na wymianę zdań, doświadczeń, na komunikowanie się między sobą z szacunkiem.

Rozmawiał Marcin Wandałowski



MARCIN SKRZYPEK

działacz społeczno-kulturalny w Lublinie, pracownik lubelskiego Ośrodka "Brama Grodzka Teatr NN" i muzyk folkowej Orkiestry św. Mikołaja. Z wykształcenia anglista. Z zamiłowania analityk kultury i publicysta. Ostatnio współautor aplikacji Lublina do tytułu ESK 2016 oraz Strategii Rozwoju Lublina 2020. Popularyzator kultury przestrzeni, partycypacji społecznej i tzw. kultury szerokiej (d.i.y, kultury niszowe itp.). Hobby: książki science-fiction, rodzina (dwójka dzieci).

Mądrość roju – czyli mechanizm rozwoju wspólnot lokalnych

Demontaż lokalności zaczyna się tam, gdzie przestaje opłacać się chodzenie pieszo. Kluczowym zasobem staje się wówczas samochód, który staramy się mieć jak najbliżej siebie. W naszych miastach coraz więcej jest dróg i parkingów, a coraz mniej parków i ścieżek pieszych. Życie z ulic, skwerów i lokalnych punktów usługowych przenosi się do wielkich centrów handlowych. Bliskość międzyludzka zanika – w przestrzeni komercyjnej nie ma bowiem zbyt wielu punktów zaczepienia do tworzenia więzi, wspólnego myślenia, empatii. Dlaczego warto dbać o zdrowe proporcje między lokalnością a mobilnością? Jak tego dokonać? Czego w tym kontekście możemy się nauczyć od pszczoł?

Czego oczekiwać od dojrzałej społeczności lokalnej? Dojrzałość to bardzo mądre słowo. Mój nauczyciel etyki na KUL, ks. prof. Andrzej Szostek, zaskakiwał nas, studentów, ciekawymi skojarzeniami związanymi z etymologią mądrych słów. Jednym z nich była właśnie dojrzałość – człowiek dojrzały po prostu może więcej dojrzeć. To całkiem dobry punkt wyjścia do dalszych rozważań. Zatem, co dojrzała społeczność lokalna powinna umieć dojrzeć?

Przede wszystkim to, że lokalność oznacza bliskość, którą warto pielęgnować. Bliskość jest źródłem lokalności. Bez niej lokalność staje się abstrakcją, wartością subiektywną i symboliczną dla wybranych, przestaje być powszechnym doświadczeniem dostępnym dla każdego. Lekceważenie bliskości jest doskonałym przyczynkiem do dyskusji o zagrożeniach modernizmu rozumianego jako bezkrytyczny entuzjazm dla wszystkiego, co ma być lepsze tylko dlatego, że jest nowe i zastąpi stare. Okazuje się, że czasem bycie „nowoczesnym” staje w sprzeczności z byciem

mądrym, co nazywamy innym słowem kluczem – „smart”. Czasem prawdziwa nowoczesność, innowacyjność i bycie „smart” sprowadza się do umiejętności docenienia i zastosowania tradycyjnych wartości. Jedną z nich jest bliskość.

Lokalność oznacza bliskość, którą warto pielęgnować. Bliskość jest źródłem lokalności. Bez niej lokalność staje się abstrakcją, wartością subiektywną i symboliczną dla wybranych.

Idealną ilustracją zasady bliskości jest pszczeni rój, który zbiera nektar i pyłek z określonej okolicy ula, w czym pomaga pszczenia komunikacja i przysłowiowa

Lokalność oznacza bliskość, którą warto pielęgnować. Bliskość jest źródłem lokalności. Bez niej lokalność staje się abstrakcją, wartością subiektywną i symboliczną dla wybranych.

pszczenia współpraca, a więc te cechy, na których brak narzekamy u Polaków. Dzięki dobrze zorganizowanej lokalnej pracy pszczół okoliczne rośliny są zapylone, a my mamy miód,

co z kolei skłania nas do dbania o pszczoły i miejsca dla uli, czyli środowisko naturalne. Wszystko tu działa jak w zegarku, ale tylko dzięki temu, że wiele pszczół kursuje parę razy dziennie do nieodległych kwiatków.

Zasada bliskości

W przypadku ludzi te same zależności można pokazać na przykładzie używanej w archeologii metody *site catchment*, która polega na określaniu obszaru wokół osady, w którym poruszali się jej mieszkańcy w ramach swoich codziennych zajęć. Mówimy tu o czymś w rodzaju chmury tras pieszych. W modelowej sytuacji zakłada się, że promień takiego obszaru eksploatacji dla gospodarki łowiecko-zbierackiej wynosił 10 km od osiedla (2h piechotą), a dla gospodarki rolniczo-hodowlanej 5 km (1h marszu).

Badając to zagadnienie, naukowcy odnaleźli ciekawą prawidłowość. Ludzie generalnie dążą do takiej optymalizacji aktywności, aby około $\frac{3}{4}$ swoich działań realizować, zużywając $\frac{1}{4}$ zasobów. Zależy im więc, by większość spraw mogli załatwić, nadmiernie nie eksploatując swoich zasobów – czasu, energii, ale także pieniędzy czy cierpliwości w pokonywaniu różnych trudności. Te proporcje mogą się wahać. Istotna jest zasada ogólna, że dążymy do minimalizacji wysiłku i dlatego staramy się, aby rzeczy były tak blisko nas, jak często ich używamy.

Lokalność jako pakiet korzyści

Współcześnie również mamy takie swoje obszary eksploatacji wokół domu. Obejmują one: sklepy, kościół, fryzjera, skwer, bank, bibliotekę, szkołę, pocztę, kiosk,

przedszkole, przychodnię, budkę z piwem, plac zabaw. Dziś co prawda żywność zdobywamy szybciej niż kiedyś, ale nasze zasoby są zużywane przez inne działania, takie jak: edukacja, opieka, komunikacja, administracja, rozrywka, rekreacja. Dlatego optymalizacja tych aktywności w przestrzeni i czasie staje się krytycznym wskaźnikiem jakości współczesnego życia.

Korzyści z pieszej bliskości „obszaru eksploatacji” wykraczają daleko poza ergonomię samego przemieszczania się. Jeśli przyjrzeć się dalszym jej konsekwencjom, okaże się, że przynosi ona dobroczynne skutki w wielu innych obszarach, takich jak: ekonomia, społeczna spójność i równość, samopoczucie, tożsamość, odpowiedzialność obywatelska itd. Skutki te są współzależne i tworzą coś w rodzaju pakietu. Oto przykłady.

Na eksplorację otoczenia, w którym wszędzie można bezpiecznie dojść pieszo, stać każdego materialnie, kondycyjnie i pod każdym innym względem. Dotyczy to w szczególności grup, takich jak dzieci, rodzice z dziećmi czy osoby starsze, które mogą samodzielnie załatwiać sprawy w sąsiedztwie na równych prawach z osobami bardziej sprawnymi i niezależnymi. Brak takiej samodzielności łatwo wyklucza ich z życia społecznego.

Korzyści z pieszej bliskości „obszaru eksploatacji” wykraczają daleko poza ergonomię samego przemieszczania się. Przynosi ona skutki w obszarach takich jak ekonomia, społeczna spójność i równość, odpowiedzialność obywatelska.

Spotykanie się przedstawicieli wszystkich pokoleń w przestrzeni publicznej podczas codziennych zajęć, sprawia, że obserwujemy ludzkie życie w całej jego rozciągłości. Samo wspólne doświadczanie tej samej przestrzeni sprawia, że czujemy się bardziej związani z danym miejscem i jego mieszkańcami. Poznajemy nawzajem swoje potrzeby i problemy, dzięki czemu jesteśmy bardziej skłonni do społecznej empatii i solidarności, zarówno w osiąganiu celów sąsiedzkich, jak i ogólnospołecznych. W takich warunkach łatwiej się też czegoś dowiedzieć i nawiązywać nowe kontakty.

Stała obecność ludzi w przestrzeni publicznej znakomicie poprawia jej bezpieczeństwo, a ruch na świeżym powietrzu ma zbawienny wpływ na kondycję nie tylko aktualnie tyjących dorosłych, ale także przyszłych dorosłych, którzy są teraz dziećmi. Piesza dostępność wielu celów ma też znaczenie ekonomiczne. Powoduje ona, że klienci skupiają się na małej powierzchni, co sprzyja tworzeniu miejsc pracy poprzez rozwój niewielkich biznesów zależnych od dużej liczby małych wpływów.

Demontaż lokalności

Demontaż lokalności zaczyna się tam, gdzie chodzenie staje się nierentowne, czyli np. gdzie planiści nie zaplanowali lokalnego centrum dostępnego pieszo. Gospodarka przestrzenna ignorująca lokalność wywodzi się jeszcze z przedwojennego modernizmu i jego

Demontaż lokalności zaczyna się tam, gdzie chodzenie staje się nierentowne. Uruchamia to całą kaskadę skutków niesprzyjających bliskości. Kluczowym zasobem staje się własny samochód i to on zaczyna być strategiczną i uniwersalną rzeczą, którą staramy się mieć jak najbliżej siebie.

utopijnej wizji podziału miasta na strefy funkcjonalne, czyli na osobne miejsca do mieszkania, pracy i wypoczynku, między którymi ludność powinna przemieszczać się jakimś transportem. Ten sposób organizacji miast do dziś żyje

w symbiozie z sektorem sprzedaży pojazdów, paliw i budową dróg, ponieważ czyni tysiące mieszkańców komunikacyjnie bezradnymi, zmuszając ich do kupna samochodu.

Samo strefowanie funkcji nie jest złe. Wszystko zależy od skali. Jeśli między strefami można przemieszczać się pieszo, funkcjonalizacja przestrzeni jest korzystna. Istnieje jednak pewna krytyczna długość „szlaków zaopatrzeniowych”, powyżej której sytuacja zmienia się diametralnie – chodzenie pieszo zwyczajnie przestaje się opłacać.

Uruchamia to całą kaskadę skutków niesprzyjających bliskości. Kluczowym zasobem staje się własny samochód; to on zaczyna być strategiczną i uniwersalną rzeczą, którą staramy się mieć jak najbliżej siebie. W rezultacie rozrastają się przydomowe parkingi, a tempo tego procesu rośnie wraz z relatywnym spadkiem cen samochodów. Parkingi zabierają przestrzeń publiczną. Spada ranga zieleni jako czynnika utrudniającego przechowywanie auta; miejsce parkingowe staje się pierwszą, nierzadko rozpaczliwą potrzebą.

Siłą rzeczy lokalne przestrzenie publiczne pozbawione części swojej funkcji i użytkowników tracą na wartości, więc zaczyna się im poświęcać mniej uwagi i środków. Zanika troska o przyjemne miejsca publiczne, a nawet sztuka ich tworzenia. Zmusza to mieszkańców do poszukiwania spokoju, kontaktu z naturą i spędzania czasu wolnego w innych dzielnicach, w formie płatnych usług lub za miastem. Zyskują za to na znaczeniu „przestrzenie publiczne” dla samochodów, czyli drogi, skrzyżowania, parkingi. Inwestycje drogowe stają się priorytetem i pochłaniają gros budżetów. Rozwój zbiorowej komunikacji publicznej pozostaje jednak w tyle, bo „przeszkadza” ona innym samochodom, nie jest tak spontanicznie ekspansywna jak one i wydaje się od nich mniej nowoczesna.

Z chwilą kiedy musimy gdzieś pojechać, przestaje mieć znaczenie, czy cel jest w odległości 1, 2 czy 4 km. Stąd już prosta droga do budowy galerii handlowych, które są dalej, ale w zamian oferują kompleksowe możliwości. Warto jednak zauważyć, że pod tym względem pozostają one tradycyjnymi lokalnymi centrami dla pieszych. Nie wnoszą żadnej nowej wartości do relacji ludzie – przestrzeń, a jedynie „kradną” lokalność z wielu miejsc publicznych, koncentrując ją na swoim prywatnym terenie. Tym, co odróżnia ów teren od lokalnego centrum jest fakt, że najczęściej funkcjonuje on poza przestrzenią zamieszkałą, eksterytorialnie. Jeśli supermarket powstaje

na terenie osiedla, często nawet nie buduje się prowadzących do niego chodników, bo wydaje się oczywiste, że nikt tam nie będzie chodził. Temu założeniu oczywiście zaprzeczają ścieżki wydeptywane od przejść dla pieszych i przystanków. Galerie tworzą własne osobne, zamknięte światy – cudowne w środku, byle jakie z zewnątrz.

Rozwarstwienie kosztów i korzyści

Jakie są konsekwencje zmiany domyślnego sposobu funkcjonowania mieszkańca? Priorytetowymi stają się potrzeby osoby będącej w ruchu, „turysty”, odwiedzającego wiele często odległych od siebie miejsc. Oczekuje się, że będzie miał on zapewnione najkrótsze drogi tranzytowe we wszystkich relacjach, miejsca postoju na noc, na dzień i na chwilę, a wynikające z tego korki czy prywatne koszty są traktowane jako społeczna niesprawiedliwość. Przy okazji jednak zachodzą też bardziej subtelne zmiany w mentalności mieszkańców jako współobywateli.

Kiedy dawniej liczyło się udostępnienie mieszkańcom sąsiedztwa wyposażonego w handel i usługi – jak pszczołom okolicy obfitującej w kwiaty – istniała jedność miejsca, czasu i akcji dbania o jakość życia. Łatwo było powiązać koszty z korzyściami i grupą beneficjentów, która nie była anonimowa ani antagonistyczna. Wszystko „zostawało w rodzinie”. Dziś, kiedy mieszkaniac nie musi mieć w zasadzie żadnego sąsiedztwa, jeśli tylko ma zapewniony szybki transfer w dowolne miejsce, za nasze korzyści płacą inni, a skutki zmian są rozłożone w czasie i dotyczą osób, których nie widzimy, a wręcz z nimi konkurujemy.

Pod tym względem współczesne miasto przypomina nieco internet, w którym bliskość ma sens wirtualny. Często słyszy się, że ktoś ze swojego domu pod miastem dojeżdża do centrum szybciej niż osoba jadąca z jednej dzielnicy do drugiej. Sęk w tym, że w odróżnieniu od komunikacji cyfrowej fizyczne pokonywanie odległości zużywa nieodnawialne zasoby cudzej lokalnej przestrzeni. Przykładowo mieszkaniac przedmieścia, który musi dojechać do centrum, bo na „swojej wsi” oczywiście nie ma żadnych usług, robi to kosztem mieszkańców dzielnicy rozciągłej na pół przeskalanową dwupasmówką.

Rozkład bliskości

Spektrum wspólnych doświadczeń mieszkańców miejsc o zrzurowanej lokalności bardzo różni się od spektrum doświadczeń użytkowników sąsiedzkich centrów. Są to doświadczenia wewnątrz galerii handlowych, w których mieszkańcy są klientami, a nie współgospodarzami. Są to doświadczenia szoferki prywatnego samochodu bę-

dącego komercyjnym produktem i symbolem statusu. Są to doświadczenia multimedialnych i serwisów społecznościowych. Są to wreszcie doświadczenia drogi, na której im mniej innych użytkowników, tym lepiej. Dla osoby, która większość czasu spędza poza przestrzenią publiczną, publiczne wspólne dobro staje się abstrakcją, ponieważ nie zabiegamy o to, czego nie czujemy, co nie jest częścią naszych zmysłowych doświadczeń. W przestrzeni wartości komercyjno-prywatnych nie ma zaś zbyt wielu punktów zaczepienia do tworzenia więzi, wspólnego myślenia, empatii.

Wywołuje to głębokie mentalne zmiany w postrzeganiu przestrzennych relacji z innymi ludźmi. Brak bliskości fizycznej przekłada się na zanik poczucia bliskości psychicznej, aksjologicznej i symbolicznej. Synonimem lokalności staje się obrona własnego terytorium przed „obcymi”. Służą temu szlabany u wjazdów na parkingi i tabliczki

Dla osoby, która większość czasu spędza poza przestrzenią publiczną, publiczne wspólne dobro staje się abstrakcją. W przestrzeni wartości komercyjno-prywatnych nie ma bowiem zbyt wielu punktów zaczepienia do tworzenia więzi, wspólnego myślenia, empatii.

informujące, że z danego placu zabaw mogą korzystać tylko mieszkańcy określonych budynków. Zasada eksterytorialności zaczyna być stosowana wobec nawet sąsiadujących ze sobą budynków, które odgradzają się od innych płotami,

co byłoby nie do pomyślenia na starszych osiedlach projektowanych jako przestrzeń wspólne. Grodzenie staje się modnym, choć absurdalnym synonimem bezpieczeństwa. Pojawia się nawet coś w rodzaju ogrodzeniowej „insepacji”, kiedy czymś oczywistym staje się ogrodzenie placu zabaw na ogrodzonym już terenie. Przestrzeń publiczna staje się potencjalnie niebezpiecznym „zewnętrzem”, przestrzenią kosmiczną.

Zdrowe proporcje

Lokalność nie jest oczywiście bożkiem i celem samym w sobie, ani też jej erozja nie bywa całkowita na dużych obszarach. Dlatego też zawsze można wskazać przykłady, że lokalność ma się dobrze, a z drugiej strony, że jeśli nawet jest w zaniku, to mamy w zamian wiele innych korzyści – tworzą się znajomości ponadlokalne, łatwo dojechać do lasu i multipleksu, aktywizują się ruchy miejskie na rzecz rozwoju infrastruktury rowerowej i pieszej. Ktoś mógłby powiedzieć, że w rezultacie miasta nie są gorsze, tylko inne.

Z drugiej jednak strony wyludniają się centra, bo tam nawet „nie ma gdzie zaparkować”, a cen mieszkań nie rekompensują walory otoczenia. Dzieci tracą znajomych z podwórka i większość czasu przesiadują przed ekranami, bez których nie potrafią się już skupić ani bawić. Spirala rozwoju samochodowego po prostu zatyka miasta, które przecież nie są z gumy. Zaniedbuje się wydatki na inne cele

poza drogowymi. Rośnie skażenie hałasem, wszechobecnym ruchem i zanieczyszczenie powietrza. Coś się jednak trwale zmienia na gorsze, i to na całe pokolenia. Nie chodzi o stosowanie

zasady albo-albo – albo lokalność, albo mobilność. Chodzi o zdrowe proporcje; o to, aby oparta na bliskości lokalność była podstawową „komórką” relacji ludzie – przestrzeń wszędzie, gdzie to możliwe.

To się nawet da obliczyć, tak jak oblicza się ekonomiczną wydolność okolicy do utrzymania kolejnej galerii handlowej. Można stworzyć model współczesnego osiedla połączonego przestrzeniami pieszymi, spełniającymi warunki wygodnego dostępu do miejsc wypoczynku oraz kompleksowego zestawu handlu i usług, które się utrzymują dzięki stałemu „zapyłaniu” przez rój klientów otrzymujących w zamian takie korzyści, jak oszczędności czasu czy pieniędzy i normalne życie społeczne.

Nie chodzi o stosowanie zasady albo-albo – albo lokalność, albo mobilność. Chodzi o zdrowe proporcje; o to, aby oparta na bliskości lokalność była podstawową „komórką” relacji ludzie – przestrzeń wszędzie, gdzie to możliwe.

Rój wirtualny substytutem naturalnego?

Do osiągnięcia takiej zmiany potrzebny jest społeczny lobbing społeczności lokalnych dojrzałych w tym sensie, żeby umiały świadomie docenić, a nawet celebrować swoją lokalność. Ta dojrzałość musi przenikać lokalne władze i urzędowych decydentów, aby umiały zachować posiadaną już lokalność, przywrócić ją tam, gdzie to możliwe i mądrze otwierać się na mobilność, inwestycje, ponadlokalny świat. Niewątpliwie jest to trudne w kraju, gdzie własny samochód to swoboda i życiowe osiągnięcie, mieszkanie za drutami i szlabanem to prestiż, komunikacja publiczna to „socjal”, a człowiek na rowerze jest przez niektórych nazywany „lewakiem”.

Jesteśmy obecnie mieszaniną starych, mądrych pszczoł i postmodernistycznych czcicieli dróg, których charakteryzuje bardzo nieuporządkowany i niedojrzały stosunek do tradycyjnych wartości. Mamy jednak wciąż rozpoznawalny etos „małych ojczyzn” i patriotyzmu lokalnego. Istnieje też poczucie więzi niezwiązane z fizycznym dystansem, które napędza wielu mieszkańców lokalnych ośrodków potrafiących komunikować się za pomocą nowych mediów i świadomie pomagających sobie w celu restauracji poczucia dobra wspólnego, niezależnie od dosłownej bliskości. W takich społecznościach ludzie potrafią uzgadniać cele i metody działania w wirtualnej przestrzeni maili, postów, telefonów, spotkań i smsów, która buduje niewidzialne połączenia neuronowe, jednocząc potencjał dobrej woli rozproszony po osiedlach i dzielnicach. To jest prawdziwie dojrzała mądrość roju, ponieważ potrafi dojrzeć korzyści z bycia rojem nawet tam, gdzie nie ma ula, łąki i królowej.

**Drogi budowy dojrzałej
wspólnoty narodowej**



ANDRZEJ NOWAK

prof. dr hab., historyk, sowietolog, członek Narodowej Rady Rozwoju. Wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Profesor zwyczajny w Instytucie Historii PAN, były redaktor naczelny dwumiesięcznika „Arcana”. Autor licznych publikacji, w tym wielu książek.

Polska jest naszym wspólnym dziedzictwem

Zamiast koncentrować się na budowie wspólnoty Polaków, wielu z nas funkcjonuje w swoich podwspólnotach. Każda z nich ma własną gazetę, telewizję oraz portale internetowe. Ze swoimi pobratymcami rozumiemy się w pół słowa, a kto nie z nami, ten przeciwko nam. Wiemy doskonale, co dla Polski jest najlepsze, będąc głuchymi na opinie innych. Tymczasem Polska nie jest czyjąś własnością – nie ma właściciela Polski i nikt nie mówi w jej imieniu. Jest ona dziedzictwem, które dostaliśmy od tych, którzy byli tu przed nami. To, co pozostawimy po sobie przyszłym pokoleniom, zależy tylko i wyłącznie od nas. Będzie to w dużej mierze wynikało z używanego przez nas języka. Czy nadal będziemy go nasączać złymi emocjami oraz pogardą dla drugiej strony? Czy nie boimy się, że różnica między nami doprowadzi kiedyś do przejścia od złych słów do złych czynów?

Tekst przemówienia wygłoszonego podczas XI Kongresu Obywatelskiego, 5 listopada 2016 r.

To, jak budować wspólnotę Polaków, jest dziś tematem niezwykle palącym. Niewiele jest w Polsce miejsc, w których wspólnota ponad podziałami jeszcze istnieje. Przeciwnie – sami siebie zamykamy w grupach integracji, podwspólnotach, tworzymy coś na wzór gett. Jedno getto czyta jedną gazetę, drugie inną. Jedno getto ma jeden portal, drugie inny. Jedno getto ma jedną telewizję, drugie inną.

To, co zmieniło się w stosunku do sytuacji sprzed 20 lat, to to, że można dziś doskonale funkcjonować w swoim getcie, mając do czynienia ze stereotypowym, wrogim oczywiście obrazem drugiego getta. Satisfakcjonuje nas to. W takich warunkach język wspólnoty jest nam do niczego niepotrzebny – tworzymy przecież

podwspólnotę, w której rozumiemy się świetnie w pół słowa. Wiemy, że ci drudzy są paskudni, gorsi od nas i nie ma co się trudzić rozmową z nimi.

Paradoksalnie w sukurs tej przykłej sytuacji przyszła nowoczesność. Dwie dekady temu w telewizji było raptem kilka programów publicystyczno-informacyjnych, które oglądaliśmy wszyscy, niezależnie od opcji politycznej. Odnosiliśmy się do nich krytycznie, ale tworzyło to jeden kanon. Teraz to się zmieniło i choć pluralistyczne media zapewniają nam różnorodność opinii, to rodzą też niebezpieczeństwo zamykania nas, izolowania w pewnych wewnętrznych wspólnotach, które nie są tożsame z budowaną na tej ziemi od kilkudziesięciu pokoleń wspólnotą Polaków. Cóż zatem zrobić, aby spróbować zasypać przepaść, którą sami sobie wykopaliśmy?

Postawiłbym co najmniej kilka warunków. Pierwszym z nich jest przyjęcie do wiadomości, że Polska nie jest niczyją własnością. Nie ma właściciela Polski i nikt nie mówi w jej imieniu. Żadna partia, żadna gazeta ani żadna telewizja. Polska jest bowiem dziedzictwem. A my możemy się okazać godni tego dziedzictwa, jeżeli uznamy je za pewne zadanie oraz przystaniemy na to, że inni nasi rodacy są takimi samymi jak my dziedzicami i także mogą się tego zadania godnie podjąć.

Po drugie, skoro Polska jest dziedzictwem, to znaczy, że była budowana historycznie przez wiele, wiele pokoleń. Dostaliśmy ją w powiernictwo od tych, którzy

Polska nie jest niczyją własnością. Nie ma właściciela Polski i nikt nie mówi w jej imieniu. Żadna partia, żadna gazeta ani żadna telewizja. Polska jest dziedzictwem, o które powinniśmy dbać my wszyscy.

byli przed nami, a teraz nasza kolej na dołożenie swojej cegiełki. Pamiętajmy przy tym, że właściciel posiadający pełnię praw właścicielskich może robić, co chce – to zbudować i napra-

wić, to wyrzucić i podeptać. Dziedzic tak postępować nie może, bo ma świadomość, że to, co ma, dostał w spadku po rodzicach, dziadkach i wielu pokoleniach wstecz. Rozumie, że jego przodkowie wykonali wielką pracę, którą on powinien kontynuować i przekazać później dalej.

Po trzecie, jeśli mamy nasze zadanie związane z dziedzictwem Polski dobrze realizować, powinniśmy być świadomi pewnej istotnej zasady obowiązującej w republikach: *Tantum intende in Republica, quantum tuis civibus probavi possis* – „Tyle zamierzaj w Rzeczypospolitej, ile swoich obywateli możesz przekonać”. Oznacza to nie więcej niż tyle, że przemocą, lekceważeniem, podejściem „państwo jest moje, więc mogę zrobić z nim wszystko, co chcę” niczego nie osiągniemy. Może-my zrobić tylko tyle, do czego uda nam się przekonać pozostałych obywateli.

Nie zdołamy tego uczynić bez odpowiedzialnego używania języka. W trakcie rozmów nigdy nikogo osobiście nie obrażamy, nie uderzamy w jego godność.

Wszak walczymy o sprawę, a nie z ludźmi. Tę rzecz czasem bardzo trudno jest nam rozróżnić. Warto o tym pamiętać – ten drugi człowiek, z którym się spotykamy, ma swoją osobistą godność. Jeżeli atakuję go, bądź też jego godność, to niszczę możliwość porozumienia. To, o co walczę, na pewno na tym nie zyska.

Podejmując rozmowę, pamiętajmy też o własnych ograniczeniach. Nie lubimy mówić o własnych błędach, wolimy przywoływać cudze. Dlatego jeśli przyznajemy się do słabości albo dopuszczamy

ich możliwość, mówmy o nich zawsze w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Nigdy *my*, ani *wy* – tylko *co ja* zrobiłem źle. W innym wypadku

może to zabrzmieć nieautentyczne. Bo gdy ktoś powie: „My, Polacy, robimy okropne rzeczy”, to czy będzie mówił też o sobie? Czy będzie mówił o swoim obozie, czy o tym drugim? A może o obydwu? Takie niedopowiedzenia mogą przynieść skutki odmienne od zamierzonych.

Sądzę, że niezwykle istotną rzeczą, jaką moglibyśmy wprowadzić do naszej komunikacji, jest też chińska zasada nazywana „złotym mostem”. Daje ona możliwość wycofania się. Jeżeli nasz rozmówca jest tak mocno przyparty do muru, że by ochronić swoją godność, będzie musiał brnąć w swoim przekonaniu do końca i prędzej zginie, niż przyzna nam rację, to nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Zostawmy sobie złoty most do wycofania się. Wielu ludzi całkowicie zainwestowało swoją tożsamość w sprawę np. sporu o Smoleńsk. I to po obu stronach. Jeżeli nie przywrócimy im możliwości wycofania się ze swoich sądów, które na pewno po jednej, a być może i po obu stronach będą błędne, to ta trudna sprawa będzie nas dzieliła jeszcze bardziej.

Ostatnia wreszcie rzecz – pisząc jedną ze swoich książek, zainspirowałem się postacią Arthura Balfoura, który sprawował wszystkie najważniejsze funkcje w Imperium Brytyjskim przez ponad pół wieku. W młodości, w wieku 20-kilku lat stracił on swoją narzeczoną. Tej straty nie przeboleał nigdy. I z tej perspektywy całe swoje życie polityczne oceniał następującymi słowami: „Nic [w tej dziedzinie] nie ma wielkiego znaczenia, większość spraw – żadnego” (*Nothing matters very much, most of things – not at all*). Mój wniosek jest następujący: gdy angażujemy się w różne sprawy, starajmy się hamować nasze emocje. Istnieją sprawy życia i śmierci znacznie ważniejsze od tego, co nas tak emocjonuje w politycznych doniesieniach.

Ten drugi człowiek, z którym się spotykamy, ma swoją osobistą godność. Jeżeli atakuję go, bądź też jego godność, to niszczę możliwość porozumienia. To, o co walczę, na pewno na tym nie zyska.

Polska to tak naprawdę wcale nie tylko dwa skłócone ze sobą plemiona. Oprócz nich jest jeszcze trzecia, największa grupa: ci, którzy z rosnącym niesmakiem patrzą na tę zabawę w piaskownicy, sypanie sobie piaskiem po oczach. Zniechęceni tym obrazem stoją z boku i przestają się tą piaskownicą – czyli Polską – interesować.

Oprócz wszystkich wymienionych wyżej warunków mogących poprawić komunikację między Polakami wspomnę jeszcze o jednej rzeczy. Dobrze, byśmy byli świadomi, że Polska to tak naprawdę wcale nie tylko dwa skłócone ze sobą plemiona. Obok tych dwóch zantagonizowanych grup jest jeszcze trzecia, największa: ci, którzy z rosnącym niesmakiem patrzą na tę zabawę w piaskownicy, na sypanie sobie piaskiem po oczach. Zniechęceni tym obrazem stają z boku i przestają się tą piaskownicą – czyli Polską – interesować. „Skoro tak się o nią kłóć, tak wojują, to my staniemy z boku, wyjedziemy i będzie spokojniej, lepiej” – myślą sobie. To są właśnie najbardziej przykre konsekwencje polskiego sporu między gettami.

Dobrze, by różnica między nimi nie doprowadziła nas któregoś dnia do zła większego – do przejścia od złych słów do złych czynów. Czy nie lepiej jednak zawczasu ugryźć się w język?



MICHAŁ ŁUCZEWSKI

zastępca dyrektora Centrum Myśli Jana Pawła II. Doktor socjologii, psycholog, metodolog. Pracuje również jako adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Redaktor naczelny pisma antydyscyplinarnego „Stan Rzeczy” i członek zespołu redakcyjnego „44/Czterdzieści i Cztery”. Stypendysta m.in. Collegium Invisibile, Fundacji im. W. Fulbrighta na Columbia University (2005–2006) i Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Autor kilku książek oraz wielu publikacji w najlepszych polskich pismach socjologicznych, historycznych i antropologicznych.

Wojtyła – Gombrowicz: dwa oblicza dojrzałości

Kwestia dojrzałości – dotycząca nas jako ludzi i nas jako członków polskiej wspólnoty – połączyła ze sobą Polaków tak różnych, jak Karol Wojtyła i Witold Gombrowicz. Każdy z nich traktował i siebie, i polskość poważnie. Każdy z nich poszukiwał jakiejś miary. Każdy z nich myślał o dojrzałości do samego końca, dochodząc do spraw ducha. W głębokim sensie to różnice poglądów między nimi, odnoszące się do tego, czym jest dojrzałość, zdefiniowały kształt polskości w XX wieku.

O siemnastka minęła już dawno, a zaraz III Rzeczpospolita skończy dwadzieścia osiem lat. Czas więc najwyższy pomyśleć o dojrzałości. Ale nie tak, jak robiliśmy to w przeszłości, opisując z pozycji dojrzałych elit niedojrzałe masy („Polacy nie dojrżeli do demokracji”), lecz po to, żebyśmy niedojrzałość rozpoznali w sobie samych.

Kiedy myślimy o sobie w perspektywie dojrzałości, zaczynamy przykładać do siebie jakąś miarę. To znaczy: zaczynamy traktować siebie poważnie. Nie jest przypadkiem, że właśnie kwestia dojrzałości – dotycząca nas jako ludzi i nas jako członków polskiej wspólnoty – połączyła ze sobą Polaków tak różnych, jak Witold Gombrowicz i Karol Wojtyła. Każdy z nich traktował i siebie, i polskość poważnie. Każdy z nich poszukiwał jakiejś miary. Każdy z nich myślał o dojrzałości do samego końca, dochodząc do spraw ducha. Choć niekiedy przeciwstawia się Gombrowicza kardynałowi Wyszyńskiemu, właściwym partnerem dla niego jest Karol Wojtyła. W głębokim sensie bowiem to różnice poglądów

Gombrowicz pozwala nam zrozumieć, że jesteśmy niedojrzali, Wojtyła – pokazuje sposób na wyjście z niedojrzałości.

właśnie między nimi, odnoszące się do tego, czym jest dojrzałość, zdefiniowały kształt polskości w XX wieku.

Jeśli miałbym krótko określić podstawową różnicę między Gombrowiczem a Wojtyłą, polegałaby ona na tym: Gombrowicz pozwala nam zrozumieć, że jesteśmy niedojrzali, Wojtyła – pokazuje sposób na wyjście z niedojrzałości.

Gombrowiczowska świadomość niedojrzałości

Witold Gombrowicz był świadom wszystkich gier, do jakich może nam służyć wezwanie do dojrzałości. Nie tylko był ich świadom – on je namiętnie praktykował. Na tym polegało jego podstawowe zamierzenie pisarskie: wybić się na dojrzałość pośród niedojrzałych współobywateli, więcej – przeciw niedojrzalej idei narodu. „Dążyłem do tego – pisał w *Dzienniku* – żeby Polak mógł z dumą powiedzieć: należę do narodu podrzędnego. Z dumą. Albowiem, jak łatwo zauważycie, takie powiedzenie tyleż poniża, co wywyższa. Ono degraduje mnie w moim charakterze członka zbiorowości, ale zarazem osobiście wywyższa mnie ponad zbiorowość: oto nie dałem się oszukać: jestem zdolny osądzić własne umieszczenie w świecie; umiem zdać sobie sprawę z mojej sytuacji; jestem przeto człowiekiem pełnowartościowym”. Krótko mówiąc, im bardziej Gombrowicz podkreślał, że Polacy są niedojrzali, tym bardziej utwierdzał swoją pozycję jako dojrzałego arbitra.

Tę samą strategię Gombrowicz proponował Polakom. Im bardziej jako wspólnota będziemy świadomi własnej niedojrzałości, tym bardziej wydawać się będziemy dojrzały. Przekucie naszego zapóźnienia, marginalizacji i słabości w atut miało

Zdaniem Gombrowicza – im bardziej jako wspólnota będziemy świadomi własnej niedojrzałości, tym bardziej wydawać się będziemy dojrzały.

nawet dać nam przewagę nad wiecznie umykającym Zachodem: „Objawiło mi się paradoksalnie, że jedyny sposób, w jaki ja, Polak, mogłem stać się zjawiskiem pełnowartościowym

w kulturze, był ten: nie ukrywać mojej niedojrzałości, ale przyznać się do niej: i z tygrysa dotychczas pożerającego mnie uczynić rumaka, którego dosiadłszy mógłbym nawet dalej zajechać niż tamci, zachodni ludzie, określani. Cóż to znaczyło? Należało po prostu postawić wszystko do góry nogami, poczynawszy od samych Polaków. Z Polaka dumnego z siebie, pysznącego się sobą, zakochanego w sobie, uczynić istotę jak najostrzej świadomą swej niedostateczności i tymczasowości – i tę ostrość widzenia, bezwzględność w nieukrywaniu słabości, uczynić siłą”.

Wielkość Gombrowicza była zarazem jego słabością. Wiedział, że nieustannie gramy i znał wszystkie reguły gier między ludźmi, ale jednej grze potrafił przeciw-

stawić tylko inną grę. Cały czas grając, nie potrafił wyjść poza samą grę. Nawet tej swojej słabości Gombrowicz był w pełni świadomy: „Biorę się za łby z narodem, tak jak z każdym innym zjawiskiem, które mi dojrzałość utrudnia lub uniemożliwia; co jednak nie znaczy, abym był dojrzałszy od moich rodaków, ja tylko jestem bardziej świadomy swej niedojrzałości i to pozwala mi uzyskać dystans”. Gombrowicz wiedział więc bardzo dobrze, że świadomość gry nie czyni go kimś bardziej dojrzałym, lecz jedynie kimś bardziej refleksyjnym. W ostatecznym rachunku nie umiał się z niedojrzałości wydobyć, stopniowo się z nią godził, a na samym końcu ogłaszał się kapłanem niedojrzałości: „niedojrzałość zachwyca mnie i urzeka, i wypełnia rozkoszą. Albowiem jestem zarazem dojrzałą Niedojrzałością i niedojrzałą Dojrzałością...”. To dlatego przeciw dojrzałej Ojczyźnie Gombrowicz głosił niedojrzałą synchronę.

Remedium – bunt czy resentyment?

Wojtyła rozpoczynał tam, gdzie Gombrowicz nas zostawiał. Gombrowicz konfrontował nas z paradoksami, Wojtyła chciał poza te paradoksy wyjść. Łączyło ich obu przeświadczenie, że Polska jest słaba i niedojrzała. A także przekonanie, że moc może się doskonalić w słabości. Podobnie jak Gombrowicz, Wojtyła był bezlitosny wobec ojców, którzy utracili skarb: państwo, naród, a nawet mowę. Poemat *Mysząc Ojczyzna* – wbrew jego szkolnej lekturze – nie jest wcale egzaltowaną pochwałą Polski, jest przede wszystkim żałobą po utraconej wielkości i medytacją nad naszym upadkiem: „Poza mową otwiera się przepaść. Czy jest to niewiadoma słabości, jakiej doświadczyliśmy w ojcach naszych i dziedziczymy w sobie?”. Język polski – ten piękny język, którego Wojtyła był mistrzem – w jego własnej perspektywie stanowił symbol narodowej słabości: „Gdy dokoła mówią językami – pisał – dźwięczy pośród nich jeden: nasz własny. / Zagłębia się w myśli pokoleń i ziemię naszą opływa i staje się dachem domu, w którym jesteśmy razem / – poza nim dźwięczy rzadko – / (w grupach ludzi, którzy mówią wokoło, jakby wyspy opłynięte oceanem powszechnej ludzkiej mowy, nie znajduję własnej fali) – / nie rozszerzyły się zasoby mej ziemi, jeśli nawet odpłynęła mowa, to żeby zanikać powoli / w wysychających łożyskach / – nie podjęły mowy moich ojców języki narodów, tłumacząc «za trudno» lub «zbędna» – / na wielkim zgromadzeniu ludów mówimy nie swoim językiem. / Język własny zamyka nas w sobie: zawiera a nie otwiera”.

Dotąd – poza stylem – niewiele Wojtyłę od Gombrowicza różni. Na poziomie diagnozy pozostają sobie bardzo bliscy. Ich drogi rozchodzą się dopiero tam, gdzie obaj zaczynają szukać remedium. Różnicę między nimi można ująć w Camusow-

skich kategoriach buntu i urazy albo raczej: resentymentu – to pojęcie Camus zaczerpnął od Maxa Schelera. W buncie nie zgadzamy się ze stanem rzeczy ze względu na wartości, a w resentymentcie nie zgadzamy się na wartości ze względu na stan rzeczy. W pierwszym wypadku miarą są same wartości, w drugim – inni ludzie. W pierwszym – wyznajemy wartości ze względu na nie same, bo tak trzeba, bo taki jest obowiązek, bo narzucają nam taką miarę, w drugim – wyznajemy wartości, bo ktoś inny je wyznaje bądź zwalcza. Nie są one dla nas ważne same przez się, ale dlatego, że inni mają do nich taki, a nie inny stosunek. Według Camusa, droga buntu jest pozytywna, wiedzie do osiągnięcia integralności człowieka i międzyludzkiej solidarności, droga urazy ma z kolei charakter negatywny i prowadzi do dezintegracji: i wspólnoty, i człowieka.

Wydaje mi się, że droga buntu była bliższa Wojtyłcie, a droga resentymentu – Gombrowiczowi. Gombrowicz głosił dojrzałość nie dlatego, że dojrzałość jest ważna sama przez się, ale dlatego, że chciał się wybić ponad niedojrzałą masę. Co więcej, on mógł być tak długo dojrzały, jak długo inni pozostawali niedojrzali. Jego twórczość polegała na nieustannej zamianie miejsc. To, co niższe, próbował przekuć na to, co wyższe; synchryzę i niedojrzałość przedstawić jako prawdziwą Ojczyznę i prawdziwą dojrzałość; czy też mówiąc jego własnymi słowami – uczynić z pożerającego

W buncie nie zgadzamy się ze stanem rzeczy ze względu na wartości, a w resentymentcie nie zgadzamy się na wartości ze względu na stan rzeczy. W pierwszym wypadku miarą są same wartości, w drugim – inni ludzie.

tygrysa rumaka i postawić wszystko do góry nogami. Ale w rumaku cały czas ukryty był pożerający tygrys resentymentu. Nawet gdy niższe przekujemy w wyższe, to wyższe nadal definiowa-

ne jest przez stosunek do niższego, a nie do obiektywnych wartości. Prowadziło to – zgodnie z diagnozą Camusa – do tego, że Gombrowicz nie był w stanie budować trwałych więzów. Jego świat nie jest światem solidarności, ale nieustannej walki między ludźmi. Jeśli solidarność się w nim pojawia, to tylko poprzez wykluczenie i przemoc. Wywyższanie następuje zawsze kosztem innych. Kiedy nawet Gombrowicz dostrzegał więzy łączące go ze współobywatelami, to tylko po to, żeby od razu zaznaczyć wobec nich dystans, żeby pokazać, że on widzi coś, czego oni nie widzą. W konsekwencji nie potrafił przejść z poziomu intelektualnych gier na poziom czynów. A poziom czynu jest najlepszym sprawdzianem naszej wewnętrznej integralności. Jak na romantyka przystało – pozostawał na poziomie słowa.

Wojtyła podążał inną drogą: drogą buntu albo – jak wołał mówić – sprzeciwu. Brało się to również stąd, że bardzo wcześnie zrozumiał istotę resentymentu, to, że resentyment zatruwa nasze człowieczeństwo, że staje się pożerającym nas od wnętrza tygrysem. Resentyment posiada – pisał, powołując się na Maxa Schelera,

któremu poświęcił swoją habilitację – „znamienne cechy tej kardynalnej wady, jaką jest lenistwo. Św. Tomasz określa lenistwo (acedia) jako «smutek płynący stąd, że dobro, jest trudne». Sam smutek jeszcze nie fałszuje dobra, a nawet pośrednio podtrzymuje on w duszy uznanie dla jego wartości. Resentyment idzie jednak dalej: nie tylko fałszuje obraz dobra, ale deprecjonuje to, co powinno zasługiwać na uznanie, aby człowiek nie musiał z trudem podciągać siebie do prawdziwego dobra, ale mógł «bezpiecznie» uznawać za dobro to tylko, co jemu odpowiada, co dla niego wygodne”. Dla Wojtyły dobro nigdy nie było za trudne. Nic dziwnego, że podobnie jak Camus odkrywał solidarność i sprzeciw nie jako grę, ale jako postawy autentyczne. To dlatego wcześniej odkrył wartość integralnego człowieczeństwa w swoich pismach – i w całym swoim życiu.

Wojtyła podążał drogą buntu albo – jak wolał mówić – sprzeciwu. Brało się to również stąd, że bardzo wcześnie zrozumiał istotę resentymentu, to, że resentyment zatruwa nasze człowieczeństwo, że staje się pożerającym nas od wnętrza tygrysem.

Wojtyła poszukiwanie Ojczyzny

W przeciwieństwie do Gombrowicza Wojtyła nie musiał ograniczać się do słowa, ale słowo u niego stawało się ciałem i prowadziło do czynu. W czynie nie mogą zadowalać nas już retoryczne szarże i przewrotne sylogizmy. W czynie musimy realizować samych siebie. Recepta Wojtyły – syna polskiej ziemi – nie polegała więc na zamianie niższego w wyższe, przestawieniu wszystkiego do góry nogami, zastępowaniu Ojczyzny synczyzną, ale na odkryciu tego przede wszystkim, czym powinna być Ojczyzna. Wojtyła poszukiwał Ojczyzny idealnej, która byłaby miarą dla Polski – ojczyzny realnej. Taką miarą była właśnie dojrzałość definiowana w sposób absolutny, a nie relacyjny: „Dojrzałością samostanowienia osądzamy młodość naszą, czasy rozbitcia i złoty wiek”. Tak pojęta dojrzałość wcale nie oddziela nas od ojców, nie buduje między nami sztucznego dystansu. Nie wywyższa jednych kosztem innych. Po ojcach dziedziczymy słabości, ale też siłę. Nie odcinając się od nich, ale ucząc się z ich błędów i z ich przykładów, możemy stać się na powrót silni: „Tak zwarci wśród siebie jedną mową, istniejemy w głąb własnych korzeni, czekając na owoc dojrzewania i przesilenia. (...) Promień światła niechaj pada w serca i przeświecła mroki pokoleń. Strumień mocy niech / przenika słabości. / Nie możemy godzić się na słabość. / Słaby jest lud, jeśli godzi się ze swoją klęską, gdy zapomina, że został posłany, by czuwać / aż przyjdzie jego godzina. (...) Godziny przechodzą w psalm nieustających nawróceń”.

Drogi Wojtyły i Gombrowicza ostatecznie tutaj się rozdzielają. Pomijając patos słów przyszłego papieża, który byłby nie do zaakceptowania dla autora *Dzienni-*

ka („gdy człowiek pisze o ojczyźnie, skręca mu się styl”), nie do zaakceptowania byłaby przede wszystkim sugestia, że możliwe jest jakieś nawrócenie. Nawracać można się jedynie ku czemuś, a Gombrowicz nie wiedziałby – ku czemu właści-

Recepta Wojtyły – w przeciwieństwie do Gombrowicza – nie polegała na zamianie niższego w wyższe, przedstawieniu wszystkiego do góry nogami, zastępowaniu Ojczyzny syncryczną, ale na odkryciu tego przede wszystkim, czym powinna być Ojczyzna.

wie. W jego świecie można było się odwracać i przewracać – ale nie nawracać. Pojęcie nawrócenia zakłada bowiem na samym końcu coś, co nas przekracza, coś, co wykracza poza samo społeczeństwo. Dla Wojtyły

taką rzeczywistością był Kościół i Bóg, dla Gombrowicza Kościół mógł być tylko międzyludzki, Bóg zaś to wytwór człowieka, boskość „wstaje z samych ludzi, a nie zstępuje z nieba”.

Śmierć sprawdzianem dojrzałości

Gombrowicz był wielkim pisarzem, gdyż wiedział, jakie są koszty odrzucenia Boga. To zgoda na świat takim, jakim jest, na „opętanie człowieka człowiekiem”, a nawet – na opętanie po prostu.

„Ja bardzo boję się diabła – pisał. – Dziwne wyznanie na ustach niedowiarka. Od idei diabła nie jestem w stanie się uwolnić... To błąkanie się straszności w najbardziej bezpośrednim moim pobliżu... Cóż z policji, z praw, ze wszystkich zabezpieczeń i środków ostrożności, jeśli Potwór przechadza się wśród nas swobodnie i nic nas przed nim nie chroni, nic, nic, żadnej zapory między nim a nami. Ręka jego wśród nas swobodna, jak najswobodniejsza! Cóż oddziela błogostan spacerowicza od podziemia rozwrzeszczanego głosem udręczonych – co? Nic zupełnie, przestrzeń tylko, pusta... Ta ziemia, po której stąpamy, tak pokryta jest bólem, brodzimy w nim po kolana – i jest to ból dzisiejszy, wczorajszy, przedwczorajszy, oraz sprzed tysiącleci – albowiem nie trzeba się łudzić, ból nie rozplywa się w czasie i krzyk dziecka sprzed trzydziestu wieków nie jest ani trochę mniej krzykiem od tego, który trzy dni temu się rozlegał. Jest to ból wszystkich pokoleń i wszystkich istnień – nie tylko człowieka. I wreszcie... ależ kto wam powiedział, że śmierć może wam przynieść, wyzwalając z tego świata, jakieś ukojenie? «A jeśli ,tam’ są tylko pająki?» A jeśli tam jest ból, przekraczający nieskończenie wszystko, co możemy sobie wyobrazić? Nie drżysz zaledwie przed tą chwilą, gdyż oddajesz się złudnej pewności, że za tą ścianą nie może cię spotkać nic co by było zupełnie nie-ludzkim – skąd ta pewność? Co cię do niej upoważnia? Czyż w łonie tego, nawet naszego, świata nie zawiera się jakaś zasada piekielna, niedostępna człowiekowi,

nie do ogarnięcia ani rozumem ludzkim, ani uczuciem? Gdzież więc gwarancja, że tamten świat ma być bardziej ludzki? A może jest on niehumanizacją samą, zaprzeczeniem zupełnym naszej natury?”.

W obliczu śmierci, która jest ostatecznym sprawdzianem naszego życia i naszej dojrzałości, Gombrowicz zaczynał się bać. Wszystkie jego gry ulegały pierwotnemu strachowi przed diabłem, bólem i pajakami. Wojtyła nie lękał się. W swoim *Rozważaniu o śmierci* dawał wyraz nadziei i pokazywał, czym jest dojrzałość, która przechodzi przez próg śmierci:

*Dojrzałość, zstępowanie do ukrytego rdzenia,
opadają warstwy wyobraźni jakby liście zawarte w pniu,
wyciszają się takie komórki, którymi wrażliwość jeszcze się rozbudza,
a ciało własną swoją pełnią dosięga brzegów jesieni –
dojrzałość, przybliżenie powierzchni do dna,
dojrzałość, przenikanie głębi,
dusza bardziej pojednana z ciałem,
bardziej śmierci przeciwna,
niespokojna o zmartwychwstanie.
Dojrzałość do trudnych spotkań.*



MARCIN KRÓL

filozof, historyk idei, profesor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki, publicysta. Wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Twórca i wieloletni redaktor naczelny pisma „Res Publica Nowa”. Członek Collegium Invisibile, przewodniczący Rady Fundacji im. Stefana Batorego, autor wielu książek, artykułów, tłumaczeń i esejów.

Więcej ducha i wspólnotowości – sięgnijmy po zasoby ideowe romantyzmu

Romantyzm ma w Polsce złą opinię. Przyczynili się do tego zarówno politycy, którzy przeciwstawiają go liberalizmowi, racjonalizmowi czy pragmatyzmowi, jak i niektórzy kontynuatorzy romantyzmu, którzy widzą w nim tylko okazję do obchodzenia rzekomo patriotycznych rocznic. Dla Polski jednak romantyzm i jego tradycja są znacznie ważniejsze, niż zwykle się sądzić. Mogą być one kluczem do odbudowania wspólnoty Polaków w XXI wieku.

Polska kultura wysoka nigdy – przedtem ani potem – nie była tak blisko poziomowi światowemu, jak w okresie romantyzmu. Tylko wówczas polscy pisarze stali na równi z najlepszymi w Europie, a często nawet ich przewyższali. Romantyzm był dziełem talentu, ale także wynikiem specyficznego sposobu myślenia o świecie – przekonania, że siła płynie z ducha i słowa, a nie tylko z rzeczy. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że romantycy mieli rację. W gruncie rzeczy wszyscy się z tym zgadzamy, tylko obawiamy się to głośno powiedzieć. Obawiamy się lub na miejsce ducha podstawiamy jego słabe surogaty, jak psychika, osobowość, tożsamość czy ego.

Romantyzm vs. liberalizm – sztuczny spór

Warto sobie uświadomić, że – wbrew obiegowej opinii – romantyzm nie był nigdy przeciwnikiem liberalizmu. Pierwszy wielki europejski liberał, Benjamin Constant, napisał nawet dwie świetne powieści romantyczne. Choć na świecie, również i w Polsce, wspólny rodowód romantyzmu i liberalizmu jest od pewnego czasu zauważany, to pogląd ten nie dotarł jednak do świadomości większości naszych rodaków, a tym bardziej polityków.

Pokrewieństwo naszego rodowodu romantycznego oraz liberalnego wynika z subiektywizacji jednostki. Z nieznanego przedtem przekonania, że każdy z nas jest istotą osobną, odmiennie postrzegającą świat. Czyli, inaczej mówiąc, z pluralizmu, którego nikt już potem, mimo wielu wysiłków, nie zdołał z kultury europejskiej usunąć.

Liberalizm przynosi nam wolność od jakiejkolwiek zewnętrznej przemocy, natomiast romantyzm wskazuje, że kraina wolności jest zawsze tylko nasza, wyjątkowa, subiektywna. Zarysowuje się tu nie tyle podobieństwo, ile równoległe zmierzanie w kierunku wyzwolenia człowieka.

Równie istotne są jednak różnice pomiędzy liberalizmem a romantyzmem. Podstawowa dotyczy pojęcia wspólnoty. Dla romantyków jest ono centralne, dla liberałów – drugorzędne i podejrzane. Oczywiście, romantyczna wspólnota to wspólnota ducha, nie wspólnota polityczna, ale czy słuszny jest argument liberałów, że można mieć wspólnotę polityczną bez wspólnoty ducha? W moim przekonaniu nie. Jednak liberałowie są wyczuleni na wszelkie próby wprowadzenia

Pokrewieństwo naszego rodowodu romantycznego oraz liberalnego wynika z subiektywizacji jednostki. Z nieznanego przedtem przekonania, że każdy z nas jest istotą osobną, odmiennie postrzegającą świat.

wspólnoty myśli, tradycji, obyczaju, bowiem panicznie obawiają się, że wspólnota zawsze będzie prowadziła do jakichś form przymusu. Świadczy o tym ich spór z komunitarianami,

k którzy nie kwestionują liberalizmu, a tylko chcieliby, by uwzględnił on fakt istnienia wspólnot i traktował nieagresywne wspólnoty jako pożądane. Spór wciąż trwa w filozofii Zachodu, mimo dość powszechnej świadomości negatywnych konsekwencji radykalnego liberalnego indywidualizmu.

Odbudować wspólnotę

Jak uwagi te mają się do obecnej sytuacji w Polsce? Nie do polityki rządu oraz opozycji, lecz do stanu świadomości i ewentualnych przyszłych rozwiązań, kiedy już wydobędziemy się z obecnej słabości umysłowej?

Nie mam wątpliwości, że naszym podstawowym celem powinno być odbudowanie wspólnoty. Sformułowanie to powtarzają wszyscy komentatorzy, niezależnie od poglądów politycznych. Zapewne równocześnie zupełnie nie rozumieją, ani też nie wyobrażają sobie, jak mogłoby to się dokonać. Niektórzy naiwnie ufają w potęgę debaty politycznej, inni sądzą, że z czasem warstwy, które niedawno wydobyły się z chłopskiego egoizmu, dołączą do wspólnoty politycznej. Partie centrum, partie liberalne bronią liberalnego pragmatyzmu. Partie populistyczno-nacjonalistyczne sięgają natomiast po romantyzm, ale dla niecných celów. Chciałyby

na postromantycznych reminiscencjach zbudować nowy polski patriotyzm, co jest i niebezpieczne, i – na szczęście – niewykonalne.

Jestem przekonany, że jedyną formę tradycji wspólnotowej w Polsce ukształtować może romantyzm, rozumiany jednak jako postawa filozoficzna i społeczna, a nie jako antagonistą racjonalizmu i zdrowego rozsądku. Nie ma wspólnoty bez mitów i symboli. Na samej gospodarce wolnorynkowej i rządach prawa wspólnoty się nie zbuduje. Wspólnota nie może być, jak tego chcieli Schumpeter czy Dahrendorf, zimna. Wspólnota to świat gorący, a co najmniej pełen ciepła.

Doskonale rozumiał to wychowany w tradycji romantycznej Józef Piłsudski, który wykorzystywał ją w celu ustanowienia mitu założycielskiego niepodległej Polski. Zupełnie nie rozumieli tego twórcy III Rzeczypospolitej, którzy uznali, że romantyczną w istocie tradycję „Solidarności” należy odsunąć, wprowadzając w jej miejsce reguły liberalizmu i demokratycznego państwa prawa – takiego, jakie istniało wówczas w zachodniej Europie. Mimo że we Francji, na przykład, czy też w Niemczech, obok kapitalistycznego liberalizmu istniały przecież tradycje instytucji wspólnotowych. Polski zabieg okazał się na krótką metę skuteczny, lecz na dłuższą – bardzo niedobry.

Jedyną formę tradycji wspólnotowej w Polsce ukształtować może romantyzm, rozumiany jednak jako postawa filozoficzna i społeczna, a nie jako antagonistą racjonalizmu i zdrowego rozsądku.

Romantyzm w XXI wieku

Dziś kwestia romantyzmu staje się istotna dla przyszłości Polski. Nie mamy innej tradycji, do której moglibyśmy nawiązać. Tradycja liberalna, pieczętująca wydobytą z XIX wieku przez niektórych uczonych i myślicieli, była wątła i niewiele z niej zostało. Trudno znaleźć jakiegokolwiek inne alternatywy. Warto zastanowić się zatem, co dziś dla Polaków mógłby i powinien znaczyć romantyzm.

W mojej opinii powinien on się przede wszystkim wiązać z przekonaniem, że życie publiczne nie jest domeną sporu partii politycznych, lecz dążenia do ustanowienia wspólnoty. Nie wspólnoty przymusowej, lecz wspólnoty patriotycznej. Patriotą jest się natomiast z wyboru, a nie z konieczności. Nikt, dlatego że jest obywatelem Polski, bo tu się urodził, nie może nakazać, bym był członkiem patriotycznej wspólnoty, a tym bardziej – aktywnym propagatorem idei narodowej. Polityka i życie publiczne nie są naszym obowiązkiem, lecz przywilejem, z którego nie musimy korzystać. W Polsce jednak przywilej ten jest ściśle związany z postawami romantycznymi, czyli z przekonaniem, że wartości duchowe i duchowa percepcja świata stoją na pierwszym miejscu.

Proszę zauważyć, jak łatwo – posługując się karykaturą tego przekonania – jest w Polsce zyskać poparcie sporej części społeczeństwa. Przemawianie nie tylko

Romantyzm w XXI wieku powinien się wiązać z przekonaniem, że życie publiczne nie jest domeną sporu partii politycznych, lecz dążenia do ustanowienia wspólnoty. I to nie przymusowej, ale patriotycznej – takiej, w której się jest nie z konieczności, a z wyboru.

do rozumu, ale także do duchowości i uczuciowości obywateli nie jest niczym gorszącym. Nie możemy przecież zachowywać się tak, jakby obywatele uczuć nie mieli. Jednak sfera uczuć może, równie łatwo jak sfera

rozumu, ulec zdeprawowaniu. Dlatego póki dysponujemy romantycznym arsenałem, wykorzystujmy go. To przecież czyniliśmy w latach komunizmu, kiedy każde przedstawienie *Dziadów* stanowiło okazję do wielkiej debaty, a nawet do rozruchów społecznych. Co się takiego stało, że już tak nie jest?

Pragmatyzm zabił uczucia, bez których nie jest możliwa wspólnota, a wobec tego nie jest możliwa demokracja. Demokrację bowiem zaczęto pojmować jako zestaw procedur, a nie jako wspólnotę. Nie warto szukać winnych, warto szukać sposobów na wydobycie się z tej sytuacji.



MICHAŁ BILEWICZ

psycholog społeczny, profesor na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie kieruje Centrum Badań nad Uprzedzeniami – Zakładem Psychologii Stosunków Międzygrupowych. Jest też wykładowcą University of Delaware w Stanach Zjednoczonych. Zajmuje się badaniami uprzedzeń, dehumanizacji, dyskryminacji i stereotypizacji. Członek zarządu Międzynarodowego Towarzystwa Psychologii Politycznej (ISPP), wiceprzewodniczący Polskiego Stowarzyszenia Psychologii Społecznej. Poza pracą naukową zajmuje się działaniami edukacyjnymi w ramach fundacji Forum Dialogu, której jest wiceprezesem.

Z państwem oraz narodem można się utożsamiać na dwa sposoby – narcystycznie, bazując na niepewności i lękach, bądź też w oparciu o poczucie własnej wartości. Tylko w tym drugim przypadku jesteśmy w stanie otwierać się na obcych, nie upatrując w nich potencjalnego zagrożenia. Taka zdrowa tożsamość narodowa może się też przełożyć na wytworzenie wśród Polaków postaw służących rozwojowi naszego kraju, jak chociażby kierowanie się etosem instytucji, płacenie podatków czy dbanie o środowisko naturalne. Takiej właśnie tożsamości dziś potrzebujemy.

Silna tożsamość – dobra czy zła?

„**D**uma narodowa!” – pod takim hasłem maszerują przez polskie miasta demonstracje przeciwników imigracji, prawicowych ekstremistów i pseudokibiców piłkarskich. Do niedawna podobnych sloganów nie słyszało się poza niszą skrajnej prawicy – choć ostatnio, wraz ze wzrostem znaczenia politycznego prawicowych ruchów społecznych, flagi państwowe i inne symbole polskości pojawiły się również na demonstracjach środowisk centrowych i liberalnych. Mówienie o „dumie” czy „tożsamości” zostało jednak trwale związane z pewnym konkretnym, integrystycznym światopoglądem. Dlaczego hasła dumy z polskości zostały tak łatwo zagarnięte przez jedną stronę politycznego *spectrum*? Jak wiele na tym wszyscy tracimy?

Do niedawna psychologowie i socjologowie traktowali silną tożsamość narodową jako źródło wszelkich problemów społecznych: uprzedzeń, dyskryminacji, nadmiernej militaryzacji, nieracjonalnych zachowań w konfliktach międzynaro-

dowych i nieumiejętności ich rozwiązywania. Nauki społeczne zbudowały fałszywą opozycję: silna tożsamość albo brak tożsamości narodowej, czyli kosmopolityzm i identyfikowanie się wyłącznie ze swoimi lokalnymi społecznościami. Co więcej, opozycja ta w nie do końca uświadomiony sposób zaczęła trafiać do dyskursu publicznego – w ten sposób zaczęli myśleć już nie tylko badacze społeczni, ale również dziennikarze, politycy i publicyści. W ostatnich latach psychologowie coraz częściej dostrzegają jednak korzyści płynące z tożsamości narodowej.

Tożsamość narcystyczna

Utożsamiać się z państwem czy narodem można na dwa sposoby. Jeden z nich jest narcystyczny: skupiony nie na tym, jacy jesteśmy, ale na tym, jak widzą nas inni. Ludzie narcystycznie przywiązani do narodu będą postrzegać wszystkie państwa ościennie jako spiskujące przeciw Polsce. Nie będą w stanie myśleć strategicznie o geopolityce i możliwych sojuszach, albowiem każdy sąsiad jest dla nich z założenia wrogiem – jawnym albo ukrytym. Psychologowie nazywają narcyzmem niepewną samoocenę. Człowiek narcystyczny to taki, który ma urojenia o swojej

Ludzie narcystycznie przywiązani do narodu będą postrzegać wszystkie państwa ościennie jako spiskujące przeciw Polsce. Nie będą w stanie myśleć strategicznie o geopolityce i możliwych sojuszach, albowiem każdy sąsiad jest dla nich z założenia wrogiem – jawnym albo ukrytym.

wielkości, jednak skrycie uważa się za gorszego. Podobnie jest z myśleniem o narodzie – narcystyczna tożsamość to taka, w której za zasłoną pewności kryją się niepewność i niskie przekonanie o wartości własnego państwa

i narodu. Osoby narcystycznie przywiązane do narodu będą notorycznie poszukiwać ukrytych sensów i znaczeń w wypowiedziach przywódców innych państw, będą śledzić, czy przypadkiem na karnawałowych paradach nie pojawiły się przesławne przedstawienia Polski, czy niedouczeni dziennikarze znów nie napisali o „polskich obozach”, albo przynajmniej czy nie pominęli słowa „niemiecki”, pisząc o nazistowskich ośrodkach zagłady (bo oczywiście musiała się za tym kryć intencja obwinienia Polaków! – pomyśli narcyz).

Niepewność osób narcystycznie przywiązanych do polskości przekłada się też na ich postrzeganie otaczającego świata jako wiecznie zagrażającego. Narcyz nie uwierzy, że Polska jest w stanie zintegrować imigrantów – że siła polskiej kultury jest wystarczająca, by tysiące Algierczyków, Syryjczyków czy Ukraińców w kolejnych pokoleniach zaczęły mówić po polsku i rozwijać polską kulturę, tak jak w przeszłości rozwijali ją spolonizowani Ormianie (jak Awentowicz), Tatarzy (jak Lechoń) czy Żydzi (jak Tuwim). Żeby uwierzyć, że tak się stanie, trzeba być jednak

rzeczywiście dumnym ze swojego narodu – i przekonanym o faktycznej sile polskości – a nie tylko pielęgnować wielkościowe urojenia skrywające lęki.

Tożsamość zbudowana na pewności siebie

Wiele napisano już o niemieckiej kulturze winy i zaniku myślenia w kategoriach narodowych. „*We are proud of not being proud!*”, śpiewał niedawno niemiecki satyryk Jan Böhmerrmann, oddając odczucia wielu swoich rodaków. Jednak obserwując z bliska proces integracji uchodźców, który miał miejsce w Niemczech w ubiegłym roku, doszedłem do wniosku, że sukces tego procesu tkwił w sile niemieckiej tożsamości narodowej – a nie w jej słabości. Niemcy mają za sobą doświadczenie licznej imigracji tureckiej (od początku lat sześćdziesiątych do 1973 roku do Niemiec przybyło 750 tysięcy Turków, a po kolejnych falach imigracji ich liczba w Niemczech zwiększyła się do 3 milionów). Większość spośród imigrantów bardzo szybko przyjęła niemiecki język i w dużym stopniu zintegrowała się z niemiecką kulturą. Ich dzieci są obecnie znanymi prezenterami w telewizji, aktorami czy piłkarzami. Dzisiaj pewność Niemców co do własnej kultury narodowej umożliwiła kanclerz Angeli Merkel, przywódczyni prawicowej partii chrześcijańsko-demokratycznej, prowadzenie polityki otwartych drzwi wobec uchodźców z Syrii czy Afganistanu z ogromnym poparciem społecznym. Niemcy przyjęli imigrantów podobnie jak w latach sześćdziesiątych: traktując ich jako potencjał rozwojowy gospodarki, z perspektywą na efektywną integrację z narodem niemieckim.

Badania prowadzone w naszym zespole wykazują, że to wcale nie słaba czy też krytyczna tożsamość narodowa otwiera ludzi na obcych – lecz raczej silna tożsamość, jednak zbudowana na pewności siebie, a nie na narcystycznym lęku.

To samo widać dziś w codziennych kontaktach Niemców z imigrantami i uchodźcami. Nie tylko samorządy czy organizacje pozarządowe, lecz

Silna tożsamość, zbudowana na pewności siebie, a nie na narcystycznym lęku, otwiera ludzi na obcych, np. migrantów.

coraz częściej zwykli obywatele są w Niemczech zaangażowani aktywnie w działania prouchodźcze. Rodzice chętnie witają dzieci uchodźców w przedszkolach, do których uczęszczają ich dzieci. Znajomy z Kolonii opowiadał mi, że mieszkańcy wzgórz w Nadrenii zapraszają uchodźców z ulokowanych tam ośrodków na kręgle. Inny znajomy, pochodzący z niedużego miasta w Rudawach, był dumny, że w tej konserwatywnej społeczności ksiądz zdecydowanie poparł przyjmowanie uchodźców, co zmobilizowało wszystkich mieszkańców do zaangażowania się w różne inicjatywy skierowane do mieszkających tam Syryjczyków. We wszystkich

tych opowieściach moi rozmówcy starali się przekazać, że uchodźców traktowano nie jak gości, lecz jak przyszłych Niemców.

„Duma narodowa” nie do zawłaszczenia

Polski dyskurs o imigrantach wydaje się być oparty na głębokim przeświadczeniu o niskiej wartości naszej kultury. Mało kto jest w stanie uwierzyć, że imigranci mogą stać się Polakami – włączyć się do witalnego strumienia polskości. Choć wiele jest przykładów imigrantów bądź ich potomków, którzy odnoszą obecnie międzynarodowe sukcesy w sporcie, reprezentując Polskę – by wymienić choćby pochodzącego z Nigerii boksera Izuagbe Ugonoha czy zawodnika MMA Mameda Chalidowa rodem z Czeczenii – to powszechne wśród Polaków podejście wyraża raczej hasło wywieszone przed dekadą na jednym ze stadionów: „Roger, nigdy nie będziesz Polakiem!”. Wykluczające traktowanie imigrantów znamionuje lęk narodu przez zniknięciem, a zatem całkowitą odwrotność dumy z własnej kultury czy osiągnięć.

Choć postulat „dumy narodowej” został praktycznie przejęty przez skrajną prawicę, to warto zastanowić się nad tym, jakie mogą być pozytywne konsekwencje tej emocji. Niemieccy badacze z uniwersytetu w Jenie zauważyli, że ludzie odczuwający dumę z przynależności do własnego narodu byli bardziej gotowi przekazywać środki na ochronę przyrody ojczyzny zagrożonej zmianami klimatu. Warto o tym pamiętać w obliczu sporów dotyczących niekontrolowanych wycinek drzew polskich. Protest przeciw takim działaniom jest przecież wyrazem silnej tożsamości. Osobom obojętnym przyroda ojczyzny też będzie raczej obojętna. Niedawno w ten sposób o sprzątaniu lasu opowiadał aktor Wiktor Zborowski: „...wchodząc do lasu, wchodzę do śmietnika. Postanowiłem coś z tym zrobić. To taki mój maleńki, ale szalenie wymierny patriotyzm. Patriotyzm to jest po prostu szacunek dla ojczyzny i dla wszystkich obywateli. Z tego szacunku to robię”.

Tylko silni potrafią się pojednać

Zdrowa tożsamość narodowa sprzyja również pojednaniu i odbudowie relacji z innymi narodami po konflikcie. Choć do niedawna psychologowie uważali, że tylko osoby bardzo słabo związane ze swoim narodem mogą odczuwać winę i tylko takie osoby gotowe są do zadośćuczynienia za historyczne zbrodnie, przekonanie to okazało się nieprawdziwe. Belgijscy naukowcy, stosując nieco bardziej zaawansowane metody analizy statystycznej, zauważyli, że wina z powodu krzywd wyrządzonych

przez naszych rodaków pojawia się wyłącznie u ludzi o stosunkowo silnej identyfikacji z własnym narodem – brakuje jej u ludzi nieczujących związku ze swoją nacją i u osób niezwykle silnie przywiązanych do narodu. Ci pierwsi czują, że nie mają powodu czuć się winni z powodu tego, czego dokonali „jacyś Polacy”. Ci ostatni nie są w stanie dostrzec jakiegokolwiek rysu na obliczu narodu, do którego należą. Badania prowadzone w Izraelu również wykazały, że często to właśnie duma z własnego narodu okazywała się podstawowym psychologicznym warunkiem uznania odpowiedzialności za zbrodnie dokonane w czasie konfliktu w Gazie w 2014. Pewien poziom narodowej dumy jest więc niezbędny, żeby pojednać się z sąsiadami.

Podobnie jest zresztą w przypadku tych wydarzeń historycznych, w których to my byliśmy ofiarami. Przekonują o tym badania, które prowadziliśmy kilka lat temu w kontekście zbrodni dokonanych na Polakach przez Związek Radziecki i nazistowskie Niemcy. Zauważyliśmy, że osobami najbardziej gotowymi do pojednania się z Niemcami i Rosjanami po tych zbrodniach były

*Zdrowa tożsamość narodowa sprzyja
pojednaniu i odbudowie relacji z innymi
narodami po konflikcie.*

osoby, które jednocześnie silnie utożsamiały się z narodem polskim, z Europą i z szeroko rozumianą ludzkością. Bycie Polakiem nie musi przecież oznaczać rezygnacji z identyfikowania się z innymi tożsamościami. Na tej podstawie uznaliśmy, że idealna duma narodowa to taka, która nie uniemożliwia myślenia w kategoriach globalnych czy europejskich i traktowania tych spraw jako ważnych dla naszej tożsamości. Polacy nieutożsamiający się z polskością nie byli zdolni do pojednania się z Rosjanami czy Niemcami i wybaczenia im historycznych niegodziwości – podobnie zresztą jak ich rodacy silnie identyfikujący się z narodem, ale nieutożsamiający się z Unią czy z ludzkością.

Odbudowa relacji z narodami, które kiedyś wyrządziły nam krzywdę, bądź też były przez nas krzywdzone, to warunek rozwoju gospodarczego Polski, jak również jej bezpieczeństwa. Nieumiejętność współpracowania z Niemcami, Ukraincami czy Litwinami z powodu przeszłych doświadczeń może być wynikiem zarówno narcystycznych form tożsamości, jak i braku jakiegokolwiek tożsamości. Wiele badań socjologicznych i psychologicznych wykazuje, że bez silnej tożsamości – włączającej tożsamości lokalne – nie zbudujemy też kapitału społecznego.

Ku zdrowemu patriotyzmowi

Jedna z polskich organizacji edukacyjnych prowadzi w niedużych miastach Polski centralnej, południowej i wschodniej warsztaty dotyczące żydowskich społeczno-

Odejście od narcyzmu w myśleniu o polskości nie musi oznaczać rezygnacji z tożsamości narodowej. Wręcz przeciwnie – może oznaczać większe zaangażowanie, troskę o społeczność, kierowanie się etosem instytucji, aż po znacznie bardziej wymierne zyski społeczne: moralność podatkową, troskę o środowisko naturalne i krajobraz.

ści, które kiedyś te miejscowości zamieszkiwały. Uczniowie wcielają się w poszukiwaczy zaginionej historii własnego miasta i w ramach pracy z trenerami zaczynają odkrywać nieznane fragmenty przeszłości Parysowa, Mińska Mazowieckiego czy

Lubartowa. Celem trenerów jest zaciekawienie uczniów historią lokalną. Gdy zbadałimy efekty tego programu, zaskoczyło nas, że nie tylko zmienia on nastawienie uczniów do Żydów i zwiększa zainteresowanie historią. Tym, co wydało nam się szczególnie ważne, było to, że uczniowie zaczęli czuć się dumni z miejsca, w którym mieszkają. Duma zastępowała wstyd z bycia prowincjuszem. To z kolei przekładało się na większą chęć do zaangażowania się w różne lokalne aktywności, poświęcania swojego czasu społeczności lokalnej czy do zaufania sąsiadom.

Przekładając te doświadczenia na skalę całego państwa, warto się zastanowić nad tym, jak zaciekawienie przeszłością i odkrywanie jej złożoności może przełożyć się na dumę z bycia Polakiem. Tożsamość narodowa nie jest przecież tylko drogą do wykluczania obcych. Odejście od narcyzmu w myśleniu o polskości nie musi zaś oznaczać rezygnacji z tożsamości narodowej. Wręcz przeciwnie – może oznaczać większe zaangażowanie, troskę o społeczność, kierowanie się etosem instytucji, aż po znacznie bardziej wymierne zyski społeczne: moralność podatkową, troskę o środowisko naturalne i krajobraz. Bez zdrowej i silnej tożsamości narodowej Polaków nie będzie zdrowej Polski.



JAN SZOMBURG

prezes Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową. Doktor nauk ekonomicznych z doświadczeniem akademickim (w latach 1974–1990 pracował na Uniwersytecie Gdańskim). Od 1980 r. działacz gdańskiej „Solidarności”, w stanie wojennym współpracował z podziemiem. W 1988 r. wspólnie z Januszem Lewandowskim opracował pierwszy w Europie Wschodniej program powszechnej prywatyzacji oparty na kuponach prywatyzacyjnych (wykorzystywany w reformach własnościowych niemal w całym tym regionie). Założyciel Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową (1989). Inicjator i organizator nowych, innowacyjnych platform debat publicznych służących dialogowi międzyrodzinkowemu i międzypokoleniowemu: Polskiego Forum Strategii Lizbońskiej (2003–2007), Polskiego Forum Wartości i Rozwoju (2004–2005) i Kongresu Obywatelskiego (od 2005). Promotor publicznej refleksji i debaty nad tożsamością i wspólnotowością Polaków.

Na czym oprzeć narrację narodową przyszłości?

Jeśli historia się nie „rozhušta”, czas będzie pracował na naszą – Polaków – korzyść. Jeszcze niedawno niewielu by przypuszczało, jak bardzo na tle Europy możemy być pracowici, zmotywowani, kreatywni i przedsiębiorczy. Wciąż nieśmiało mówimy o tym, że nasz system bankowy jest bardziej innowacyjny od niemieckiego, a nasze przedsiębiorstwa są często lepiej zarządzane niż w krajach Zachodu. W dodatku stanowimy zagłębienie talentów – wszelakich. Mając takie predyspozycje możemy z ufnością patrzeć w przyszłość. Musimy się tylko lepiej poukładać wewnętrznie – wyrównać szanse, zadbać o lepsze relacje społeczne, lepiej i szerzej dystrybuować szacunek, budować sieci wzajemnego wsparcia, docenić i otwierać szanse przed Polską lokalną, partnersko poukładać relacje międzypokoleniowe. Lista wyzwań jest znacznie dłuższa. Ale dla czego mielibyśmy im nie sprostać, mając przekonanie, że posiadamy swe silne strony, na których możemy się oprzeć.

Brak równowagi w sferze wartości, gospodarki, polityki i relacji społecznych doprowadził w Polsce i na całym świecie do potężnego kryzysu, który kumulował się przez całe ćwierćwiecze. Powrót do równowagi wymaga dojrzałości. Na bazie poczucia niesprawiedliwości, oburzenia, resentymentu czy chęci rewanżu łatwo jednak niezbędną korektę „przestrzelić” i wychylić wahadło zbyt mocno w drugą stronę. Wszelkie takie wychylenia podcinają skrzydła dojrzałego rozwoju.

Potrzeba zbiorowego „ja”

My w Polsce również potrzebujemy nowej równowagi i nowego konsensusu społeczno – rozwojowego, opartego na lekcji dojrzałości, którą dał nam okres po 1989 roku.

Dla dojrzałości osobowej i zbiorowej najważniejsza jest samoświadomość i akceptacja swego „ja”. Po ponad 25 latach przemian musimy na nowo zapytać

Najważniejszą barierą na drodze do naszej zbiorowej dojrzałości jest brak zrozumienia samych siebie – jako narodu i społeczeństwa. Brak uwspólnionego wyobrażenia naszego „my” (czyli zbiorowego „ja”) powoduje dezintegrację wewnętrzną.

się, kim jesteśmy, jakie mamy silne i słabe strony, co nam daje poczucie własnej wartości i jakie są nasze aspiracje. Najważniejszą barierą na drodze do naszej zbiorowej dojrzałości jest brak zrozumienia samych siebie

– jako narodu i społeczeństwa. Brak uwspólnionego wyobrażenia naszego „my” (czyli zbiorowego „ja”) powoduje dezintegrację wewnętrzną. Brakuje nam kleju, który cementowałby nas mimo (skądinąd naturalnych) różnic w sferze wartości, korzeni czy interesów.

Takiego wspólnego wyobrażenia naszego „my” nie wypracowaliśmy w ciągu „młodzieńczego” okresu żywiołowej transformacji i rozwoju po 1989 roku. Na początku mieliśmy stare, dobre kompas: Zachód, Unię Europejską, NATO... Jednocześnie, w sposób naturalny, odreagowaliśmy szarżyznę konsumpcyjną i wymuszaną odgórnie wspólnotowość PRL-u. Sądziliśmy, że wprowadzając wymarzoną liberalną demokrację, rynek i przesuwając się kulturowo na Zachód, trafimy do krainy wiecznej szczęśliwości i stałego rozwoju (postępu) – trochę w duchu *Końca historii* F. Fukuyamy.

„Domyślne oprogramowanie” przyjęte dla tego etapu przemian dzisiaj już nie wystarcza. Po pierwsze – zmienił się sam Zachód. Nie daje nam już aż tak atrakcyjnych wzorców kulturowych oraz bezpieczeństwa i poczucia stabilności ekonomicznej, których oczekiwaliśmy. Z drugiej strony – wewnątrz kraju narosły nierównowagi i napięcia ewidentnie wymagające korekty. Jak na te wyzwania odpowiedzieć w sposób dojrzały? Z pewnością nie jest to łatwe, ponieważ poczucie lęku i niepewności zarówno ze względu na sytuację zewnętrzną, jak i wewnętrzną nie jest dobrym doradcą. Aby korekta okazała się prorozwojowa, a nie antyrozwojowa, potrzebujemy kompasu dojrzałości.

By dobrze odpowiedzieć na pytanie, jak ułożyć nasze jutro, warto spojrzeć na ostatnie ćwierćwiecze – co nam ono powiedziało o naszych silnych stronach. Czy jest coś, na czym możemy oprzeć zaufanie do samych siebie, nasze dojrzałe budowanie przyszłości? Coś, co pozwoli nam osadzić przyszłość nie na strachu, ale na pewności swoich umiejętności, swego potencjału, swych możliwości.

Nie gorsi od Zachodu

Taki fundament pozytywnego myślenia daje nasze praktyczne doświadczenie. Zdobyla je nie elita, ale miliony Polaków, setki tysięcy rodzin. W bezpośredniej konfrontacji z Zachodem – który początkowo wydawał nam się być we wszystkim lepszy – okazało się, że w wielu dziedzinach to my „jesteśmy górą”. Zobaczyliśmy, że potrafimy być bardziej pracowici (nasz etos pracy wzrósł radykalnie), kreatywni i elastyczni, często lepiej wykształceni. Potrafimy się też szybko uczyć, no i przede wszystkim – jesteśmy europejskimi mistrzami przedsiębiorczości! Początkowo była ona oparta głównie na sprycie, ale stale się uszlachetniała i dziś mogą jej nam zazdrościć wszyscy w Europie. Polski gen przedsiębiorczości nie ograniczył się tylko do gospodarki. Zobaczyliśmy go również w kulturze, a także w działalności społecznej, służbie zdrowia czy edukacji.

W bezpośredniej konfrontacji z Zachodem – który początkowo wydawał nam się być we wszystkim lepszy – okazało się, że w wielu dziedzinach to my „jesteśmy górą”. Zobaczyliśmy, że potrafimy być bardziej pracowici, kreatywni i elastyczni, często lepiej wykształceni. Potrafimy się też szybko uczyć, no i przede wszystkim – jesteśmy europejskimi mistrzami przedsiębiorczości!

Najwyższa pora porzucić również nasze stereotypy o słabościach w sferze zarządzania. Nasze „Euro 2012” było lepiej zorganizowane, niż to francuskie w 2016 roku. Nasz system bankowy jest technologicznie i organizacyjnie na wyższym poziomie niż niemiecki. Nasze fabryki są w globalnych sieciach światowych korporacji najlepsze – najbardziej produktywne. Nikt tego jeszcze głośno nie mówi, ale często nasze przedsiębiorstwa są lepiej zarządzane niż w krajach „jądra” Europy. Decyzje są u nas podejmowane szybciej, kultury organizacyjne są mniej nasyczone „polityczną poprawnością”, typową dla zachodnich korporacji, a przez to bardziej efektywne. Po cichu i pomału to partnerzy z renomowanych gospodarek zachodnich zaczynają się uczyć od nas nowoczesnego zarządzania. Mamy też większą skłonność do podejmowania ryzyka – wbrew paternalistycznemu charakterowi naszej szkoły i wychowania.

Nawet nasza dwupółkulowość – mieszanek Wschodu z Zachodem – nie musi być wadą. Daje nam bowiem większą wszechstronność i chroni przed nadmiernym „spłaszczeniem” kulturowo-kompetencyjnym.

Niezwykle ważnym odkryciem ostatniego 25-lecia jest to, że jesteśmy społeczeństwem bardzo energetycznym, potrafiącym się angażować, mającym „ciąg na bramkę”, chcącym odnieść sukces. Potrafiącym zmienić swój styl życia. Dzięki temu stale poprawiamy naszą pozycję w międzynarodowym podziale pracy. Nasze przedsiębiorstwa się umiędzynarodawiają i lepiej sytuują w łańcuchach wartości. Inwestycje zagraniczne w Polskę są coraz lepszej jakości.

Okazało się również, że Polska jest zagłębiem talentów – wszelakich. Sukcesy naszych informatyków i naukowców wręcz nam już spowszedniały, nikogo nie zaskakują! Chyba najbardziej niedoceniany pozostaje fakt, że jesteśmy silni również w sferze kultury. Nie tylko z sukcesami prezentujemy się na scenach Londynu, Nowego Jorku, Paryża czy Tokio, ale równie skutecznie, dzięki coraz ciekawszej ofercie i nowym obiektom, zachęcamy do korzystania z oferty kulturalnej w kraju.

Drogowskazy dojrzewania

Wszystkie te przykłady dowodzą, że czas pracuje na naszą korzyść. Mając takie predyspozycje, jakie mamy, możemy z ufnością patrzeć w przyszłość. Musimy

Czas pracuje na naszą korzyść. Mając takie predyspozycje, jakie mamy, możemy z ufnością patrzeć w przyszłość. Musimy się tylko lepiej poukładać wewnętrznie.

się tylko lepiej poukładać wewnętrznie – wyrównać szanse, zadbać o lepsze relacje społeczne, lepiej i szerzej dystrybuować szacunek (np. doceniać tych, którzy budują więzi społeczne,

stwarzają wzorce życia etycznego), budować sieci wzajemnego wsparcia – także tego duchowego i emocjonalnego, docenić i otwierać szanse przed Polską lokalną, partnersko poukładać relacje międzypokoleniowe itd. Lista tych wyzwań nie jest mała. Niektóre z nich definiuję poniżej, jako drogowskazy procesu dojrzewania Polaków i Polski:

1. Budowanie i wzmacnianie poczucia naszej tożsamości zbiorowej w różnych jej odcieniach – lepsze rozumienie kim, jako Polacy, jesteśmy, jak przebiegała nasza historia, do czego chcielibyśmy dążyć, jakie są różnice między nami, co nas łączy.
2. Większa samoakceptacja naszego „ja” zbiorowego – naszych silnych i słabych stron; naszej różnorodnej przeszłości, wszystkich korzeni, z których wyrastamy, wzrost poczucia własnej wartości i zgodności z samym sobą.
3. Wzrost autonomii i podmiotowości osobowej, docenianie wolności jako warunku samorealizacji i rozwoju w życiu indywidualnym i zbiorowym.
4. Zwiększenie troski o innych, promowanie postaw prospołecznych, poczucia odpowiedzialności za całą zbiorowość, zmniejszenie egocentryzmu i postaw wsobno-roszczeniowych.
5. Wydłużenie horyzontu czasowego w myśleniu i działaniu zbiorowym, dalekowzroczność, nastawienie na realizację strategicznych celów. Rozumienie logiki rozwoju sekwencyjnego.

6. Wzrost znaczenia racjonalności myślenia i działania (rozważ).
7. Zwiększenie otwartości na krytykę i zmianę; samodoskonalenie, samokrytycyzm, redefiniowanie siebie, samorozwój i adaptacja.
8. Wzrost zdolności do porozumiewania się i kompromisu – rezygnacja z ciągłego stawiania na swoim i traktowania ustępstw jako plam na honorze.
9. Otwartość na innych, umiejętność postrzegania szans we współpracy z innymi i realizowania tej współpracy przy zachowaniu swojego ja i swoich życiowych interesów (asertywność).
10. Troska o dziedzictwo kulturowe i przyrodnicze – myślenie o przyszłych pokoleniach.

Od kultury przetrwania do kultury rozwoju

Dla przejścia od kultury przetrwania do kultury rozwoju najważniejsze jest jednak zaufanie swoim możliwościom, wewnętrzne przekonanie, że nie musimy się zamykać, wymyślać ról mesjanistycznych, koncentrować się na przeszłości, czy znowu budować odgórnie wymuszaną wspólnotowość. Powinniśmy raczej znaleźć nowe równowagi między otwarciem a zamknięciem, uniwersalizmem a lokalnością, przyszłością a przeszłością, różnorodnością a spójnością, rynkiem a państwem. Ważne by były to jednak równowagi prorozwojowe, oparte nie na kompleksach, ale na wierze w nasz potencjał.

Dla przejścia od kultury przetrwania do kultury rozwoju najważniejsze jest zaufanie swoim możliwościom, wewnętrzne przekonanie, że nie musimy się zamykać, wymyślać ról mesjanistycznych, koncentrować się na przeszłości, czy znowu budować odgórnie wymuszaną wspólnotowość.

K O N G R E S



OBYWATELSKI

INFORMACJA O KONGRESACH OBYWATELSKICH

zorganizowanych w latach 2005–2016

I KONGRES OBYWATELSKI

2005 r. (700 uczestników)



W stronę rozwoju opartego na wartościach i dialogu

Sesje tematyczne I Kongresu Obywatelskiego

- Wartości, tożsamość i rozwój
- Jakich elit potrzebuje Polska?
- Wizja rozwoju
- Edukacja dla rozwoju
- Migracja – szanse i zagrożenia
- Jaka demokracja i państwo?
- Jak formować nowe pokolenie Polaków?
- Zdrowe i przejrzyste finanse publiczne
- Jakie regulacje dla gospodarki?
- Nauka dla gospodarki i społeczeństwa
- Polska w Europie i świecie



II KONGRES OBYWATELSKI

2007 r. (1130 uczestników)

Rozwój przez wspólnotę i konkurencyjność

Sesje tematyczne II Kongresu Obywatelskiego

- Czy potrafimy wybić się na nowoczesne państwo – jak je rozumiemy?
- Kultura i demokracja w Polsce wobec rewolucji komunikacyjnej
- Jakie pożytki z migracji Polaków dla modernizacji Polski?
- Czy potrzebujemy polskich przedsiębiorstw globalnych?
- Jakiej solidarności potrzebujemy? Solidarność między pokoleniami, solidarność wobec biednych i wykluczonych, solidarność w przedsiębiorstwie – jaka jest, jaka być powinna?
- Jakie wartości będą cenić Polacy w roku 2020?
- Wizja rozwoju polskiej gospodarki w kontekście globalizacji
- Enklawy modernizacji Polski. Jak powstają, jak działają, czy są wzorcem i drogą rozwoju całego kraju?
- Polskie metropolie – wyzwania globalizacji a spójność terytorialna
- Czy i jakiej polityki rodzinnej potrzebujemy? Czy polityka rodzinna jest dobrą odpowiedzią na spadek dzietności?

III KONGRES OBYWATELSKI

2008 r. (800 uczestników)



Jaka modernizacja Polski?

Sesje tematyczne III Kongresu Obywatelskiego

- Jakie symbole Polski?
- Edukacja dla modernizacji i rozwoju
- Jaka reforma nauki i szkół wyższych?
- Drogi do dobrego rządzenia
- Jak stworzyć regiony z krwi i kości?
- Jak budować infrastrukturę dla skoku cywilizacyjnego?
- Jaka modernizacja obszarów wiejskich?



IV KONGRES OBYWATELSKI

2009 r. (1000 uczestników)

Razem wobec przyszłości

Sesje tematyczne IV Kongresu Obywatelskiego

- Portret młodego pokolenia
- Jakie Razem Polaków w XXI wieku?
- Wspólnota tożsamości, zasad czy działań?
- Priorytety edukacji Polaków w XXI w.
- Jakie szkolnictwo wyższe do roku 2030?
- Priorytety rozwoju gospodarczego do roku 2030
- Jak uczynić regiony motorami modernizacji i rozwoju Polski?
- Kultura przestrzeni wobec presji rynku

V KONGRES OBYWATELSKI

2010 r. (900 uczestników)



Idea Polski XXI wieku. Podmiotowi Polacy – Podmiotowa Polska

Sesje tematyczne V Kongresu Obywatelskiego

- Rozwój, ale jaki? Cele i zasady rozwoju
- Jaka wspólnotowość Polaków w XXI w.?
- Jak poprawić rządzenie Polską w XXI w.? Jak zapewnić ciągłość i horyzontalność rządzenia oraz partycypację obywatelską?
- Drogi rozwoju kulturowego Polaków
- Przestrzeń dla komunikacji i dialogu Polaków. Warunki konieczne dla dobrej komunikacji i dialogu Polaków
- Interesy Polski w Europie i na świecie
- Rozwój lokalny. Bariery i stymulanty
- Edukacja XXI w. Cele, miejsca, metody
- Polskie style życia. Między miastem a wsią
- Talenty Polaków. W czym możemy być najlepsi?



VI KONGRES OBYWATELSKI

2011 r. (1100 uczestników)

Jaki rozwój, jaka edukacja w XXI wieku – Wielkie Przewartościowanie

Sesje tematyczne VI Kongresu Obywatelskiego

- Po co nam społeczeństwo?
- Zrównoważony rozwój Polski – jak zrealizować niechciany cel?
- Jak odnieść sukces na rynku globalnym?
Strategie i kompetencje przedsiębiorstw oraz państwa
- Czy rolnictwo i przemysł spożywczy mogą być
szansą rozwojową Polski w XXI wieku?
- Szanse młodego pokolenia – czas na strategię zbiorowe?
- Czy potrzebujemy „przewrotu kopernikańskiego” w edukacji?
- Potencjał edukacji pozaszkolnej – jaki jest, jak go wykorzystać?
- Jak wykorzystać środki UE do budowy kapitału ludzkiego
i społecznego w latach 2014–2020?

VII KONGRES OBYWATELSKI

2012 r. (1300 uczestników)



Postawy i umiejętności kluczem do rozwoju Polaków i Polski

Sesje tematyczne VII Kongresu Obywatelskiego

- Innowacyjność i konkurencyjność polskich przedsiębiorstw – gdzie leży pies pogrzebany?
- Przyszłość polskiej edukacji – scenariusze rozwoju
- Jaki etos w administracji – służba publiczna, menedżerski profesjonalizm czy przestrzeganie procedur?
- Co znaczy „człowiek kulturalny” – w poszukiwaniu źródeł postaw i umiejętności
- Społeczna odpowiedzialność uczelni – jak ją rozumieć, jak realizować?
- Budowa wspólnot lokalnych – jakich kompetencji potrzebuje, a jakich uczy?
- Strategiczne projekty energetyczne – czy stać nas na dialog i porozumienie?

Warsztaty:

- Jaki klucz kompetencyjny dla rozwoju innowacyjności młodych Polaków?
- Jak być podmiotowym w cyberświecie?



VIII KONGRES OBYWATELSKI

2013 r. (1100 uczestników
1000 wejść na transmisję on-line)

Jaka modernizacja Polski – od budowy infrastruktury do nowych postaw i zachowań?

Sesje tematyczne VIII Kongresu Obywatelskiego

- Jaka wizja rozwoju Polski – cele, zasady, sekwencja
- Drogi do innowacyjnej Polski
- Polska ekspansja na Europę i świat – czy i jak to zrobić?
- Oddolny „przezwrot kopernikański” w edukacji – na ile to możliwe i jak to zrobić?
- Obywatelska modernizacja Polski – jak wykorzystać tę szansę?
- Więcej spójności, mniej segregacji – jak to zrobić?
- Praca w Polsce – jak zbudować lepszy rynek pracy?
- Miasta przyjazne mieszkańcom – jak uczynić je dobrym miejscem do życia?
- Konflikt jako dobro wspólne?
- Drogi do lepszego państwa – lekcje z historii

IX KONGRES OBYWATELSKI

2014 r. (1000 uczestników)



Polska jutra. Jak rozwinąć nasze skrzydła?

Sesje tematyczne IX Kongresu Obywatelskiego

- Narodowy Coaching w edukacji, kulturze i biznesie – jak rozwinąć nasze skrzydła?
- Jak budować pomosty pomiędzy Polakami?
- Rola polskich czempionów w pobudzaniu innowacyjności i ekspansji zagranicznej małych i średnich przedsiębiorstw
- Umiędzynarodowienie uczelni – jak to zrobić dobrze?
- Jaki rozwój polskich miast – czas na nową doktrynę?
- System sprawiedliwości dla obywateli – jak to zrobić?
- Jak włączyć emigrację do rozwoju Polski?

Pokaz filmu *Alphabet* (reż. Erwin Wagenhofer, Austria/Niemcy, 2013)
połączony z dyskusją, zorganizowany we współpracy z Akademią Dokumentalną



X KONGRES OBYWATELSKI

2015 r. (900 uczestników)

Polska jutra. Możemy być lepsi

Sesje tematyczne X Kongresu Obywatelskiego

- Na jakich wartościach oprzeć rozwój Polski?
- Polska gospodarka – czas na ekosystemy rozwoju
- Edukacja dla rozwoju. Jakich postaw i kompetencji potrzebujemy i jak je rozwijać?
- Cyfrowa szansa – co zrobić, aby zaawansowane usługi IT stały się polską specjalizacją?
- Sport dla zdrowia, rozwoju osobistego i budowy więzi społecznych
- Jakiej przestrzeni publicznej potrzebujemy?
- Polska lokalna – jak się rozwijać?
- Czas na godną pracę i lepszy rynek pracy
- Las – źródło tożsamości, edukator i kreator więzi
- Co możemy zaoferować Europie i światu?

XI KONGRES OBYWATELSKI

2016 r. (1200 uczestników)



Dojrzała Polska – lepsza Polska!

Sesje tematyczne XI Kongresu Obywatelskiego

- Dojrzałe elity – co to znaczy i jak je budować?
- Młodzi i starzy – wyjdźmy z hipokryzji i stereotypów
- Edukacja do dojrzałości – co to znaczy i jak to robić?
- Cyfrowa rewolucja w polskiej gospodarce.
Przemysł 4.0 – ekonomia współdzielenia – Big Data
- Biznes i nauka – na co postawić? Jak zapewnić równowagę i synergę rozwoju?
- Jak budować wspólnoty lokalne – w oparciu o tożsamość, interesy czy wspólne projekty?
- Rewitalizacja naszych miast – kierunki i mechanizmy
- Przyroda – przestrzeń aktywności Polaków
- Unia Europejska i migracje – polskie interesy i współodpowiedzialność

Pokaz filmu *Lo i stało się. Zaduma nad światem w sieci* (reż. Werner Herzog)



KONGRES OBYWATELSKI

2005–2016

**Razem w jedenastu Kongresach
wzięło udział:**

810

panelistów

ponad 11 100

uczestników, przedstawicieli administracji centralnej i lokalnej, NGO's, biznesu, środowisk naukowych, organizacji studenckich, młodzieży oraz społeczeństwa obywatelskiego z różnych części Polski

Materiały kongresowe i więcej o kongresach na stronie

www.kongresobywatelski.pl

PUBLIKACJE KONGRESU OBYWATELSKIEGO

- *Lepsze życie Pomorzan. Pasje – Obywatelska wspólnota – Europa*, Gdańsk 2016
- *Na jakich wartościach oprzeć rozwój Polski?* Gdańsk 2016
- *Polska lokalna – jak się rozwijać?* Gdańsk 2016
- *Kompetencje przyszłości – jakich postaw i umiejętności potrzebujemy?* Gdańsk 2016
- *Polska jutra – możemy i chcemy być lepsi*, Gdańsk 2016
- *Jakość życia Pomorzan*, Gdańsk 2016
- *Jak włączyć emigrację do rozwoju Polski?* Gdańsk 2015
- *Czempiony dla innowacyjności Polski*, Gdańsk 2015
- *Wymiar sprawiedliwości – jak go zbliżyć do obywateli?* Gdańsk 2015
- *Jak budować pomosty między Polakami?* Gdańsk 2015
- *Jak rozwinąć nasze skrzydła? Narodowy Coaching*, Gdańsk 2015
- *Energia Pomorzan – skąd ją czerpać i jak z niej korzystać?* Gdańsk 2014
- *Polska ekspansja na Europę i świat – jak to zrobić?* Gdańsk 2014
- *Jak napędzić obywatelską modernizację Polski?* Gdańsk 2014
- *Drogi do innowacyjnej Polski*, Gdańsk 2014
- *Jak odbudować polskie społeczeństwo?* Gdańsk 2014
- *Czy konflikt może być dobrem wspólnym?* Gdańsk 2014
- *Jaka modernizacja Polski: od budowy infrastruktury do nowych postaw i zachowań?* Gdańsk 2014
- *Przewrót kopernikański – oddolnie zmieniamy polską edukację*, Gdańsk 2014
- *Pomorskie miasta – jak je kształtować dla dobra wspólnego?* Gdańsk 2013
- *Dobro wspólne – lepsza jakość życia*, Gdańsk 2013
- *Postawy i umiejętności kluczem do rozwoju Polaków i Polski*, Gdańsk 2013
- *Jaka przyszłość polskiej edukacji*, Gdańsk 2012
- *Budowa wspólnot lokalnych – jakich kompetencji uczy, a jakich potrzebuje?* Gdańsk 2012
- *Kultura organizacyjna kluczem do innowacji i konkurencyjności przedsiębiorstw*, Gdańsk 2012
- *Forum rozwoju charakterów i postaw*, Gdańsk 2012
- *Jaki etos w administracji – służba publiczna, menedżerski profesjonalizm czy przestrzeganie procedur?* Gdańsk 2012

- *Kultura – Polityka – Rozwój. O kulturze jako „dźwigni” rozwoju społecznego polskich metropolii i regionów*, Gdańsk 2012
- *Pomorze – jakie wartości, jaki rozwój?* Gdańsk 2012
- *Rozwój i edukacja. Wielkie przewartościowanie*, Gdańsk 2011
- *Jakich metakompetencji potrzebują Polacy. Przesłania Forum Kompetencji VI Kongresu Obywatelskiego*, Gdańsk 2011
- *Jak wykorzystać środki UE do budowy kapitału ludzkiego i społecznego w latach 2014–2020?* Gdańsk 2011
- *Jak wykorzystać potencjał edukacji pozaszkolnej w Polsce?* Gdańsk 2011
- *Pakt dla szkoły. Zarys koncepcji kształcenia ogólnego*, Gdańsk 2011
- *Przyszłość na 3+.* Głos uczniów, Gdańsk 2011
- *Podmiotowość dla rozwoju*, Gdańsk 2011
- *Rozwój lokalny. Bariery i stymulanty*, Gdańsk 2010
- *Talenty Polaków*, Gdańsk 2010
- *Polskie style życia. Między miastem a wsią*, Gdańsk 2010
- *Jak poprawić komunikację i dialog Polaków?* Gdańsk 2010
- *Jak poprawić rządzenie Polską w XXI wieku?* Gdańsk 2010
- *Jaka wspólnotowość Polaków w XXI wieku?* Gdańsk 2010
- *Cele i zasady rozwoju*, Gdańsk 2010
- *Jak uszlachetnić nasze Polski*, Gdańsk 2010
- *W poszukiwaniu wizji Polski XXI wieku. Forum Idei*, Gdańsk 2010
- *Idea polskich miast*, Gdańsk 2010
- *Jaka podmiotowość Polski w XXI wieku?* Gdańsk 2010
- *Edukacja dla rozwoju*, Gdańsk 2010
- *Co nas łączy, a co dzieli? Opinie Polaków*, Gdańsk 2009
- *Polska rodzina. Jaka jest, jak się zmienia?* Gdańsk 2009
- *Jak uczynić regiony motorami rozwoju i modernizacji Polski*, Gdańsk 2009
- *Priorytety edukacji Polaków w XXI wieku – wydanie z okazji IV Kongresu Obywatelskiego*, Gdańsk 2009
- *Jakie szkolnictwo wyższe w roku 2030? – wydanie z okazji IV Kongresu Obywatelskiego*, Gdańsk 2009
- *Priorytety rozwoju gospodarczego do roku 2030 – wydanie z okazji IV Kongresu Obywatelskiego*, Gdańsk 2009
- *Jakie Razem Polaków w XXI wieku? Wspólnota tożsamości, zasad czy działań?* Gdańsk 2009
- *Portret młodego pokolenia*, Gdańsk 2009
- *Polacy – w pułapce autotereotypów?* Gdańsk 2009

- *W poszukiwaniu portretu Polaków*, Gdańsk 2009
- *Edukacja dla modernizacji i rozwoju* – z okazji III Kongresu Obywatelskiego, Gdańsk 2008
- *Jaka reforma nauki i szkół wyższych* – z okazji III Kongresu Obywatelskiego, Gdańsk 2008
- *Jak tworzyć regiony z krwi i kości* – z okazji III Kongresu Obywatelskiego, Gdańsk 2008
- *Infrastruktura dla skoku cywilizacyjnego* – z okazji III Kongresu Obywatelskiego, Gdańsk 2008
- *Jaka modernizacja obszarów wiejskich* – z okazji III Kongresu Obywatelskiego, Gdańsk 2008
- *Najnowsza fala emigracji – szansa czy zagrożenie dla modernizacji Polski?* – z okazji III Kongresu Obywatelskiego, Gdańsk 2008
- *Przeskoczyć samych siebie. Rewolucja innowacyjna w polskiej nauce i dydaktyce* – z okazji III Kongresu Obywatelskiego, Gdańsk 2008
- *Drogi do dobrego rządzenia* – z okazji III Kongresu Obywatelskiego, Gdańsk 2008
- *Spółeczna gospodarka rynkowa w dobie globalizacji*, Gdańsk 2008
- *Modernizacja Polski. Kody kulturowe i mity*, Gdańsk 2008
- *W poszukiwaniu kompasu dla Polski* – po II Kongresie Obywatelskim, Gdańsk 2007
- *Rozwój poprzez wspólnotę i konkurencyjność* – z okazji II Kongresu Obywatelskiego, Gdańsk 2007
- *Pomorskie wartości i tożsamości – dziś i jutro*, Gdańsk 2007
- *W stronę wspólnoty regionalnej*, Gdańsk 2006
- *Media a rozwój wspólnoty regionalnej*, Gdańsk 2006
- *Czy kultura może być dźwignią rozwoju Pomorza?* Gdańsk 2006
- *Młodzi o Pomorzu*, Gdańsk 2006
- *Migracje – Szanse czy zagrożenia?* Gdańsk 2005 – z okazji Kongresu Obywatelskiego
- *Jak poprawić dialog Polaków*, Gdańsk, 2005 – z okazji Kongresu Obywatelskiego
- *Jakie elity są potrzebne Polsce*, Gdańsk 2005 – z okazji Kongresu Obywatelskiego

Publikacje można pobrać nieodpłatnie ze strony

www.kongresobywatelski.pl/dorobek/ksiazki

RADA PROGRAMOWA KONGRESU OBYWATELSKIEGO



dr Jan Szomburg

Przewodniczący Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego,
Prezes Zarządu Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową



Bogdan Rogala

Wiceprzewodniczący Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego,
Wiceprezes Philips Lighting Poland Sp. z o.o.



Witold Radwański

Wiceprzewodniczący Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego,
Prezes Zarządu Krokus Private Equity Sp. z o.o.



Katarzyna Zawodna

Wiceprzewodnicząca Rady Programowej Kongresu Obywatelskiego,
Prezes Zarządu Skanska CDE Sp. z o.o.



Stefan Dunin-Wąsowicz

Prezes Zarządu Efekt Technologies Sp. z o.o.



prof. Maciej Duszczyk

Prorektor ds. naukowych, Uniwersytet Warszawski



Robert Firmhofer

Dyrektor Centrum Nauki Kopernik



dr Bogusław Grabowski

Członek Rady Polityki Pieniężnej w latach 1998–2004



Andrzej Halesiak

Dyrektor w Biurze Analiz Makroekonomicznych Banku Pekao SA



prof. Iwona Hofman

Prezes Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej



prof. Dariusz Jemielniak

Akademia Leona Koźmińskiego,
Rada Powiernicza Wikimedia Foundation



Sławomir Jędrzejczyk

Wiceprezes Zarządu ds. finansowych PKN ORLEN SA



Jacek Kajut

Prezes Zarządu VECTOR



Wojciech Kłosowski

niezależny ekspert samorządowy, specjalista w zakresie zagadnień
rozwoju lokalnego



Luk Palmen

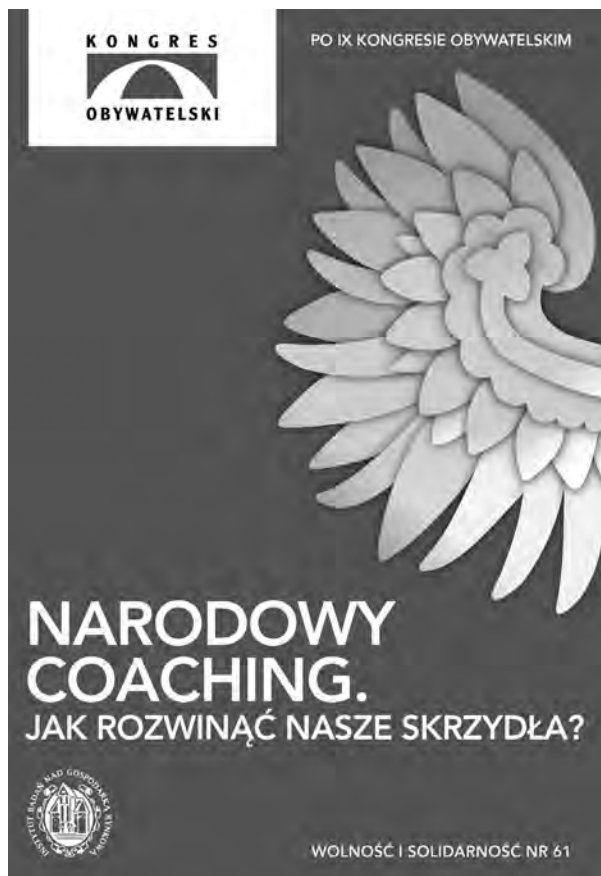
Prezes InnoCo Sp. z o.o.



Marcin Skrzypek

działacz społeczno-kulturalny w Lublinie, TNN Ośrodek Brama Grodzka

KONGRES OBYWATELSKI POLECA:



Publikację można bezpłatnie pobrać ze strony:

<http://www.kongresobywatelski.pl>

KONGRES OBYWATELSKI POLECA:



Publikację można bezpłatnie pobrać ze strony:

<http://www.kongresobywatelski.pl>



Maciej Grabski

„Przedsiębiorcy chcą odpowiedzialnie kształtować przyszłość. Odpowiedzialność oznacza zwrócenie się ku uniwersalnym wartościom, zacieśnianie więzi społecznych, wspieranie lokalnych społeczności. To świadoma edukacja, zakotwiczona w tradycji, ale i otwarta na to, co innowacyjne i co może zmienić świat na lepsze. W przyszłości zawsze jesteśmy z tym, kim jako ludzie staliśmy się na przestrzeni lat, z naszymi doświadczeniami, dokonaniem. Biznes, choć koncentruje się na wyniku, nie może zapominać o najważniejszym. O ludziach i odpowiedzi na ich potrzeby. I nigdy nie powinien iść na skróty”.



Piotr Małachowski

„Sport to wspianała szkoła samodzielności. Zaczynając przygodę z treningami w młodym wieku – podróżując, poznając nowych ludzi – mamy szansę usamodzielniać się na wielu płaszczyznach. Dowiadujemy się jak wiele zależy od naszej postawy i współpracy z innymi. Nabierając doświadczenia w rywalizacji sportowej, stajemy się dojrzałymi w codziennych sprawach”.



prof. Jerzy Bralczyk

„Język dojrzały to ten, który potrafi wszystko, który potrafi wyrazić wszystko i jest samodzielny. Dojrzały to też często antonim niedojrzałego. Kiedy mówimy o kimś, że jest niedojrzały, to go trochę krytykujemy, ale też wyrażamy nadzieję, że dojrzeje”.



prof. Piotr Oleś

„Fundamentem dojrzałości społeczeństwa i państwa jest poszanowanie prawdy i godności człowieka”.



prof. Jerzy Stelmach

„Bez wspólnych reguł nie ma wspólnoty”.



dr Krzysztof Jedliński

„Przez słuchanie i wybaczenie możemy zbudować lepsze społeczeństwo”.



prof. Tadeusz Sławek

„Potrzebna nam wspólnota zdolna do wydobywania jej uczestników z petli lęku i do zwiększania zaufania między nimi”.



dr Łukasz Kamiński

„Miarą naszej dojrzałości jest zdolność do debaty i krytycznego spojrzenia w przeszłość”.



prof. Michał Bilewicz

„Bez dostatecznie silnej tożsamości nie zbudujemy kapitału społecznego, etosowych instytucji czy moralności podatkowej”.



DROGOWSKAZY PROCESU DOJRZEWANIA POLAKÓW I POLSKI

Od kultury przetrwania do kultury rozwoju

1. *Zrozumienie siebie*
2. *Samoakceptacja*
3. *Podmiotowość*
4. *Otwartość na krytykę*
5. *Odpowiedzialność*
6. *Dalekowzroczność*
7. *Racjonalność myślenia i działania*
8. *Umiejętność porozumiewania się*
9. *Otwartość na inność*
10. *Troska o przyrodę*

WYDAWCA



PARTNERZY STRATEGICZNI



SKANSKA

PARTNERZY XI KO



Politechnika
Warszawska



ISBN: 978-83-7615-136-6